MACIEJ J. KONONOWICZ

Str. 10

SONATA KSIĘŻYCOWA

Dyskusja nad „POJEDNANIEM"

Str. 8, 9

CO UCZYNI ŚWIAT?

Str. 5

KRZYSZTOF POGORZELEC

Str. 8, 9

NA PRZYKŁAD TEOFILOW

ODGŁOSY

ROK XVII NR 50 (889) 12 GRUDNIA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Obecny numer ma nieco „międzynarodowy przechył", ale jest to w równej mierze stwierdzenie pozorne. Po prostu kontekst naszych spraw i zainteresowań naszych autorów (a Czytelników niewątpliwie także!) poszerza się i rozwija. Bo np. nie mogą być nam obce problemy światowej gospodarki żywnościowej, o których pisze K. Pogorzelec na marginesie konferencji rzymskiej.

„Preludium do tragedii" — artykuł publicystyczny Karola Obidniaka — dotyczy historii drugiej wojny, ale nie jest to szkic historyczny li tylko. Pewne źródła dostępne są dopiero teraz i nasze sądy i opinie muszą ulegać przewartościowaniom.

W obecnym numerze drukujemy czwarty i ostatni odcinek relacji A. Blajera o chilijskiej tragedii, w której autor podjął niełatwą próbę syntetycznego ujęcia zjawiska, które od miesięcy jest w stanie wrzenia.

A co na naszym podwórku? Spółdzielnia mieszkaniowa „Lokator" obchodzi swe 60-lecie. Ale jak Czytelnicy zdążyli się zorientować są to zwykle preteksty dla naszych autorów: są okazją do zwrócenia uwagi na zjawiska, które nas wszystkich dotyczą, a organizacja (instytucja) — jubilat, mechanicznie się nam z nimi kojarzy. W podanym wypadku np. chodzi nam nie o to jak budować osiedla, ale jak je wzorowo zagospodarowywać.

Chcielibyśmy także zwrócić uwagę Czytelników na stenogram obszernych fragmentów dyskusji nad książką Wiesława Jażdżyńskiego „POJEDNANIE", w której wzięło udział kilkunastu pisarzy, członków łódzkiego Oddziału ZLP. Nie uważamy bowiem tego zdarzenia za sprawę wewnątrzśrodowiskową. Wysoki poziom dyskusji, refleksje natury nie tylko literackiej, ale ideowo-politycznej — skłoniły nas do zaprezentowania ich szerszemu audytorium.

Z IZABELLĄ NAVE

rozmawia Jadwiga Pyczewska-Pilarek

— Recenzenci gazet NRD, Austrii, Hiszpanii, Stanów Zjednoczonych oceniając Pani występy na scenach tamtejszych teatrów operowych, w słowach pełnych uznania piszą o Pani znakomitym głosie, świetnym opanowaniu koloraturowej techniki, podkreślają doskonałość kreacji aktorskich. Dysponuje więc Pani najważniejszymi atutami, które decydują o powodzeniu śpiewaczki. Mnie jednak intryguje pani aktorstwo. W Polsce do aktorstwa śpiewaka operowego nie zawsze przywiązuje się należytą wagę. Często przecież zdarza się, że piękny głos nie jest poparty umiejętnościami, które na scenie są niezbędne. Czy przy opracowywaniu poszczególnych partii operowych dużo czasu poświęca Pani interpretacji aktorskiej?

— To zależy. Zależy od charakteru samej opery i reżysera. Są przedstawienia, w których śpiewak operowy zadania aktorskie ma niewielkie. „Tannhäuser" Wagnera stwarza głównie okazję do popisów wokalnych. W „Cyrulika Sewilskim" równie ważna jest sprawa głosu jak i aktorstwa. Ostatnio — dla przykładu — młody niemiecki reżyser, Horst Bonnet, zaproponował mi rolę Noriny w „Don Pasquale" Donizettiego, a wraz z nią trudne zadania aktorskie. Dla każdej postaci znalazł odrębny sposób jej charakterystyki. Na próbach precyzyjnie opracował już nie tylko poszczególne sytuacje, ale i mimikę, gesty — wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Horst Bonnet z żelazną konsekwencją wymagał od nas dyscypliny nie tylko wokalnej, ale i aktorskiej. W rezultacie ze starej „ramotki" zrobił przedstawienie frapujące.

— Czy takie role jak Noriny przyjmuje Pani chętnie?

— Tak. Dają sporo satysfakcji. Ponadto lubię pracę nad aktorskim kształtowaniem postaci. Przed wejściem na scenę zawsze myślę o tym, jak mam się za chwilę zachować, jak poprowadzić głos. Jeszcze za kulisami staram się „wejść" w postać. Kiedy jestem na scenie, moment mobilizacji mam już za sobą, staję się po prostu Noriną.

— Rozumiem, że nie jest to sprawa prosta.

— Naturalnie. Jest to efekt intensywnych prób. Np. niemiecki reżyser, pani Ruth Berghaus, premierę „Cyrulika Sewilskiego" przygotowywała ponad rok. Partia Gildy w „Rigoletcie" Verdiego, którą ostatnio śpiewam, jest także efektem żmudnej, często bardzo męczącej pracy. Jean-Pierre Ponnelle, który tę operę reżyserował, przywiązywał wagę dosłownie do każdego detalu, nadał tak istotne znaczenie wszystkim elementom, składającym się na interpretację aktorską, że nieuwzględnienie któregoś z nich na scenie jest niemożliwe. Czy taka drobiazgowa praca nad rolą jest celowa, czy daje efekty. Ocena należy zawsze do publiczności.

— Nie umniejszając zasług reżysera, sądzę, że sukces „Rigoletta" był przede wszystkim Pani osiągnięciem artystycznym. Gazety ukazujące się w San Francisco, gdzie gościnnie Pani występowała, szczególną uwagę zwracały na Pani kreację.

— W każdym teatrze, w którym występowałam, reżyser odgrywał rolę najważniejszą. Wymaga to od niego jednak wielu umiejętności, pracy ze śpiewakiem operowym, który aktorem sensu stricto przecież nie jest, umiejętności podporządkowania koncepcji przedstawienia muzyce. Rozwijająca się dramaturgia opery musi przecież korespondować z tym, co się w tej muzyce dzieje.

Dalszy ciąg na str. 2

TEATR

KAMMERSANGERIN IZABELLA NAWE

STANISŁAW CZERNIK

Pięć lat temu zmarł w Łodzi Stanisław Czernik, jeden z najwybitniejszych poetów, twórca autentyzmu, badacz folkloru i literatury ludowej. Pozostawił po sobie wiersze gorące i żywe, utwory drgające nutą wzruszenia, wiersze nachylone w stronę człowieka.

Została po Nim poezja. Ale Stanisław Czernik pozostawił nam więcej. Pozostawił nam swój światopogląd poetycki — aktualny, żywy, do przyjęcia dziś i jutro. Autentyzm Stanisława Czernika był koncepcją otwartą jak krajobraz, aż do linii horyzontu. Autentyzm Stanisława Czernika nie był żadną olśniewającą banią nowatorstwa. Przypominał po prostu i proponował prawidła dla poezji fundamentalne. Prawidła — chciałoby się rzec — oczywiste, ale przecież jakże często zapomniane i lekceważone.

Bowiem program autentyzmu był niezwykle prosty. Głosił, najogólniej biorąc, że materiał treściowy nie może być surogatem, lecz odpowiednikiem rzeczywistych, pełnowartościowych przeżyć poety. „Był to program — pisał Stanisław Czernik po latach — oderwania się od pospolitej poetyczności, od surogatów zastępujących treść przeżyć, od literackości i treści pozorujących poezję, słowem od liryki bez pokrycia".

Owe tezy, pozornie niezbyt oryginalne, były jednak swego rodzaju nowością na tle ówczesnej kultury. A dziś? Przecież i dziś postulat oderwania się od pospolitej poetyczności jest aktualny. Inna jest ta dzisiejsza pospolita poetyczność — to prawda. Ukryła się pod płaszczem literackich mód i nowinek, sprawia nieraz wrażenie nowatorstwa, ale kryją się za nią te same pozory poezji, zastępujące autentyzm lekturą modnych poetów.

Autentyzm nie był programem formalnym, był natomiast wypracowaną solidnie jeszcze w młodości poety rzetelną postawą wobec życia i sztuki. Nic więc dziwnego, że w owej postawie nie było miejsca na sztywne gorsety manifestów i ścisłych formułek. Była to postawa otwarta, nie głosząca nakazów formalnych. Eksponowała natomiast ten jeden, fundamentalny dla poezji postulat, zawarty w słowach, które weszły do literatury. Autentyzm przeżyć poetyckich.

Do historii polskiej poezji weszła także słynna „Okolica Poetów" — czasopismo wydawane przez Stanisława Czernika w latach międzywojennych w Ostrzeszowie, w Wielkopolsce. Po wojnie poeta związał się z naszym miastem, tu przeżył ponad dwadzieścia lat — na łódzkim cmentarzu znajduje się Jego grób.

Był Stanisław Czernik laureatem Nagrody Literackiej m. Łodzi, kierował pracami łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich, tu redagował swoją „Rzecz poetycką", tu zainicjował serię „Biblioteka Poetów", tu powstawały Jego wiersze i prace badawcze.

Nic więc dziwnego, że tylko w roku 1974 przypominaliśmy wielokrotnie na naszych łamach postać i twórczość Stanisława Czernika. Postulowaliśmy wielokrotnie, aby którejś z łódzkich szkół czy bibliotek nadać imię Poety. Przypominaliśmy o tym obowiązku pamięci także z okazji sesji czernikowskiej w Ostrzeszowie Wielkopolskim, gdzie imię Stanisława Czernika otrzymała Biblioteka Powiatowa.

I oto dowiadujemy się, że właśnie w piątą rocznicę śmierci Poety te postulaty zostały spełnione. W tych dniach odbędzie się w Łodzi sesja poświęcona twórczości Stanisława Czernika oraz w najbliższym czasie nada się Jego imię Dzielnicowej Bibliotece Publicznej na Bałutach, przy ul. Rojnej 39.

W ten sposób miasto złożyło hołd pamięci pisarza, który w dzieje kultury Łodzi wpisał się pięknie i trwale. We współczesnej geografii miasta imię Stanisława Czernika będzie odtąd obecne, będzie patronować pięknym książkom i przypominać twórcę, który swoimi wierszami wszedł do historii współczesnej poezji polskiej.

JERZY WILMAŃSKI

PROSZĘ O GŁOS!

TRADYCJE I CENTRUM

Dnia 26 listopada z dużym zainteresowaniem wysłuchałem w telewizji łódzkiej dyskusji o przemianach i drążących życie miasta problemach — o tym, czym jest i czym ma być Łódź jutra.

Ponieważ, ku mojemu niezadowoleniu, wypowiedź red. Wilmańskiego nt. nieczułości wobec tradycji, rozpłynęła się w ogólnej dyskusji, chciałbym, solidaryzując się z jej treścią, przekazać garść moich osobistych uwag.

Zrozumiałem słowa red. Wilmańskiego, jak następuje: – szukając nowego oblicza miasta dość bezceremonialnie likwidujemy stare, być może nie posiadające dzisiaj wystarczająco mocnej wizytówki zabytku, obiekty.

Przypominam także niefortunne wywody jednego z naszych kolegów, na łamach Waszego pisma, że oto już czas zlikwidować oficyny — slumsy, kryjące się za fasadą budynków frontowych ul. Piotrkowskiej czy placu Wolności, budując w miejsce wyburzonych kubatur — „coś pięknego".

Słyszałem wreszcie wystąpienie na poważnym forum wzywające do likwidacji parterowych budynków przy ul. Piotrkowskiej, przypominających jej trudną przeszłość.

Trzy stanowiska, w tym dwa ostatnie bliźniacze — z jednej teki.

U progu mojej kariery zawodowej w najpoważniejszych dyskusjach, między innymi na regionalnym pokazie architektury w Poznaniu (rok 1951), gdy mówiono o Łodzi, odsądzano od czci i wiary secesję. Być może w tym okresie wszystko, co było związane z wiekiem XIX i początkiem XX wieku, pełnym napięć społecznych, w którym pokolenie nasze znalazło się na określonych pozycjach, stanowisko takie miało nie tyle uzasadnienie, ile określało nasze emocjonalne zaangażowanie. Dzisiaj historyk sztuki, oprowadzając nas po uroczym, bogatym w zabytki Toruniu zwraca się do nas słowami: „my mamy zabytki, jednak to, co najcenniejsze, to już rekonstrukcja. Wy macie swoją niekłamaną secesję".

Przy wspaniałym kościele św. Elżbiety we Wrocławiu ustawiono kiedyś, dla podkreślenia jego unikalnej skali, dwa budyneczki pseudomieszczańskie (dziad i baba). My nie chcemy nawet słyszeć, aby przy 24-kondygnacyjnych budynkach ŚDM postawić i tylko porządnie odremontować (odrestaurować) parterowe domki... dlaczego? Czyżbyśmy nie mieli wyobraźni?... Wydaje mi się, że domki tkaczy dla Łodzi, pozostawione przy ŚDM czy zespole administracji gospodarczej ul. Głównej są tym samym, czym urocze cerkiewki przy budynkach-kolosach na Nowym Arbacie w Moskwie. Nie wrzucajmy ich do skansenu, który dla mnie kojarzy się z pojęciem cmentarzyska historii kultury materialnej. Pozwólmy na pozór niepięknym domkom, eklektycznym i secesyjnym kamieniczkom żyć nadal wśród nas, na ul. Piotrkowskiej a lata i zmiany oblicza miasta uczynią ją coraz bardziej ciekawą.

„Oficyny-slumsy" — młodzież szuka piwnic, budujemy domy kultury, kawiarnie i winiarnie lokujemy w pseudonowoczesnych gablotach typu „Balaton".. swoisty bigos pomysłów. Słuszne jest, że ludzie nie powinni tam mieszkać, odremontujmy je jednak, wprowadźmy nową treść poprzez nowy program, a okaże się, że zaplecza lokali usługowych tam powstałych nie są użytkowo gorsze niż w budynkach nowych. Przykład GUM-u w Moskwie, oto kosztem np. nakładów na dom towarowy przy ul. Głównej można dwa takie GUM-y zorganizować przy ul. Piotrkowskiej łącząc oficyny i podwórza.

Powstają nowe obiekty coraz bardziej izolujące się programowo, przestrzennie i plastycznie od obiektów istniejących, często pod każdym względem lepszych i prezentujących wartościowe rzemiosło. Jakże wielką szkodą było odarcie ze świetnej eklektycznej sztukaterii fasady Filharmonii Łódzkiej. Fasada wymagała po prostu remontu, uzyskano natomiast niezrozumiałą i nieudolną namiastkę architektury. Usiłowano „unowocześnić" kilka eklektycznych kamieniczek na ul. Piotrkowskiej, tworząc tzw. elewacje horyzontalne w żółte i niebieskie pasy.

Dwadzieścia lat pracy dla miasta upoważnia mnie do wyrażenia kilku poglądów, które wydają mi się istotne dla przyszłości śródmieścia i centrum. Opieram je na doświadczeniach swojej pracy zawodowej, ale przede wszystkim na intuicji, która jest mi często pomocna.

Stoimy niewątpliwie u progu nowych poważnych dokonań w przebudowie i budowie naszego miasta, niemniej okres obecnej i przyszłej pięciolatki będzie wyjątkowo trudny dla miasta Łodzi. Ostre potrzeby budownictwa mieszkaniowego, unowocześnianie przemysłu nie będą sprzyjały realizacjom śródmieścia i centrum miasta. Ponieważ przez kilka kolejnych lat nie będziemy w stanie pokazać rozwiązań na miarę naszych ambicji, ponieważ, i to już brzmi bardzo optymistycznie, wzmacniamy potężnie bazę wyjściową naszego przemysłu budowlanego, tym bardziej nie wolno nam niszczyć jego oryginalnego oblicza. Po lichwiarsku utrzymujemy niektóre zakłady w śródmieściu — zwłaszcza zakłady nieuciążliwe i drobne. Przemysł nieuciążliwy i drobny stanowi naturalny przegub integrujący zespoły miejskie, tym różnią się np. Nowe Tychy od Torunia na korzyść tego ostatniego.

W decyzjach naszych szukajmy jednak przede wszystkim rozwiązań, które już dziś wyróżniają nasze miasto w Polsce i to całkiem nie najgorzej. Przybysze z innych ośrodków, nawet ci najpoważniejsi, często skracają narady delegacyjne słowami: prosimy o zwolnienie już nas, bo chcemy pobiegać po sklepach na Piotrkowskiej.

Rozważmy, co by się stało, gdybyśmy przestali ścigać pieszych przechodzących „niewłaściwie" Piotrkowską od Głównej do placu Wolności, zlikwidujmy zebry. Przecież na skutek nowego ustawienia znaków ruch samochodowy na tym odcinku nie przekracza 20 kg/godz. Niech więc kolorowe samochody sobie radzą, a ludzie chodzą, niech ta ulica będzie unikalnym deptakiem, przypominającym ciągły festyn, czasy, w których samochody były poprzedzane facetem z trąbką lub dzwonkiem, a poprzez bramy kamienic i kamieniczek można było wchodzić do unikalnych domów towarowych, kafejek, warsztacików rzemieślniczych, klubów i hoteników. W domkach dawnych tkaczy odnowionych i wyremontowanych drewnem (materiałem onych lat) niech zasiądą karczmarze znający swój fach i serwujący „djabelskie jadło" – które przecież nie tylko w Panoramie XXX-lecia w Warszawie robiło furorę...

Gdzież się wtedy spotkamy?... Ano, na Piotrkowskiej...

Aleksander Zwierko

Główny projektant I etapu przebudowy Centrum

DIALOG Z SUMIENIEM

Lubię Igę Cembrzyńską, mam wiele uznania dla jej sztuki aktorskiej, toteż ze zrozumiałym zadowoleniem przyjąłem wiadomość o występie aktorki w łódzkim Klubie Dziennikarza, w spektaklu „Dialog z sumieniem". Przedstawienie miało się odbyć w dniu 25 listopada br. o godz. 20.00. Publiczność łódzka wypełniła szczelnie niewielką salkę Klubu Dziennikarza. Nikt się nie spóźnił i punktualnie o godzinie 20.00 wszystkie miejsca na widowni były zajęte. Rozmyślając o zdyscyplinowaniu łódzkiej publiczności i jej szacunku dla wydarzeń artystycznych ani się nie spostrzegłem, jak zrobiła się godzina 20.20. Ponieważ nikt nikogo nie przepraszał i nikt niczego nie prostował, upewniłem się tylko u sąsiadów, czy przyszedłem na właściwy spektakl, we właściwym dniu i o właściwej porze. Uspokojony, że wszystko jest w porządku, czekałem nadal z innymi wielbicielami talentu Igi Cembrzyńskiej przez dalszych dziesięć minut.

O godz. 20.30 na estradę wszedł wasaty pan, niosąc z sobą duże, okrągłe pudło. Na oczach zdezorientowanej widowni zdjął skórzaną kurtkę, ściągnął sweter i rzuciwszy odzież na parapet okienny przystąpił do rozpakowywania pudeł.

Widownia przywitała pojawienie się pana nieśmiałymi oklaskami, które uciszone zostały uspokajającym acz kategorycznym gęstem ręki.

O godzinie 20.35 pojawiła się Iga Cembrzyńska. Nie na estradzie. Z boku sali, bezpośrednim „dobry wieczór państwu" przywitała publiczność, po czym prosząc o cierpliwość, wytłumaczyła niemożność rozpoczęcia spektaklu koniecznością uprzedniego rozstawienia bębnów.

O godzinie 20.40 na estradzie pojawił się inny pan, tym razem brodaty i przyniósł kontrabas, który położył na scenie. Inteligentna publiczność skarcona przez pierwszego pana ani drgnęła. Nie było żadnych braw.

W tym samym mniej więcej czasie trzeci pan, różniący się od dwu poprzednich posiadaniem pełni męskiego zarostu, rozpoczął montaż mikrofonów i reflektorów. Z cudowną zręcznością rozplątywał dziesiątki metrów kabli, wtykał, podłączał, przedłużał, zapalał, sprzęgał i gasił.

O godzinie 20.45 ponownie wystąpiła Iga Cembrzyńska. Ale jeszcze nie na estradzie. Z sali zwróciła się z wyrzutem w głosie do pana zajętego przykręcaniem śrubek w bębnach: „Władek, pośpiesz się, bo państwo czekają!"

Na estradzie rosła góra bębnów i talerzy, a wraz z nią zapowiedź wielkich wydarzeń. W końcu, łupnięcie kilka razy w każdy bęben, a było ich pięć oraz w co drugi talerz – a było ich około ośmiu, miało świadczyć, że Władek jest gotowy.

O godzinie 20,59 na estradzie pojawił się nowy pan, którego nie znałem z imienia i który o tyle wydał mi się oryginalny w stosunku do innych panów, że nie miał ani brody, ani wąsów. Pan przeprosił publiczność za opóźnienie wynikłe z przyczyn obiektywnych i spowodowane (tu wziął wszystkich obecnych na sali za świadków) koniecznością rozłożenia bębnów. W krótkim przemówieniu przypomniał publiczności, że na spektakl zaprosiła się sama, płacąc za bilety od 20 do 25 złotych za miejsce, po czym obwieścił listę sukcesów przedstawienia w warszawskim teatrze „Prochownia" oraz na Festiwalu Teatrów Jednego Aktora we Wrocławiu.

Tak więc o godzinie 21,05 zaczęło się przedstawienie. Koncepcja artystyczna była oryginalna, rozmowa z sumieniem daleka była w nastroju — jak by się chciało — od intymnej zadumy, czy filozoficznych rozważań. Była to raczej awantura. Drapieżna, hałaśliwa, wulgarna z wzajemnym skakaniem sobie do gardła i obrzucaniem się wyzwiskami.

Nie chodzi tu jednak o moje osobiste odczucia klimatu rozmowy. Ważne jest to, że ten czytelny był tylko w połowie, a odebrane wrażenia oparte wyłącznie o to, co zaproponował nam w dialogu z sumieniem zespół wybitnych instrumentalistów. Nikt bowiem z sali nie słyszał głosu gwiazdy, usiłującej bezskutecznie przekrzyczeć szalejącego na pięciu bębnach i ośmiu talerzach Władka.

Gdzieś w połowie przedstawienia popsuł się reflektor punktowy, oświetlający gwiazdę. Od tej pory nie tylko nie było jej słychać, ale z widocznością też zrobiło się kiepsko. Mimo zabiegów stosowanych przez Jacka, reflektor nie chciał się zapalić.

„Śmierć" odbyła się w ciemności. Agonia, choć okropnie głośna, była cudownie niespodziewana. Po prostu w pewnej chwili ustał hałas i zapaliło się światło. Była godzina 21,55.

Nikt z zebranych na sali nie wiedział, czy skończyła się pierwsza z zapowiedzianych części przedstawienia, czy też skończyło się całe przedstawienie? Czy te pojedyncze osoby, które leniwie podążyły w kierunku szatni, to grupa malkontentów, nie znających się na sztuce, opuszczająca Klub przed końcem spektaklu, czy też ci, którzy po prostu idą do domu po zakończonym widowisku.

Dr med. Jerzy Bodalski

P.S. Nazajutrz w porannej prasie łódzkiej szukałem wzmianki o skandalu, jaki rozegrał się w jaskini lwa — Klubie Dziennikarza. Wydawało mi się nieprawdopodobne, żeby krzyczące o pomstę do nieba lekceważenie ludzi spragnionych teatru nie spotkało się z ani jednym głosem protestu ze strony najbardziej do tego powołanych — gospodarzy Klubu.

Nic takiego się nie wydarzyło. Stąd mój apel, a może nawet i żądanie w imieniu widowni nabitej w butelkę pod adresem pani Igi Cembrzyńskiej, wybitnych instrumentalistów i organizatorów imprezy: Ludzie! Porozmawiajcie z sumieniem!

UROCZYSTOŚCI W TEATRZE WIELKIM

W minioną sobotę zespół Teatru Wielkiego, a wraz z nim społeczeństwo Łodzi przeżywało swój wielki dzień — nasz Teatr Wielki obchodził jubileusz 20-lecia swej działalności. Ten fakt ma swoją głęboką wymowę. Od zarania państwowości Polski Ludowej, cechą znamienną rozwoju naszego miasta były podejmowane inicjatywy i działania celem wyrównania dysproporcji tego ogromnego centrum przemysłowego, dzielących je od innych miast szczycących się wielowiekowymi tradycjami kulturalnymi. Nasze tradycje kulturalne tworzyliśmy sami. Chlubną i szczytną rolę w dziele tym odegrało grono artystów muzyków, śpiewaków i tancerzy, którzy utworzyli pierwszy w naszym mieście zespół operowy. W roku 1967 zespół ten otrzymał jeden z najwspanialszych i najnowocześniejszych w Europie gmachów teatralnych i rozbudował zespół operowy, który zalicza się obecnie do czołowych oper w kraju i zajmuje równie wysoką pozycję międzynarodową. Występy jego orkiestry, solistów, dyrygentów przynoszą zaszczyt nie tylko teatrowi, ale także naszemu miastu. Nic więc dziwnego że jubileuszowe uroczystości zespołu Teatru Wielkiego przeżywaliśmy szczególnie radośnie i żywo.

We wczesnych godzinach popołudniowych w głównym foyer teatru odbyła się uroczystość dekoracji wysokimi odznaczeniami państwowymi zasłużonych członków zespołu Teatru Wielkiego. Aktu dekoracji dokonali: członek KC PZPR, I sekretarz KI PZPR, przewodniczący RN, m. Łodzi — **B. Koperski**, prezydent naszego miasta — **J. Lorens** oraz wiceminister kultury i sztuki — **A. Syczewski.**

KRZYŻEM OFICERSKIM ORDERU ODRODZENIA POLSKI udekorowany został **Stanisław Piotrowski.**

KRZYŻE KAWALERSKIE ORDERU ODRODZENIA POLSKI otrzymali: **Michał Marchut, Igor Mikulin, Romuald Spychalski, Teresa Wojtaszek-Kubiak, Teresa Żylis-Gara i Alicja Dankowska-Prawdzic.**

ZŁOTE KRZYŻE ZASŁUGI: Delfina Ambroziak, Wojciech Bacza, Franciszek Bartosiak, Stanisław Bzdurski, Kazimierz Cybulski, Tadeusz Gawroński, Stanisław Heimberger, Jerzy Jadczak, Maria Jeleń, Maria Łapińska-Parnell, Zofia Łopalewska-Niesobska, Bogusław Madey, Władysław Malczewski, Stanisław Michoński, Izabella Mika, Antoni Nowaliński, Roman Osiński, Jadwiga Pitraszkiewicz-Michińska, Halina Romanowska-Wojtyra i Elżbieta Zimoń.

Ponadto przyznano 9 srebrnych Krzyżów Zasługi, 3 Brązowe Krzyże Zasługi, 3 Honorowe Odznaki M. Łodzi i 8 Odznak Zasłużonego Działacza Kultury.

Wieczorem, w zapełnionej sali Teatru Wielkiego odbyła się wielka galowa uroczystość jubileuszowa. Miejsca na widowni zajęli przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych, środowisk artystycznych i naukowych naszego miasta, a także liczne delegacje zakładów pracy, z którymi teatr utrzymuje wieloletnie kontakty i współpracę.

Po krótkim wystąpieniu dyrektora teatru — **W. Boczkowskiego** nastąpił moment szczególnie podniosły i uroczysty — wręczenie przyznanego przez Radę Państwa Teatrowi Wielkiemu w Łodzi **ORDERU SZTANDARU PRACY II KLASY.** Odznaczenie to, które w imieniu władz partyjnych i administracyjnych przekazał **B. Koperski**, jest dowodem uznania zasług zespołu Teatru Wielkiego w upowszechnianiu kultury i sztuki w robotniczym środowisku miasta Łodzi. W imieniu społeczeństwa naszego miasta **B. Koperski** wyraził słowa szczerego podziękowania za dotychczasowy trud i wspaniałe efekty pracy zespołu TW, wszystkim natomiast jego członkom życzył dalszych znakomitych osiągnięć.

Na program galowego koncertu, który odbył się po części oficjalnej złożyły się wybitne dzieła kompozytorów polskich. Zespół wystąpił z **uwerturą i III aktem „Halki"**, prologiem do „Strasznego Dworu" Moniuszki, i baletem „Harnasie" — Szymanowskiego. Orkiestrę prowadziło kolejno trzech dyrygentów: **B. Madey, M. Wojciechowski i Z. Latoszewski.** Partie solowe śpiewali: **H. Romanowska, T. Kopacki, K. Misztela, M. Marchut, T. Gawroński i A. Duliński.** Solistami baletu byli: **I. Błaszczyk, L. Kowalska, J. Niesobska M. Zalejska, K. Zalewska, B. Jankowski, K. Knol, M. Miedziński, R. Radek i K. Wrzosek.**

Po zakończeniu koncertu zebrana publiczność zgotowała artystom długotrwałą owację.

(jot)

MUZEA

REGIONALNE W PIOTRKOWIE

Powstanie Muzeum Regionalnego w Piotrkowie Trybunalskim to w dużej mierze zasługa Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Długoletni prezes tej organizacji Michał Rawita — Witanowski społeczny kustosz muzeum, autor licznych prac historycznych, etnograficznych, krajoznawczych był faktycznym organizatorem placówki. Początkowo zbierane przez społeczeństwo miasta zabytki przechowywano w klasztorze OO Bernardynów. W 1918 r. przekazano dla muzeum zamek, który też z funduszów społecznych został częściowo odrestaurowany.

Zamek powstał na niewielkim obszarze otoczonym „przykopem". Była to budowla na planie kwadratu (18×20), dwupiętrowa. Na parterze mieściła się duża sień, niewielka sypialnia i izba zamieszkana przez członka dworu królewskiego. Na pierwszym piętrze obszerna sień, sypialnia i izba królewska, na drugim piętrze sień i wzdłuż niej wielka izba. Wokół zamku poza obrębem fosy istniał szereg budynków związanych z dworem królewskim.

Pierwszy zapis dotyczący budowy omawianego obiektu w 1511 roku nazywa go wieżą. Nazwa ta pozostaje w źródłach pisanych przez cały czas panowania fundatora. Dopiero po śmierci Zygmunta I, gdy wieża stała się siedzibą urzędu grodzkiego, przylgnęła doń nazwa zamek.

W dziejach polskiej architektury obronnej zajmuje budowla piotrkowska wyjątkową pozycję. Ta XVI-wieczna siedziba królewska, dzieło najdoskonalszego w Polsce przedstawiciela stylu gotycko-renesansowego, fundacja króla, który pozostawił po sobie najznakomitsze w naszym kraju dzieła renesansu, reprezentuje w zasadzie typ średniowiecznej wieży mieszkalnej, typ zapóźniony o prawie dwa stulecia w stosunku do aktualnych koncepcji architektonicznych.

Pierwsza wzmianka pisana o tym grodzie pochodzi z 1217 roku, wtedy to odbywały się tu sądy, można więc mniemać, że osiedle istniało już w XII w. Przez Piotrków przechodziły ważne szlaki handlowe.

Jako miasto po raz pierwszy wystąpił Piotrków w 1313 roku. Od 1354 r. był miejscem zjazdów generalnych i sejmów. Za czasów Kazimierza Wielkiego miasto zostało otoczone murami obronnymi, których relikty widoczne są do dziś.

Dzięki dogodnemu położeniu na styku trzech dzielnic: Małopolski, Wielkopolski i Mazowsza stał się Piotrków w okresie Odrodzenia jednym z głównych centrów życia politycznego.

Ciężkie chwile przeżywał Piotrków w czasach najazdu szwedzkiego w poł. XVII w. Kiedy w maju 1657 r. wojska Stefana Czarnieckiego odbiły miasto, było ono zupełnie zniszczone.

Budowa warszawsko-wiedeńskiej linii kolejowej w 1846 r., nadanie praw miasta gubernialnego sprzyjało powstawaniu licznych zakładów przemysłowych. W końcu XIX wieku powstały huty szkła, manufaktura bawełniana, młyn. Miasto stało się poważnym ośrodkiem klasy robotniczej.

W styczniu 1905 r. wybuchł tu strajk powszechny kierowany przez SDKPiL i PPS oraz pierwszy w łódzkim okręgu strajk młodzieży szkół średnich. Liczne strajki miały miejsce w okresie międzywojennym.

W maju 1942 r. w lasy piotrkowskie wyruszył oddział Gwardii Ludowej dowodzony przez „Małego Franka" — Franciszka Zubrzyckiego.

Najstarszym dziejom regionu i miasta poświęcone są wystawy stałe w zamkowych komnatach. Wydarzenia lat ostatniej wojny znalazły swój oddźwięk w ekspozycji Muzeum Czynu Partyzanckiego w Polichnie. Muzeum to będące oddziałem muzeum piotrkowskiego, powstało w 1968 r.

Placówka w Polichnie należy do najliczniej odwiedzanych w województwie łódzkim. W 1973 roku zwiedziło ją ponad 30 tys. osób. Wśród wycieczek najliczniejszą część stanowi młodzież, dla której Polichno jest jednym z etapów podróży szlakiem walk partyzanckich.

Muzeum w Piotrkowie Trybunalskim i jego oddział w Polichnie jest przykładem współczesnej placówki regionalnej — pozwala zapoznać się z dziejami regionu od czasów najdawniejszych, aż po historię najnowszą.

JERZY AUGUSTYNIAK

KAMMERSÄNGERIN IZABELLA NAWE

Dalszy ciąg ze str. 1

Często także ingerować musi w tekst libretta, dokonywać skrótów, ciągle pamiętając o tym, by nie było to ze szkodą dla linii dramaturgicznej muzyki itd. Miałam jednak szczęście pracować z reżyserami, którzy potrafili przekazać mi wiele ze swych artystycznych doświadczeń. Pragnę jednak nadmienić, że praca reżyserów niemieckich z solistami jest o tyle ułatwiona, że przy Berlińskiej Staatsoper istnieje Studio Operowe, gdzie absolwenci konserwatorium przygotowywani są do zawodu. A więc uczą się dykcji, interpretacji aktorskiej itp.

— W ciągu ośmiu lat Pani kariery artystycznej oglądaliśmy Panią przez cztery lata w Teatrze Wielkim w Łodzi. Cztery już lata występuje Pani w Berlińskiej Staatsoper.

— Każdy artysta marzy o występach na znakomitych scenach. Daje to wiele satysfakcji, choć nie tylko. Moje wojaże były dla mnie doskonałą szkołą warsztatu. Stworzyły możliwości konfrontacji moich umiejętności z umiejętnościami innych. Pozwoliły cągle pracować nad sobą, doskonalić głos i umiejętności aktorskie. Jednak najcieplej wspominam swój debiut w „Rigoletcie" w Teatrze Wielkim w Łodzi.

— Czy w repertuarze operowym jest jeszcze jakaś partia, którą chciałaby Pani wykonać?

— Tak. „Łucja z Lammermooru". Frapuje mnie także potrójna rola Olimpii, Giulietty i Antonii w „Opowieściach Hoffmanna" Offenbacha.

— Jak pokonała Pani trudności językowe po zaangażowaniu do Berlińskiej Staatsoper?

— Przez pierwszy rok dyrekcja w Berlinie zrobiła dla mnie wyjątek. Śpiewałam po polsku. Obecnie większość partii mam opanowanych w języku niemieckim i włoskim.

—W NRD jest Pani znana i ceniona. Znakomitym tego dowodem jest przyznanie Pani przez Ministerstwo Kultury i Sztuki NRD tytułu Kammersängerin, jako wyrazu najwyższego uznania dla Pani artystycznych osiągnięć. To zaszczytne wyróżnienie rzadko spotyka obcokrajowców. Pani jako pierwsza polska śpiewaczka została tak wysoko uhonorowana.

— Nie ukrywam, że jestem z tego dumna. Cieszy mnie to, że po czterech latach naprawdę ciężkiej pracy w NRD, latach wielu wyrzeczeń, zostałam tak usatysfakcjonowana. Jest to dla mnie najwspanialszy impuls do dalszej pracy.

— Co Pani ma w najbliższych planach?

— Pracę nad „Kopciuszkiem", wyjazdy z „Don Pasquale" do Japonii i Australii, dalsze nagrania z Orkiestrą Radia Berlińskiego, występy w Telewizji NRD, jak również występy w Polsce.

— Pamięta Pani o polskiej publiczności.

— Tak, zależy mi na tym bardzo. W najbliższym czasie wystąpię dla łódzkiej publiczności, prowdopodobnie w styczniu, w Łódzkiej Filharmonii, której orkiestrę tym razem poprowadzi Henryk Debich.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BIŃKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

CHILE – ŹRÓDŁA TRAGEDII (4)

ANDRZEJ BLAJER

POD RZĄDAMI JUNTY

Minął już ponad rok od momentu, gdy władzę w Chile przejęła junta wojskowa. Obaliwszy legalny rząd prezydenta Salvadora Allende, junta rozpoczęła swą krwawą działalność. Początkowo — zwłaszcza wśród warstw średnich Chile — sądzono, iż ostrze jej będzie wymierzone przede wszystkim przeciw lewicy, trzonie koalicji Unidad Popular, a w szczególności przeciw komunistom i socjalistom. Liczono, że armia wykona brudną robotę i wycofa się wierna swej legalistycznej tradycji, przekazując władzę chrześcijańskiej demokracji, którą ta ostatnia utraciła w 1970 roku w wyniku zwycięstwa odniesionego w wyborach przez Front Jedności Ludowej. Ugrupowania centrystów, konserwatystów i umiarkowanej prawicy miały nadzieję, że po pewnym czasie uda im się odzyskać utracony prestiż i pozyskać pewną część narodu, głosząc program umiarkowanych reform społecznych. Armia zaś swą pozycją miałaby wspierać te posunięcia. Nie powinna jednak bezpośrednio ingerować w życie polityczne.

Już wkrótce po krwawym zamachu z 11 września miało się okazać, jak mylne i naiwne były to rachuby. Wojskowa junta nie miała bowiem najmniejszego zamiaru wypuścić steru rządów ze swych rąk. Nie ma również mowy o tym, aby w najbliższej przyszłości mogły zostać rozpisane nowe wybory.

Co pewien czas dowiadujemy się o nowych, potwornych zbrodniach, jakie junta wciąż popełnia na narodzie chilijskim. Ostrze terroru, wbrew wspomnianym wyżej przewidywaniom, obróciło się również przeciw tym, którzy w latach 1970—1973 nie tylko nie byli zwolennikami rządu Unidad Popular, ale nawet czynnie sabotowali jego działalność. Wśród nich nie brak rozczarowanych warstw średnich i posiadających, choć z takim entuzjazmem witali oni pucz wojskowy 11 września 1973 roku. Nie brak także przedstawicieli chrześcijańskiej demokracji i liberałów, jak i pewnych kręgów umiarkowanych konserwatystów. Dziś wielu z nich, niestety zbyt późno, zrozumiało, jak wielki błąd popełniło w tamtych decydujących dniach. Niektórzy z nich wyciągnęli właściwe wnioski z lekcji wrześniowej, uznając za pierwszoplanowe zadanie konieczność wyzwolenia kraju spod przemocy i terroru faszystowskich rządów junty.

Nikt obecnie nie jest w stanie określić dokładnie, ile osób zginęło w wyniku działalności faszystowskiego terroru. Z szacunkowych danych, trudnych do sprawdzenia i ujawnianych sporadycznie wynika, iż liczba ofiar sięga kilkudziesięciu tysięcy zabitych. Harald Edelstam, szwedzki ambasador w Chile, uznany przez chilijską juntę w grudniu ub. roku a persona non grata, podał, iż tylko w pierwszym kwartale jej rządów zginęło co najmniej 15.000 ludzi. Podczas przesłuchań w senackiej komisji spraw zagranicznych Kongresu amerykańskiego, dyrektor generalny CIA, William Colby przyznał, iż według danych jego agencji zamach stanu w Chile pociągnął za sobą tylko około 2000—3000 ofiar śmiertelnych wśród zwolenników rządów koalicji Jedności Ludowej. (sic!) Z późniejszych danych tej samej agencji wynikało, iż liczba ta wynosi około 25.000.

Utworzono Międzynarodową Komisję do Badania Zbrodni Junty Chilijskiej, dzięki staraniom której międzynarodowa opinia publiczna mogła się dowiedzieć o zbrodniczych poczynaniach faszystowskiego reżimu w Chile.

1.

Armie krajów latynoamerykańskich szybko, bo już w początkowym okresie kształtowania się ich państwowości, tj. w okresie walk o niepodległość byłych kolonii, zasymilowały się z powstającym burżuazyjnym systemem polityczno-społecznym, stając się jego główną podporą. Siły zbrojne stanowiły zarazem główny instrument klasowego panowania rodzimej burżauzji. Rychło stały się one podstawą ustroju społecznego tych państw. Wiek XX, ze względu na rosnące znaczenie polityczne Stanów Zjednoczonych, przyniósł uzależnienie się poszczególnych państw kontynentu latynoamerykańskiego od wpływów USA. Szczególnie wyraźnie uwidoczniło się to po II wojnie światowej. W wielu krajach Ameryki Południowej rola sił zbrojnych zaczęła ulegać szybko postępującej ewolucji. Było to spowodowane m. in. wzrostem znaczenia warstw średnich oraz gwałtowną polaryzacją sił społecznych w niektórych państwach. Efektem tych zjawisk było utworzenie się w tych krajach dyktatur wojskowych, które notabene były bardzo nietrwałe. W armii szerzyła się korupcja, panowały niezdrowe stosunki i rywalizacja między rodzajami sił zbrojnych. Armia była poza tym wciąż wykorzystywana do własnych celów przez wpływowe koła burżuazji monopolistycznych.

Z drugiej strony, biorąc pod uwagę powszechne na kontynencie południowoamerykańskim zacofanie społeczne, gospodarcze i kulturalne — armia reprezentowała w tych warunkach najlepiej wyszkolone, przygotowane i zorganizowane pod względem sprawności kadry. Toteż wszelkie posunięcia mające na celu depolityzację sił zbrojnych nie zawsze mogły liczyć na powodzenie, jako że armia z wymienionych wyżej powodów uważała, iż ma prawo współuczestniczenia bezpośrednio w sprawowaniu władzy państwowej i kierowaniu losami kraju. Ważnym czynnikiem w tym względzie było oblicze społeczne kadry oficerskiej armii latynoskich, w swej większości reprezentującej warstwy średnie i drobnomieszczaństwo, które miały aspiracje do zajęcia pozycji odzwierciedlającej ich faktyczne znaczenie w państwie i społeczeństwie. Krajem, w którym tendencja zbieżności w tworzeniu się zawodowej armii z taką właśnie ewolucją pozycji warstw średnich, zarysowała się szczególnie ostro — było Chile. Zresztą potwierdza to doskonale skład socjalny sił zbrojnych tego państwa. Według oficjalnych danych 42 proc. oficerów chilijskich reprezentuje kręgi wielkiej burżuazji i oligarchii ziemskiej, 35 proc. — dobrze sytuowane warstwy średnie, zaś 19 proc. — drobnomieszczaństwo.

Patrząc na te liczby nie można nie wyciągnąć pewnych oczywistych wniosków, które częściowo stanowią odpowiedź na to, dlaczego oddziaływanie polityczne rządu Allende na armię było tak niewielkie.

Po pierwsze — symbioza wojska z prawicą społeczną była niemal zinstytucjonalizowana. Korpus oficerski był nieraz ostatnim schronieniem dla arystokratów, którzy wyciskali na nim piętno antydemokratycznych tradycji.

Po drugie — silna pozycja tzw. warstw pośrednich w siłach zbrojnych Ameryki Południowej powodowała, iż polityczna rola armii każdorazowo była uwarunkowana stanowiskiem społecznym zajmowanym przez te warstwy.

Ten ostatni czynnik, obrazujący społeczną funkcję armii na tym kontynencie, tłumaczy zarazem dwa zjawiska:

1) dlaczego ta sama armia, która dokonała krwawego zamachu stanu 11 września ub. roku, początkowo popierała pewne posunięcia rządu Frontu Jedności Ludowej?

2) dlaczego na przykład armia Peru przyczyniła się w tak dużym stopniu do dokonanych w tym kraju postępowych przeobrażeń?

Z funkcji tej wynika bowiem, iż możliwa jest zawsze ewolucja stanowiska armii w dwóch klasowo przeciwstawnych sobie kierunkach, gdyż jest ono niejako wykładnikiem pozycji, jaką wobec danego problemu reprezentują warstwy pośrednie.

Jeśli, jak to było na początku eksperymentu chilijskiego, lub ma miejsce obecnie w Peru czy Ekwadorze, warstwy pośrednie, czując się zagrożone przez obcy i rodzimy kapitał monopolistyczny, integrują się na pozycjach patriotycznych, postępowych, antyimperialistycznych i narodowo-mieszczańskich, zacieśniając zarazem sojusz z klasą robotniczą i masami ludowymi; jeśli przechodzą do opozycji wobec oligarchii ziemskiej i przemysłowej, to również armia zajmuje z reguły pozycję społecznie i politycznie postępową.

Natomiast gdy stanowisko warstw średnich reprezentuje pozycje polityczne wsteczne, tak jak to miało miejsce w Chile w ostatnich tygodniach przed zamachem stanu, to tym bardziej zajmie je armia, której trzon jest jeszcze dodatkowo onanowany przez prawicę i warstwy posiadające.

2.

Okazało się jednak, iż łatwiej władzę zdobyć, niż ją skutecznie sprawować. Brak jasno określonego programu działania, a także obawa o jutro wobec potężniejącego z każdym dniem oporu społeczeństwa, spowodowały, iż przywódcy junty postanowili rozpętać masowy terror policyjny jako swoistego rodzaju panaceum na wszelkie bolączki związane ze sprawowaniem przez nich władzy. Mimo zastosowania z upływem czasu bardziej selektywnych, a zatem bardziej wyrafinowanych metod działania w tym względzie, co znalazło wyraz w utworzeniu Departamento de Inteligencia Nacional (DINA), czyli Krajowego Departamentu Śledczego (koordynującego wszystkie akcje represyjne na terenie kraju) — okazało się, iż narodu chilijskiego nie udało się zastraszyć, a przeciwnie — metody te wywołały skutki wręcz odwrotne. (Notabene specjalnym „ekspertem" DINA został były współpracownik Eichmanna i wynalazca komór gazowych SS-Obersturmbannführer Walter Rauff).

Ciekawe zaś co sądzą o swoich poczynaniach przedstawiciele junty. Jej szef, gen. Augusto Pinochet zapytany, dlaczego utrzymuje kraj w stanie wojny, odpowiedział:

„Ponieważ pragnę stworzyć Chilijczykom atmosferę spokoju i porządku. Faktem jest, że sytuacja jest kontrolowana, jednakże siły zbrojne i porządkowe muszą pozostawać czujne, aby udaremnić wszelkie możliwe próby sabotażu czy terroru. My walczymy w sposób rozsądny i przy użyciu naszych metod znormalizowaliśmy sytuację w całym kraju, przywróciliśmy status quo". (sic!)

Na pytanie zaś ile dziesiątków tysięcy obywateli przebywa w więzieniu, zdumiony Pinochet zaprzeczył:

„Nie ma więźniów! Są ludzie wydaleni, „relegados", inni zaś są przesiedleni „traslados". Ale podkreślam, że nie są oni w więzieniu. Mogą pracować i przechadzać się. I wszystko to jest legalne, ponieważ chilijskie prawo o „wydaleniu" daje rządowi, w stanie wojny, władzę przesiedlania osób z jednego miejsca na drugie. Tych „relegados" jest około 14.000, lecz spośród nich 3.500 to „traslados". Nie mówię o zwykłych przestępcach, ani o kierownikach przedsiębiorstw, którzy przywłaszczyli sobie kapitały, lub popełnili inne przestępstwa gospodarcze. Są to złodzieje i jako tacy znaleźli się w więzieniu".

Z kolei na pytanie, czy prawdą jest, że więźniowie polityczni są torturowani, odpowiedź Pinocheta brzmiała:

„W Chile nie stosuje się tortur, ponieważ jest tysiąc innych sposobów, by skłonić ludzi do mówienia. Jednakże, aby uniknąć plotek, podczas mojej podróży na północ wysłałem gen. Bonilla, ministra spraw wewnętrznych, aby odwiedził aresztowanych w Pisagua i Chacabuco. Więźniowie cieszą się najlepszym zdrowiem, o czym mogą zaświadczyć moi wysłannicy. Jeśli ktoś udaje, że kuleje, to tylko dlatego, że tak przykazała mu partia socjalistycznt lub komunistyczna". (sic!)

3.

Jaki jest bilans politycznej działalności junty w przeciągu minionego roku?

We wszystkich dziedzinach życia uczyniono duży krok wstecz. Sytuacja gospodarcza kraju jest dziś wręcz tragiczna. Recesja. Kilkakrotny wzrost cen żywności. Praktyczna likwidacja skutków szerokiej redystrybucji dochodów, wprowadzonej na korzyść najuboższych grup ludności w okresie pierwszych dwóch lat rządów Unidad Popular. Stopa inflacji wynosi dziś około 2.000 proc., podczas gdy w ostatnich dniach rządów Allende, a więc w okresie totalnego sabotażu ze strony opozycji i międzynarodowego kapitału, reprezentowała i tak już zawrotną liczbę 350 proc. Wiele zasadniczych reform przeprowadzonych przez Front Jedności Ludowej zostało już zaprzepaszczonych. Ministerstwo gospodarki, którym kierował Pedro Vuskovic, zmierzający do odebrania prawicy wpływów w przemyśle chilijskim, junta powierzyła Fernando Leniżowi, szefowi grupy Mercurio — największego przedsiębiorstwa prasowego w Chile. Upaństwowione banki znowu powracają do swych dawnych właścicieli. Podstawowe, upaństwowione gałęzie przemysłu ulegają reprywatyzacji. Ziemia rozdzielona na mocy ustawy o reformie rolnej jest zwracana obszarnikom i latyfundystom. Co więcej, junta gotowa jest wypłacić odszkodowanie amerykańskim koncernom za ich mienie znacjonalizowane na mocy ustawy o odszkodowaniach za nacjonalizację miedzi. (Pierwsza rata tego odszkodowania ma wynieść około 50 milionów dolarów).

Zawieszone zostały wszelkie swobody konstytucyjne, jak wolność słowa, zgromadzeń. Informacja jest ściśle cenzurowana. Uniwersytety utraciły autonomię. Wielu profesorów, młodych pracowników naukowych i studentów zginęło lub zostało aresztowanych. Tak na przykład na uniwersytecie w Valparaiso brakuje około 50 proc. kadry naukowo-dydaktycznej. Wszelkie postępowe dzieła literatury światowej znalazły się na indeksie książek zakazanych. Junta zabiega — posługując się przy tym pospolitym kłamstwem — o to, aby stworzyć wrażenie, iż jej posunięcia cieszą się poparciem narodu.

Poważnie ograniczono lub nawet zawieszono działalność tych partii, które występowały czynnie przeciwko rządom koalicji Unidad Popular, jak to miało miejsce w przypadku chrześcijańskiej demokracji, czy nawet skrajnie prawicowej partii „Ojczyzna i Wolność".

Przemawiając w nowej siedzibie junty, pałacu Diego Portalesa (założyciela Republiki i armii chilijskiej, a porównywanego z Bismarckiem — symbol chyba nieprzypadkowy), gen. Pinochet wystąpił z ostrym atakiem przeciw chadecji, oskarżając ją, iż przyczyniła się wspólnie z lewicą do „upadku państwa" i utraty „jego charakteru narodowego". Zapowiedział przy tym, iż „rząd sił zbrojnych i policji będzie sprawował władzę z całą stanowczością i że zastrzega sobie prawo wyciągania pełnych konsekwencji w stosunku do każdego przejawu niezdyscyplinowania i anarchii".

4.

Generał Augusto Pinochet przyjął tytuł „Najwyższego Przywódcy Narodu". Tak więc dyktatura kolegialna zaczęła się przeobrażać w dyktaturę jednoosobową, o faszystowskich metodach rządzenia. Nie przypadkiem używam tu przymiotnika „faszystowski", gdyż choć w Chile instytucjonalizacja życia społecznego, charakterystyczna dla systemów faszystowskich jeszcze się nie dokonała, choć brak jest na razie ideologicznego uzasadnienia działań junty, a przede wszystkim organizacji partyjnej i państwowej oraz zorganizowanego poparcia pewnych grup społecznych, to w odniesieniu do metod, jakimi junta posługuje się przy sprawowaniu władzy, w pełni zasługują one na to, aby nazwać je faszystowskimi. Oczywiście nie należy tych antydemokratycznych tendencji występujących w Chile absolutyzować, choć z drugiej strony nie wolno też zapominać, że w określonych warunkach mogą one doprowadzić do ustanowienia reżimu faszystowskiego.

Przywódcy junty reprezentują różne rodzaje wojsk, które od dawna rywalizują z sobą. Za najbardziej umiarkowaną uchodzi np. armia lądowa, natomiast za najbardziej konserwatywną i prawicową — marynarka wojenna (najlepiej wyposażona w broń i kadrę o wysokich kwalifikacjach). Również wśród generałów stanowiących juntę nie ma pełnej jedności poglądów, co do realizacji polityki rządu wojskowego w szeregu dziedzinach. Tak np. obecny minister obrony, gen. Oscar Bonilla, uchodzący za człowieka nr 2 w juncie, stara się przy pomocy populistycznego tonu pozyskać poparcie robotników czy górników kopalń miedzi. Z kolei wiadomo, iż np. gen. Gustavo Leigh Guzman, reprezentujący w łonie junty lotnictwo, uchodzi w niej za człowieka „najbardziej na prawo", zaś admirał Jose Merino Castro, jak i dowódca żandarmerii, gen. Mendoza nie wydają się być zbyt „silnymi ludźmi".

Widać dziś jasno, iż krwawy zamach stanu w Chile przyniósł temu państwu prawie całkowitą izolację w świecie (niechlubny wyjątek stanowi tu, obok najbardziej reakcyjnych krajów, także Chińska Republika Ludowa). Również na kontynencie południowoamerykańskim antydemokratyczny przewrót nie zmienił zasadniczo sytuacji politycznej. Najbliższy sąsiad Chile, mimo śmierci prezydenta Juana Perona, nadal steruje niezależnym kursem. Proces postępowych reform w tym kraju, podobnie jak i w Peru, nie został więc zahamowany. Z kolei bliskie związki, zadzierzgnięte przez juntę chilijską z reżimem płk. Banzera w Boliwii, nie poprawiły bynajmniej trudnej sytuacji tego ostatniego. Brazylia — najsilniejsze państwo kontynentu — mimo iż rządzona jest przez oligarchiczno-militarną dyktaturę gen. Ernesto Geisela, woli raczej unikać ostentacyjnego sojuszu z reżimem w Santiago, nie mówiąc już o innych państwach Ameryki Łacińskiej, jak Kolumbia, Wenezuela, Meksyk czy Panama.

Jak więc potoczą się dalsze losy junty chilijskiej, dziś jeszcze trudno dokładnie przewidzieć. Można jednak mieć nadzieję, że pewnego dnia potwierdzą się słowa, jakie tuż przed swoją śmiercią wypowiedział prezydent Salvador Allende, iż zwycięstwo zwolenników siły i bezprawia nad sprawą postępu i sprawiedliwości jest tylko sukcesem chwilowym.

POLEMIKI

CO TO ZNACZY BYĆ LOJALNYM?

W październiku, na zaproszenie Rady Programowej Klubu Studentów Łodzi 77, zespół redakcji „Odgłosy" gościł pod „77", gdzie dyskutowano o sprawach pisma i młodzieży. 31 października 1974 roku na łamach „Odgłosów" ukazała się moja relacja z tego spotkania, która posłużyła mi do wyjaśnienia kilku spraw pisma, o których trzeba było powiedzieć choćby bez tej racji, że wokół „Odgłosów" nagromadziło się sporo nieporozumień i mitów, a ostatnio nawet plotek.

Odpowiedzią na mój felieton pt. „Studenckie spojrzenie w oczy" był „Okólnik 2" podpisany przez Radę Programową Klubu Studentów Łodzi 77, a będący nie tyle „dalszym ciągiem odpowiedzi na pytania z sali..." — jak tego chcą autorzy — ale też polemiką z moim felietonem. Nie mam nic przeciwko polemikom, zawsze dawałem wyraz temu, że uwielbiam rzeczowe i merytoryczne spory, ale niestety — nigdy tego nie ukrywałem — u nas umarł dobry zwyczaj polmizowania i walkę na poglądy zastąpiono walką na insynuacje. Jak się zaraz okaże, studenci w tej walce dorośli już do swoich mistrzów. Oto obszerne fragmenty owej ulotki, która jest zakamuflowaną polemiką z tym łobuzem Marcinem Rodakiem, który śmiał mieć inne zdanie. Ba! — który w ogóle śmiał mieć jakiekolwiek zdanie o studentach i ich rozmowie z redakcją „Odgłosów".

KLUB STUDENTÓW ŁODZI 77
OKÓLNIK 2

Dalszy ciąg dpowiedzi na pytania z sali...

Ledwośmy ochłonęli z oburzenia na widok szerokich rzesz studenckich, które walą do Klubu na piwko, a już nam nowy urósł PROBLEM! Szerokie rzesze okazują się mieć ZAINTERESOWANIA KIERUNKOWE, o czym nam się nie śniło i co nas dotychczas nie obchodziło!.. ponieważ stosowaliśmy ocenę wg reguły „złotego środka" (to jest: przeciętność — PIWKO ZWYKŁE, z poprawką dla ambitnych — FULL LIGHT. A tu nagle co się narobiło!

Oto przejęci swoimi kierunkowymi zainteresowaniami studenci Filologii Polskiej tak się w kupę wzięli, że publicznie dali upust swym kierunkowym wątpliwościom! Żeby choć po cichu, przy piwku — Nie! — zamieszali się w spór z (zaproszoną przecież: kawka, koniaczek, słone paluszki — a jakże!) Redakcją „Odgłosów"...

Od tej pory nie będą już mieli filologowie u nas życia! I inni „artyści" z Filmówki, Teatralnej, Plastycznej — też! Taki wstyd przy obcych ludziach! Nagadali... że im się nie podobają felietony, że recenzje są głupie (co za brak rozeznania), że głupie wiersze — i tak w kółko!!! Już my ich wylegitymujemy! Już my im natrzemy uszu! (I na dodatek jeszcze jakiś „poeta", bezczelny, wtrącił swoje trzy grosze).

HUMANIŚCI psia kość...

Dla naszego wspólnego dobra trzeba ich wyeliminować z Klubu, bo inaczej nie będzie można już nigdy więcej zrobić spotkania z „Odgłosami"! Trzeba przecież pamiętać, że „Odgłosy" już się mogły poczuć oburzone tak nieodpowiedzialnymi zarzutami. Musimy się odciąć od tych pytających, i co więcej, musimy uzgadniać odtąd wszystkie pytania z sali, żeby się ktoś nie wygłupiał!

— Póki co — nie proście nas już więcej o takie spotkania. Bo przecież zrozumcie, że „ODGŁOSY" mają już 18 lat! Są pełnoletnie! Trzeba z nimi rozmawiać POWAŻNIE. To musi być z naszej strony FRONTALNY ATAK, bo jak nie, to ONE potraktują NAS STUDENTÓW — jak dzieci: przyślą nam zabawkę, konisia trojańskiego w ubranku red. Marcina Rodaka... (który nas oceni postronnie — jak w „ODGŁOSACH" z 31.X.1974 r.).

Nie wiemy jednak, czy po tak przykrym incydencie zechcą raz jeszcze nawiedzić nasze progi... Ale przyjdą! Redaktorzy nam wybaczą, bo przecież chcieliby spełnić do końca oczekiwania „obu stron", a przyznają, że nie zawsze się to udaje. Przyjdą, usiądą skromnie z boczku posłuchać o czym rozmawiają, obie wysokie strony, a później zapiszą to z pożytkiem....

Dalszy ciąg nastąpi na wasze zapotrzebowanie

RADA PROGRAMOWA KLUBU STUDENTÓW ŁODZI 77"

Ulotkę tę wraz z listem przysłała mi Katarzyna Spolińska, która pod „77" pełni funkcję zastępcy kierownika do spraw programowych. W liście swym wyjaśnia, że dla „lojalności" przesyła mi ów „Okólnik 2" i przeprasza „za nieco może ostry ton tej ulotki". Zapewniam, że nawet najbardziej ostry nie jest w stanie mnie urazić, jeśli wynika ze słusznych zarzutów, jeśli jest m e r y t o r y c z n i e uzasadniony. Trudno mi jednak polemizować z pseudointelektualnym bełkotem, z zarzutami, których nigdy studentom nie postawiłem, z insynuacjami wreszcie, że to miło jakoby mieć takie, a nie inne intencje.

Mogę natomiast kilka spraw wyjaśnić. Przede wszystkim — mimo obawy, że autorka listu znów pomyśli, że potraktuję ją jak dziecko, chciałbym wyjaśnić, że słowo „lojalny" oznacza dosłownie: „uczciwy, rzetelny w stosunkach z ludźmi". Zupełnie mi nie mieści się w głowie, że można kogoś zaprosić, poczęstować kawą, słonymi paluszkami i koniakiem (a jakże), a potem to wszystko publicznie wypomnieć w formie zarzutu. Coś mi się zdaje, że tu nie o „lojalności" należy mówić, a o plotkarstwie.

Pisząc felieton po spotkaniu w Klubie 77 trzymałem się przede wszystkim tego, o czym tam mówiono, wyjaśniając na kanwie tej rozmowy ogólną sytuację „Odgłosów" — pisma, które wychodzi w określonym czasie, warunkach i ma do spełnienia określone funkcje. Jeśli więc wypomniałem studentom nieszczęsne „zainteresowania kierunkowe", które tak oburzyły i Katarzynę Spolińską i autorów „Okólnika 2", to tylko dlatego, aby podkreślić j e d n o s t r o n n o ś ć studenckiego patrzenia na pismo, które ma obowiązek służyć wielu i różnym środowiskom. Nie moja to wina, że niektórzy studenci nie zawsze potrafią patrzeć szerzej, że ich związek z życiem jest zbyt skromny, że dopiero kształtują swój stosunek do życia. Pisząc te słowa znów zdaję sobie sprawę, że spotka mnie ponowny zarzut, iż studentów traktuję jak dzieci. Ktoś niezwykle dowcipny dojdzie tym razem do wniosku, że domagam się „uzgadniania pytań" i być może jeszcze „uzgadniania zarzutów". Z kim mają być uzgadniane? Może ze mną. Nie życzę sobie tego i mogę przysiąc, że jestem zatwardziałym przeciwnikiem wszelkiego uzgadniania. Wychodzę bowiem z założenia, że najchętniej uzgadniają ci, których nie stać na własne zdanie, którym myślenie przychodzi z trudnością.

Serdecznie dziękuję Katarzynie Spolińskiej za to, że zechciała „w poczuciu lojalności" przysłać mi „Okólnik 2" oraz list z wyjaśnieniami, co do intencji tego ogólnika, ale w moim pojęciu lojalność sprowadza się nie do gestów, a do rzetelności wobec poglądów i argumentów atakowanego. Katarzyna Spolińska przyznaje w swym liście, że nie wadzi się z intencjami mego felietonu, że je rozumie, że nie wadzi się z intencjami tego co piszę, wadzi się natomiast z FORMĄ, mając mi jednocześnie za złe, że pisząc „Studenckie spojrzenie w oczy" przybrałem postać „postronnego obserwatora", co było chwytem formalnym. Mój Boże, gdybyż to meritum poruszanych przeze mnie spraw dotknęło studentów, ale nie — poczuli się urażeni formą. Tak to też bywa, że kiedy nie ma o czym, najlepiej podyskutować o formie.

ZAPROSZENIE NA NASTĘPNE SPOTKANIE CHĘTNIE PRZYJMIEMY.

MARCIN RODAK

ERSKINE CALDWELL

MĘŻCZYZNA MUSI SIĘ OŻENIĆ

— Słuchaj no, człowieku, zastanów się wreszcie — mówili mu sąsiedzi. — Taki facet, jak ty musi się wreszcie ożenić i zostawić światu potomstwo, nim jego dni dobiegną końca na tym padole.

— Ożenić się, ja?! Ha, ha, ha! A to dobre! Wziąć sobie żonę?

— No pewnie — odpowiadali. — Masz niezłe gospodarstwo i ładny dom. Twoja żona i dzieci wcale nie będą dla ciebie ciężarem. Pomyśl tylko, możesz być szczęśliwy: w domu krząta się młoda i miła żona, a opodal wśród kwiatów bawią się dzieci.

— To niemożliwe, ja nie mogę się ożenić. Po prostu nie mam na to czasu. Popatrzcie na tę ziemię: muszę dbać o nią, muszę być na polu nocą i dniem. Oto dlaczego nie mam czasu dla żadnych kobiet i dzieci. Po prostu nie są mi potrzebne.

Idąc przez pole brał garść ziemi i trzymał ją, patrząc na otaczające go zagony. Długo trzymał ziemię w garści, pieścił zgrubiałymi spracowanymi palcami, jakby ona była zbyt delikatna na to, aby ją zacisnąć w chłopskiej pięści. A potem bardzo ostrożnie kładł tę garść ziemi na poprzednie miejsce.

— Słuchaj, chłopie, czy ty pamiętasz, co mówi pismo święte? — pytali nachodzący go sąsiedzi. — Właśnie tam powiedziane jest: i stworzył Pan Bóg mężczyznę i kobietę...

— Więc cóż z tego? Dokładnie przestudiowałem Biblię i nie widzę tu żadnego związku, w końcu nie moja to sprawa rozpamiętywać każdy werset tej świętej księgi.

— To my ci wszystko wyjaśnimy — nie ustępowali sąsiedzi — bowiem powiedziane tam jest, że jesteśmy stworzeni przez mężczyzn i kobiety, co oznacza, że dwoje ludzi różnej płci powinno zamieszkać pod jednym dachem. Żaden dom nie jest zbudowany dla jednego człowieka. Dlatego ty powinieneś znaleźć sobie kobietę, a oznacza to, że powinieneś się ożenić.

A gdy mu tak mówili on brał worek z ziarnem i wychodził na pole, tam wyjmował pełne garście i rzucał je na soczystą, świeżo zoraną ziemię. I za każdym razem, rozrzuciwszy już wszystkie przyniesione nasiona, klękał niczym w czasie nabożeństwa i wciskał je w ciepłą, pachnącą, wilgotną ziemię, póki te jego ziarna zupełnienie nie zniknęły w przepychanym przez niego otworze. I szedł tak wzdłuż bruzdy, i pochylał się, aby raz za razem zanurzyć rękę swoją palczastą w ukochanej przez siebie cudownej ziemi. I przymykał oczy, kiedy czuł, że jakoweś przedziwne ciepło podnosi się w nim, jak burzliwa wzbierająca fala.

Czasami jednak wścibscy sąsiedzi przychodzili robiąc mu na złość mówili, że nikt przecież nie potrzebuje tych paru kłosów, które on hoduje z takim namaszczeniem, jakby mszę jakowąś odprawiał, celebrując niemal zasadzanie każdego ziarna i że raczej — tak jak inni młodzi i zdrowi mężczyźni — powinien iść do miasta i poszukać sobie pracy w fabryce. Wtedy on zaczynał się głośno śmiać, zaczynał się wyśmiewać z ich strasznej głupoty.

— Jakiś ty durny — mówili mu — bo przecież w mieście na pewno będziesz bardziej szczęśliwy. Tam jest pełno pracy dla wszystkich, i setki, tysiące ludzi, z którymi można pogadać, pośmiać się. Zrozum to wreszcie, chłopie, i poszukaj wreszcie sobie jakiejś przyzwoitej roboty w mieście.

— Nie — krzywił się na samą myśl o tym — to nie dla mnie. Wiecie jak jest w mieście? W mieście ulice są twarde i nie czuje się ziemi. Co zrobię w mieście, kiedy nadejdzie wiosna? Gdzie będę siał? O nie, nie jestem taki głupi, żeby zdrowe życiodajne ziarna rozrzucać po bezpłodnym bruku. A tutaj wszystko jest zupełnie inaczej: na wiosnę rzucam nasiona w miękką bruzdę i opiekuję się nimi w czasie kiełkowania i dojrzewania, jak dziećmi. A w mieście nie będzie takiej ziemi dla ziaren, jak tu, w mieście ulice są twarde, grube kamienne ściany fabryk nie przepuszczają ani słońca, ani deszczu, a ja potrzebuję chłodnych kropel deszczu i palących promieni słońca.

— O rany, jakiś ty głupi — mówili mu w bezradnym otępieniu, gdy już nie znajdowali innych argumentów. — Ta ziemia wcale ciebie nie potrzebuje, ona ciebie nie kocha, a twoje młode życie na próżno tutaj przemija z dnia na dzień. Czy ta ziemia odmieni się, albo zbiednieje bez twoich ziaren, bez twoich paru nasion? Nie kocha ciebie ta ziemia. Tobie się tylko tak zdaje, stary... idioto! A tak naprawdę, to wszyscy w całej okolicy tylko się z ciebie śmieją.

Ale on nie miał już sił wysłuchiwać tego gadania. Szybko odchodził i znikał w oddali, bo tam tylko mógł położyć się na świeżej pachnącej ziemi i przycisnąć się do niej swoją rozkochaną płonącą twarzą. I tak leżał długo z rozrzuconymi rękami czując jej rozkoszne ciepło wypełniające jego ciało.

A jednak ludzie nie dawali mu spokoju. W swej okrutnej zapalczywości biegali po polach i szukali go depcząc jego kiełkujące nasiona, te same, które on tak troskliwie wciskał do ziemi. I każdym swym brutalnym i bezwzględnym krokiem nachalnych intruzów rozrywali, burzyli niepowtarzalne piękno miękkiej, soczystej gleby.

— On tam jest! — krzyczeli zobaczywszy go. — Tam! Tam jest, leży na ziemi, znowu udaje głupiego!

— Czego ode mnie chcecie? — pytał osaczony.

— Przyszliśmy, żeby zabrać ciebie wieczorem do miasta, pojedziesz z nami, zabawisz się, jak inni młodzi mężczyźni — mówili.

— Będzie muzyka, tańce, fajne dziewczyny. Zjemy coś smacznego, popijemy sobie... Czyż nie miałeś nigdy ochoty zabawić się z ładnymi dziewczynami? No, wstawaj, ogarnij się: jedziemy do miasta!

— Jechać do miasta tylko po to, żeby jeść, pić, tańczyć i śpiewać? Po to jechać, żeby gadać z dziewczynami? Nie czuję potrzeby: ja tutaj jestem bardziej szczęśliwy.

— Słuchaj no ty, nie bądź głupi. Przecież tu nie masz tego wszystkiego, co może uradować serce mężczyzny — mówili z oburzeniem.

— Przecież nie możesz śpiewać i tańczyć sam z sobą. Tutaj nie ma ani jednej ładnej dziewczyny, z którą można pogadać i pofiglować.

— To prawda, macie rację: ale mnie się tu podoba, i mam chyba prawo zostać tam, gdzie mi się podoba...

— Głupi jesteś, jaki ty jesteś głupi — mówili natrętni sąsiedzi. — No, wstawaj, chcemy ci pomóc, żebyś jakoś urządził się w życiu, bo sam jeden zginiesz. I nie leż tu z rękami zarytymi w ziemi. Co za dureń z ciebie. Wstań!

— Kocham ziemię. Jestem szczęśliwy tylko wtedy, kiedy jestem z nią. Dlatego nie wstanę: zostanę tutaj...

— Czy słyszycie, co on powiedział — dziwili się. — Powiedział, że kocha ziemię. Wariat, jak Boga kocham, wariat! Zaleca się do niej, jak do dziewczyny. Leży tu na ziemi, jakby ona była kobietą. Leży na ziemi, jakby był jej kochankiem. No, wstawaj-że!...

Odchodzili śmiejąc się z niego i wytykając palcami, a kiedy już byli daleko on wstawał, odszukiwał swój worek z ziarnem i jedno po drugim wciskał w tłustą ziemię. A ziemia, jakby odwzajemniając czułą pieszczotę zamykała się pod jego palcami, delikatnie gładziła jego ręce. I wtedy zdjęty dreszczem rozkoszy klękał i głęboko wdychał jej słodki zapach.

Padały deszcze, przygrzewało słońce, a wrzucone w czasie wiosennego siewu ziarna nabrzmiewały i kiełkowały. Po pewnym czasie całe pole pokryło się źdźbłami zieleniejącymi i szeleszczącymi na wietrze.

A ludzie wciąż go nachodzili, nie chcieli, trwając w przedziwnej pasji prześladowczej, zostawić go samemu sobie. Nie dawali mu spokoju. Przychodzili, kiedy zachodziło słońce, przypuszczając, że wtedy łatwiej da się zaskoczyć w domu, i że nie wyjdzie, kiedy znowu zaczną go nakłaniać, przekonywać by uczynił tak, jak oni sobie tego życzą.

— No, zasiałeś już i nasiona wyrosły na twoim polu. Teraz chcemy, żebyś usiadł spokojnie i wysłuchał nas: starzejesz się... Tak, tak, nie przerywaj, bo to prawda i każdy z nas to doskonale widzi.

— Ludzie, o co wam chodzi? — pytał.

— Przestań się wygłupiać i posłuchaj: jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

— Co macie mi do powiedzenia?

— Żal nam ciebie i dlatego przyprowadziliśmy ci kobietę. Ona jest tu, czeka pod twoimi drzwiami. Więc ją zaproś, ona też jest samotna. I na pewno będzie dla ciebie dobrą żoną. Dobrze wam będzie razem. Czy wpuścisz ją do swego domu?

— Nie — powiedział z uporem — mnie i tak jest dobrze.

— Nie bądź głupi — mówili. — Człowiek, który tak kocha ziemię jak ty, człowiek który wychodzi w pole i kładzie się na ziemi, jakby to była dziewczyna, taki człowiek powinien być mądry i wpuścić do swojego domu kobietę.

— O tym wszystkim ja mam swoje zdanie i dlatego wam powiem, chociaż nigdy tego nie mówiłem: gdyby wam było tak dobrze, jak mnie, nie przyszlibyście tutaj. Chcecie, żebym wyrzekł się szczęścia, bo sami jesteście nieszczęśliwi.

Zostawił ich w domu, a sam tylnymi drzwiami wyszedł na pole. Szedł w ciemności, póki nie oddalił się od oświetlonych okien swojego domu. Wtedy powoli opuścił się na kolana. Pod nim leżało ciepło ziemi i miękkość zoranej bruzdy. Położył się, rozrzucił ręce i nogi, a dłonie zanurzył w niewidocznej glebie. I tak leżał w milczeniu całą noc, przytulony twarzą do ziemi, czując jak jego serce boleśnie o nią uderza.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

KONRAD FREJDLICH

Konrad Frejdlich urodził się 26 listopada 1940 roku w Grodzisku Mazowieckim. Debiutował wierszami w roku 1958 w prasie literackiej. Później już jako student Wydziału Prawa Uniwersytetu Łódzkiego zaczął uprawiać reportaż i publicystykę. W roku 1961 ukazał się pierwszy tom jego wierszy — „Alert". Na początku lat sześćdziesiątych był współtwórcą grupy „Nowa linia" i brał udział w redagowaniu jednodniówki literackiej „Z tej strony". Był laureatem kilku konkursów poetyckich i brał czynny udział w ruchu artystycznym młodych — należał do grupy „Łódzko — Warszawski Krąg Literacki". Warszawska część tej grupy z Krzysztofem Gąsiorowskim i Zbigniewem Jerzyną tworzyła w późniejszym okresie ugrupowania artystyczne związane z akademickim klubem „Hybrydy" w Warszawie.

W roku 1963 ukazała się pierwsza powieść Konrada Frejdlicha: „Sędzia", w roku 1965 wydał on następną powieść — „Miary", zaś w roku 1970 ukazał się tom reportaży „Miraże i złoto" — książka, której współautorem jest Andrzej Makowiecki. W roku 1972 Konrad Frejdlich wydał następną książkę — powieść „Kres". W tymże roku ukazał się też następny tom jego wierszy — „Dorzecze". Pod koniec roku 1973 ukazała się redagowana przez Konrada Frejdlicha antologia reportażu łódzkiego „Uśmiech Ariadny".

W przygotowaniu znajduje się jego powieść dla młodzieży — „Siedem stron świata". Ta ostatnia pozycja, której współautorem jest Wojciech Fiwek posłużyła autorom do opracowania scenariusza filmowego, według którego nakręcono film seryjny dla młodzieży.

Warto dodać, że Konrad Frejdlich jest autorem co najmniej dwudziestu scenariuszy do filmów oświatowych i krótkometrażowych i brał on udział w realizowaniu wielu spośród nich. Zajmował się także pracą translatorską tłumacząc wiersze i inne prace literackie autorów bułgarskich, niemieckich i rosyjskich.

Różnorodność zainteresowań literackich Frejdlicha była i jest zdominowana przez poezję, choć w innych dziedzinach twórczości może się on wylegitymować poważniejszym dorobkiem. Wiąże się to niewątpliwie z faktem, iż właśnie poezja była dla debiutującego pisarza czymś więcej niż laboratorium. Wszak po dziś dzień jest on aktywnym poetą i stara się przenosić swoje doświadczenie poetyckie na inne gatunki literackie.

Niektórzy krytycy skwapliwie szufladkują poetów debiutujących w latach sześćdziesiątych do tzw. „pokolenia bez biografii". Pod tym umownym terminem kryje się przede wszystkim fakt, iż pokolenie to nie wniosło do literatury doświadczenia batalistycznego, bądź martyrologicznego, które zaciążyło nad twórczością pisarzy starszych pokoleń. Etykietkę tę przypinano także Konradowi Frejdlichowi, lecz wydaje się ona być bez pokrycia. Bo choć nie przeżywał on świadomie dni wojny, to jednak dojrzewał w atmosferze wspomnień i lęków związanych z czasami pogardy, co odcisnęło się w sposób znamienny w większości jego utworów zarówno poetyckich, jak i prozatorskich. Jednak faktem jest, iż rozpoczynał on tworzenie niejako w opozycji do pokolenia zwanego umownie „pokoleniem 1956".

W czasie jednego z wystąpień programowych, na spotkaniu poetów „Nowej linii" z Julianem Przybosiem — Konrad Frejdlich stwierdził, iż dla niego poezja jest najbardziej precyzyjnym narzędziem poznania świata poprzez wyobraźnię. Wydaje się być tej idei wierny nie tylko w twórczości poetyckiej. Można to zresztą łatwo wykazać na przykładach zaczerpniętych zarówno z „Alertu", jak i „Dorzecza". Przy czym należy podkreślić fakt, iż w „Alercie" przeważały erotyki i wiersze o charakterze programowym stanowiące zapowiedź tego, co autor uczynił dominantą w „Dorzeczu". W drugim tomie daje się już zauważyć zwrot w stronę moralistyki, przy zachowaniu całej specyfiki programowej. Na szczególną uwagę zasługuje tu cykl „Ogień" ze wstrząsającym wierszem „Giordano Bruno", odnoszącym się raczej do współczesności, niż odwołującym do tradycji.

To, co powiedziano wyżej o poezji Frejdlicha można odnieść do innych, uprawianych przez niego gatunków.

Powieść „Sędzia" — debiut prozatorski Konrada Frejdlicha, to książka nowatorska, choć wykorzystał on znane już techniki zapisu prozy XX-wiecznej. Jest to powieść psychologiczna w której znajdziemy ślady praktyk stosowanych przez autorów tzw. antypowieści, jak i własnego doświadczenia poetyckiego. Lecz w powieści tej podobnie, jak w wierszach — autor nie ucieka od rzeczywistości, rysuje subtelnie tło obyczajowe środowiska studenckiego, w czym niewątpliwie sięga do doświadczenia reporterskiego. Warto bowiem przypomnieć fakt, iż pod koniec lat pięćdziesiątych autor uprawiał także reportaż, zaczynając od penetracji m. in. w środowisku studenckim.

Druga powieść Konrada Frejdlicha — „Miary", choć nieco podobna w konstrukcji do „Sędziego" stanowi zwrot właśnie w stronę zarysowanej bardziej ostro moralistyki. Choć akcja powieści rozgrywa się współcześnie, to dramat bohatera wiąże się z wydarzeniami z przeszłości, z okresu wojny. W tym kontekście bałamutne wydaje się twierdzenie niektórych krytyków, iż kompleksy i postawę duchową generacji Frejdlicha ukształtowały lata pięćdziesiąte, zaś okupacja i związane z nią kompleksy są wybiegiem, próbą przerzucenia odpowiedzialności, „sfałszowanym rachunkiem sumienia". Bohater „Miar" ukształtowany bowiem w czasach pokoju przeżywa autentyczny dramat moralny związany z postawą ojca, którego obciąża winą za śmierć matki w czasie wojny. Problematyka moralna tej powieści ma tło znacznie szersze, niż by to wynikało z wątłej akcji, tak że trudno byłoby tu mówić o dramacie rodzinnym.

Wreszcie „Kres" — powieść inspirowana przez listy więzienne Krystyny Wituskiej, skazanej za działalność konspiracyjną na ścięcie w więzieniu berlińskim, jest próbą ukazania heroizmu humanistycznego w czasach pogardy, humanizmu podbudowanego świadomością egzystencjalną wykraczającą daleko poza doświadczenia przeciętnej jednostki, wplątanej przez historię w perypetie, które kończą się śmiercią bohaterki. Inspiracji doszukiwać tu należałoby się nie w doświadczeniu życiowym autora, lecz w jego lekturach, zwłaszcza utworów Alberta Camusa. Lekturach w efekcie polemicznych wobec egzystencjalizmu.

I chyba na tym polega wartość tej powieści.

Wreszcie wypadnie poświęcić nieco miejsca praktykom reporterskim Konrada Frejdlicha. W „Mirażach i złocie" dokonuje on penetracji budów będących niejako słupami milowymi na drodze do pełnej industrializacji kraju. Lecz myliłby się, kto szukałby w tych reportażach opisania samych obiektów. Owszem, znajdziemy to opisywanie w tle. Autora bowiem fascynowały inne sprawy, pokazał on przede wszystkim wyrastanie ludzi na tych budowach, ludzi, którzy przyjechali z zacofanych niekiedy zakątków kraju, by znaleźć przygodę, by zmierzyć się z sobą, zbadać własne możliwości w procesie przekształcenia kraju. Autor ukazuje celnie przemiany społeczne, obyczajowe, krajobrazowe, nawet, dokonujące się na terytoriach, które nowoczesny przemysł dźwiga z zacofania do rangi ośrodków znaczących w skali kraju.

„Uśmiech Ariadny" — antologia reportażu łódzkiego zawierająca prace pisane na przestrzeni przeszło stu lat, to w dorobku Konrada Frejdlicha nie tylko forma spłaty długu wdzięczności wobec miejsca zamieszkania. Dokonał on bowiem gigantycznej pracy, jeśli zważyć, że musiał sięgać także do prac obcojęzycznych i wyszukiwać je w tysiącach pism z tego okresu.

Jest więc Konrad Frejdlich pisarzem wszechstronnym, w pełni ukształtowaną osobowością twórczą, wiernym wyraźnie zarysowanej problematyce. Jest on poetą jak już podkreślono nie tylko w tekstach poetyckich, lecz w całokształcie twórczości u której początków była właśnie poezja.

JÓZEF H. WIŚNIEWSKI

PROBLEMY WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA

CO UCZYNI ŚWIAT?

KRZYSZTOF POGORZELEC

Remedium upatrywano w pigułce — chemicznej syntezie kotleta schabowego dla jednych, łyżki strawy niezbędnej dla podtrzymania życia innym. Tak miał się odbyć proces stopniowej degradacji brzucha, bo nawet pośpieszne przełykanie parówek, hot-dogów czy hamburgerów trudno nazwać jedzeniem. To tylko odżywianie, niezbędna funkcja organizmu, której w równym stopniu i z takim samym powodzeniem może służyć wyprodukowana w sterylnych warunkach kapsułka, czy zastrzyk przyjmowany w odpowiedniej porze. A co w zamian, za tę kulinarną rezygnację? Świat miał się wyzbyć i to definitywnie jeszcze jednego widma: głodu.

„Trzeba będzie ogromnej katastrofy zanim ludzie naprawdę stawią czoła temu problemowi. Wszystko jest gotowe do takiego kataklizmu". Nie jest to wróżba — jak mógłby ktoś sądzić — lecz naukowa ekspertyza. Zacytowałem po prostu opinię wyrażoną przez laureata nagrody Nobla, twórcy tzw. Zielonej Rewolucji, która — nim jeszcze nadejdzie czas ponoć zbawczej pigułki — miała rozwiązać żywnościowy problem ludzkości. Tak więc pytanie — czy świat znalazł się w tej dziedzinie na krawędzi, czy można się zgodzić z poglądem, że istniejące zasoby ziemi nadającej się do rolniczego wykorzystania są już niewystarczające, że nie mogą wyżywić szybko zwiększającej się ludności naszego globu — jest tutaj zupełnie na miejscu.

DZIESIĘĆ RAZY WIĘCEJ

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną i w równym stopniu paradoksalną, że w tej mierze opinie wahają się między Apokalipsą i... Arkadią. Nie ma w tym względzie zgody, chociaż — trzeba to koniecznie podkreślić, zdecydowana większość naukowych autorytetów wypowiada się dziś zdecydowanie przeciwko snuciu katastroficznych przepowiedni i wizji. Wypada nawet stwierdzić, że dominuje obecnie pogląd, iż po spełnieniu określonych warunków, zupełnie zresztą możliwych przy współczesnym poziomie wiedzy i techniki, nasz glob, ta — mimo wszystko — poczciwa Ziemia, może z powodzeniem wykarmić nie kilka, lecz 30—40 miliardów ludzi. Zaskakujące? Naturalnie i dlatego trzeba dodać, że jest to opinia czysto techniczna, teoretyczny rachunek możliwości uczyniony niestety z pominięciem aktualnych, szczególnie politycznych realiów współczesnego nam świata. Jakby jednak nie było jest pocieszające, że nie ma obecnie obiektywnych postaw do wygłaszania katastroficznie brzmiących hipotez o mającej nam, ludzkości, grozić nieuniknionej zagładzie, wywołanej szybkim i nieubłaganym wyczerpywaniem się naturalnych możliwości zwiększenia produkcji żywności.

Czy jednak tego rodzaju pogląd, powiedzmy, że powszechniejszy, jest równoznaczny z... nieistnieniem samego problemu GŁODU na świecie?

Ano właśnie.

GEOGRAFIA GŁODU

Sedno problemu znajduje się zupełnie gdzie indziej, aniżeli mogło się to wydawać. Możemy bowiem mówić nie o p o w s z e c h n y m występowaniu na świecie niedostatku czy nawet braku żywności, ale o swoistej geografii głodu. Problem, który aktualnie nęka wiele społeczności i tak groźnie zawisł nad współczesnym światem, polega przede wszystkim na tym, że światowe zasoby żywności nie są równomiernie rozłożone. Według danych, które zgromadzono na Światową Konferencję Żywnościową w Rzymie, kraje najbardziej rozwinięte gospodarczo, w których mieszka około 30 proc. ludności świata produkowały w latach 1971—1973 ponad 60 proc. żywności, natomiast na całą resztę, a więc na obszary zaludnione przez pozostałych 70 proc. wypadało niespełna 40 proc. produktów służących odżywianiu. Statystyki i badania przeprowadzone przez Organizację Narodów Zjednoczonych mówią ponadto jeszcze coś innego, a mianowicie to, że na 97 krajów, które w roku 1970 wkroczyły na drogę bardziej intensywnego rozwoju, niemniej nadal były zacofane, w 61 przypadkach występował ostry deficyt żywności. Według obliczeń FAO, łącznie na świecie liczbę ludzi głodujących ocenia się na około 460 milionów, a 25 do 30 proc. ludności żyjącej w krajach Dalekiego Wschodu i w Afryce cierpi na skutek stałego niedożywienia.

Taka to jest geografia głodu, zarazem brutalna w swojej wymowie jak i tragiczna w skutkach dla tych społeczności, które cierpią na stały brak środków nie tylko regenerujących ich siły, ale pozwalających rozwijać się, mnożyć wartości kulturalne i materialne.

KRYZYS CZY POSTĘP?

Już tylko te fakty i liczby zaczerpnięte ze statystyk Organizacji Narodów Zjednoczonych materiałów obradującej w listopadzie bieżącego roku w Rzymie Światowej Konferencji Żywnościowej, pokazują że mamy wyraźnie do czynienia ze zjawiskiem niedostatku żywności lokującym się w pewnych rejonach naszego świata. Można zaryzykować powiedzenie, że jest to charakterystyczny stan dla krajów zacofanych, przede wszystkim Azji i Afryki, ale także w poważnym stopniu niektórych państw Ameryki Południowej.

Taka teza jest słuszna, ale równocześnie tylko połowicznie prawdziwa. Błędem byłoby bowiem sądzić, że kraje te są ciężarem dla całego świata, a ich społeczeństwa nie czynią nic by swoimi rękami rozwiązać ten brzemienny w skutki problem, że z rezygnacją, z fatalizmem oczekują na przysłowiową mannę, która spadnie im z nieba.

Faktem jest bowiem i to, że w ostatnim dwudziestoleciu, właśnie kraje dopiero rozwijające się charakteryzowały się bardzo wysoką dynamiką wzrostu produkcji rolniczej i tak na przykład tylko w latach 1961—1973 ich globalna produkcja artykułów żywnościowych wzrosła o 29 proc., a warto tutaj dodać, że jest to równoznaczne z prześcignięciem tempa przyrostu produkcji rolniczej, jakie w tym samym okresie zaobserwowano w państwach najbardziej uprzemysłowionych. Te fakty podważają więc obiegowy pogląd o marazmie i indolencji, społeczeństw krajów nękanych przez widmo głodu, co wcale jednak nie oznacza, że problem można uznać za stopniowo rozwiązywany. Prawda jest bowiem i taka, że podany tutaj wskaźnik dynamicznego przyrostu produkcji artykułów żywnościowych został wyliczony jako średnia wypadająca dla wszystkich krajów rozwijających się i jak każda statystyczna „średnia" nie pokazuje zjawiska, a nawet — zaryzykuję to stwierdzenie — zamazuje sytuację.

Sięgnijmy znowu do statystyk Organizacji Narodów Zjednoczonych. Otóż właśnie z tych danych wynika, że w latach 1963—1971 w 22 krajach roczny przyrost produkcji żywności był wyższy, aniżeli przewidywano i przekraczał barierę 4 proc. równoznaczną z zaspokojeniem potrzeb. W 86 krajach rozwijających się sytuacja była bardziej zróżnicowana, gdyż w 33 państwach przyrost produkcji artykułów żywnościowych był równoznaczny z popytem na żywność, natomiast w pozostałych krajach średnioroczny wzrost produkcji nie osiągał granicy 2 proc. i był niższy aniżeli popyt, aniżeli tempo przyrostu liczby ludności. Trzeba tu jeszcze dodać i to, że te ostatnie państwa stanowią nie tylko problem żywnościowy dla współczesnego świata, ale są przysłowiowym „kotłem demograficznym", charakteryzującym się najwyższym przyrostem naturalnym i równocześnie zacofaniem społeczno-gospodarczym.

Można więc mówić o bardzo zróżnicowanej sytuacji nawet na obszarach zajmowanych przez społeczeństwa, które dopiero wkroczyły na drogę intensywnego rozwoju. Nie można jednak tracić z oczu całości problemu, który choć przede wszystkim odnosi się do tych właśnie regionów nękanych przez głód, ma swoje implikacje w ogólnej sytuacji społeczno-ekonomicznej naszej poczciwej Ziemi.

Jest niewątpliwą rzeczą, że dziś problem deficytu żywności, obojętnie czy występuje on tylko na pewnych połaciach naszego globu, czy też jest zjawiskiem powszechnym, trzeba rozpatrywać w pełnej skali. Należy przecież tutaj i to powiedzieć, że komplikacje, z którymi zetknął się współczesny świat w ostatnich latach, nie były bez znaczenia dla sytuacji żywnościowej obszarów stale nękanych widmem głodu. Przypomnę tylko niektóre z nich, jak choćby trudności, a nawet w pewnym okresie załamanie się światowego handlu. Uderzyło to przede wszystkim kraje, które dopiero wkroczyły w etap intensywnego rozwoju, a dało to o sobie znać spadkiem udziału tych państw w handlu światowym z 45 do 30 proc. Ten spadek oznacza nic innego jak zmniejszenie siły nabywczej tych społeczeństw na arenie międzynarodowej, ograniczenie możliwości importu dóbr inwestycyjnych, co jest równoznaczne ze zmniejszeniem możliwości, intensyfikacji produkcji rolnej. Gwałtowny wzrost cen na ropę naftową nie tylko zachwiał budżetami krajów rozwijających się, ale miał także swoje konsekwencje w możliwościach importu artykułów żywnościowych produkowanych przez kraje wysoko uprzemysłowione, spowodował znaczne ograniczenie zakupów nawozów sztucznych, których produkcja, a więc także i cena, ściśle są uzależnione od ropy naftowej i jej pozycji na światowych rynkach. Wreszcie trzeba uwzględnić i to, że taka właśnie sytuacja nie pozostała bez wpływu na rezerwy artykułów żywnościowych, które do tej pory tkwiły w magazynach państw najbardziej rozwiniętych, a jeśli nawet takie zapasy były, to są one oferowane na światowych rynkach po znacznie wyższych cenach.

Tak to daje o sobie znać cała złożoność polityczno-gospodarczo-społeczna współczesnego świata. Niemniej bez względu na istniejące podziały, czy też sytuacje problem — w gruncie rzeczy humanitarny, decydujący nie tylko o losach niektórych społeczeństw, ale całego naszego globu musi być rozwiązany.

SAMI — SOBIE

Całej sprawy nie można upraszczać. Jest ona zbyt trudna i skomplikowana, gdyż z jednej strony mamy do czynienia z występowaniem problemu w państwach i społecznościach najbardziej zacofanych, opóźnionych w rozwoju, gdzie brakuje nie tylko zasobów materialnych, finansowych, ale także odpowiedniej infrastruktury, a nawet umiejętności manualnych dla wykorzystania coraz bardziej skomplikowanego sprzętu technicznego, którym dziś posługuje się rolnik. Wypada także zauważyć, że w tych krajach wykorzystano pod produkcję artykułów żywnościowych te ziemie, które z racji swojej struktury były najbardziej łatwe do wykorzystania nawet w prymitywnych warunkach. Teraz trzeba sięgnąć do trudniejszych obszarów które mogą rodzić nawet obficie pod warunkiem, że człowiek nie tylko będzie je obsiewał i uprawiał, ale będzie je pielęgnował, łożył w nie odpowiednie środki techniczne i finansowe oraz najnowsze zdobycze wiedzy agrotechnicznej.

A tego problemu państwa, które dopiero wkroczyły na drogę rozwoju społeczno-gospodarczego same — jak to wykazała listopadowa Światowa Konferencja Żywnościowa — udźwignąć nie mogą. Ba, niekiedy trzeba nawet w tych krajach dopomóc w przezwyciężeniu pewnej bariery psychologicznej, która daje o sobie znać choćby i tym, że duża część rolników żyjących w krajach najsłabiej rozwiniętych przywykła produkować tylko dla siebie, a wytwarzanie intensywne, z myślą o produkcji towarowej, wielkorynkowej jest im zupełnie obce.

Świat musi więc podjąć decyzję i zgromadzić odpowiednie środki.

Niestety, są to olbrzymie liczby. Wystarczy jeśli powiemy, że właśnie na tych obszarach, jeśli mamy się trwale wyzbyć widma głodu, w ciągu 10 najbliższych lat produkcja żywności powinna wzrosnąć od 35 do 50 proc. Jest to niemożliwe bez ogromnych nakładów oszacowanych przez Światową Konferencję Żywnościową na 16—18 miliardów dolarów, gdy obecnie na ten sam cel wydaje się niespełna 9 miliardów dolarów.

Świat więc musi pomóc. Pytanie jednak brzmi: CO UCZYNI ŚWIAT? Niestety, trudno jest udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Jeszcze raz więc odwołam się do opinii laureata nagrody Nobla — Normana Borlauga: „Mamy dziś środki naukowe, technologiczne, a nawet pieniądze, by nakarmić wszystkich głodnych na świecie. Tylko — czy nie zabraknie nam, przede wszystkim sytym, dobrej woli?".

Fot. Archiwum

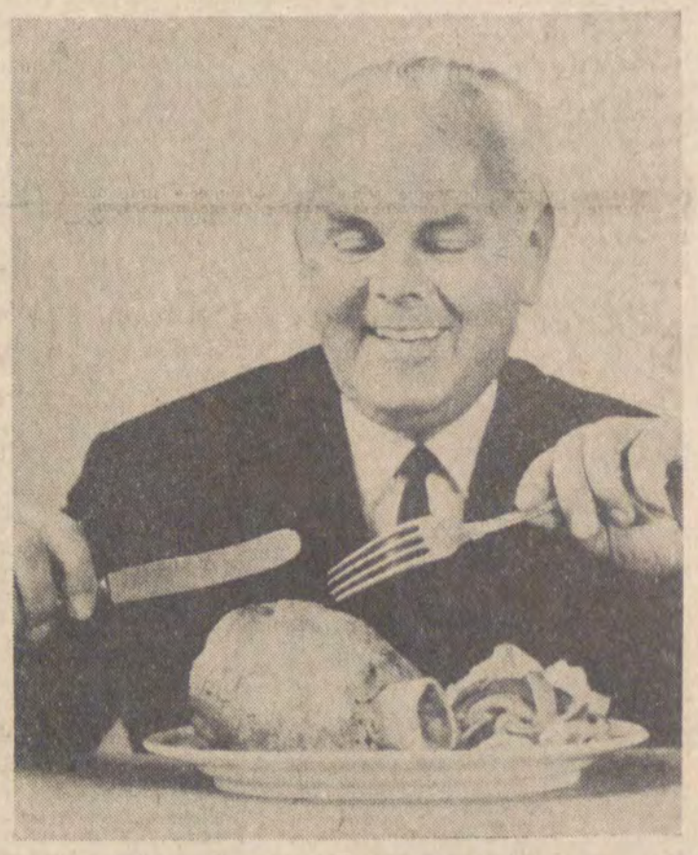

Fot. Archiwum

KSIĄŻKA

PRZYJACIELE KSIĄŻKI

W 1927 r. powstało w Łodzi Towarzystwo Bibliofilskie. Narodziło się ono z inicjatywy i autentycznej potrzeby miłośników książki, polonistów i historyków — głównie nauczycieli szkół średnich, przy znacznym poparciu przemysłowców. Największe zasługi przy tworzeniu Towarzystwa położyli: Przecław Smolik — działacz kulturalny, ławnik oraz Jan Augustyniak — dyrektor ówczesnej Biblioteki Miejskiej, który został pierwszym prezesem tej organizacji. Wysiłki bibliofilów wspomagała „Drukarnia Polska", będąca własnością Ludomira Mazurkiewicza. Na pracę Towarzystwa silnie wpływał Władysław Strzemiński — twórca tzw. druku funkcjonalnego.

Towarzystwo Bibliofilskie w okresie do 1939 roku prowadziło ożywioną działalność edytorską. Wydano m. in. „Karola Hillera eksilibrisy", przygotowane przez Przecława Smolika, a także „Jana Bukowskiego prace graficzne", zawierające kilkadziesiąt plansz z ilustracjami książkowymi. Próbowano wydawać „Bibliotekę laureatów m. Łodzi". Niestety, udało się wydrukować tylko „Legendy i fakty" Aleksandra Brücknera. Nie udało się już wydać książek Juliana Tuwima i Zofii Nałkowskiej. Zorganizowano też w 1930 roku wystawę książki polskiej.

Wojna przerwała działalność miłośników książki. Po wojnie naturalnymi miejscami spotkań ludzi interesujących się książką stały się antykwariaty, których wiele powstało w tym czasie. Najbardziej znanym spośród nich było „Słowo", istniejące do dziś.

Dopiero w 1958 roku, z inicjatywy Jana Augustyniaka powstaje nowa organizacja bibliofilska — Klub Miłośników Książki. Działa on przy Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich. Klub podejmuje ożywioną działalność popularyzatorską i wydawniczą. Wydano m. in. pracę poświęconą historii polskiego papiernictwa — „Znaki wodne papierni Mazowsza w latach 1750—1850" Jadwigi Siniarskiej-Czaplickiej. Dzieje przedwojennego ruchu bibliofilskiego opracowali Janusz Dunin i Witold Wieczorek.

Z inicjatywy Klubu w 1964 roku wydano i zaprezentowano na Międzynarodowym Kongresie Ekslibrisu w Krakowie piękną tekę miedziorytnych księgoznaków wykonanych przez łódzkiego artystę plastyka, Teofila Jóźwiaka. Znaczne osiągnięcia w tej dziedzinie przyczyniły się do tego, że udział łodzian w corocznym Międzynarodowym Biennale Ekslibrisu w Malborku stał się nieomal regułą.

Z biegiem czasu działalność bibliofilów tak się rozwinęła, że skromne ramy klubu przestały już jej wystarczać. 11 lutego 1967 roku powołano więc do życia pierwsze w kraju po wojnie zupełnie samodzielne Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki. Jako swe główne zadanie przyjęło ono kontynuowanie działalności wydawniczej.

— Ostatnie lata są dla nas bardzo pomyślne — mówi prezes ŁTPK, kustosz Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego, **MICHAŁ KUNA — Staraniem Towarzystwa, które ciągle się rozwija i obecnie liczy ponad 100 członków, wydano szereg publikacji co prawda niewielkich objętościowo, ale cieszących się za to uznaniem i popularnością wśród bibliofilów zarówno w kraju, jak i za granicą. Z okazji Festiwalu Poezji w Łodzi ukazał się wiersz Włodzimierza Majakowskiego „Poeta-robotnik", w przekładzie Władysława Broniewskiego i Witolda Wandurskiego. Wydaliśmy nieznany, bardzo piękny wiersz Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego — „Książka mówi do stroskanego". Utwór ten wywołał zrozumiałą sensację wśród miłośników poezji autora „Zaczarowanej dorożki".**

Szereg interesujących pozycji ukazało się w „Listach Bibliofilskich", wydawanych przez ŁTPK. Do tej pory powstał jeden tom „Listów", a obecnie przygotowywany jest drugi. Będzie on w całości poświęcony dziejom książki w Łodzi. Niebawem wydrukowaną zostanie jedna z najciekawszych pozycji, a mianowicie poemat Mariana Piechala o Łodzi pt. „Ogień i popiół". Utwór ten został ofiarowany Towarzystwu przez autora a ukaże się on na czerpanym papierze, ozdobionym oryginalną grafiką, wykonaną przez jednego z łódzkich plastyków.

W 1972 roku ukazał się „Statut Łódzkiego Towarzystwa Miłośników Książki". Wydawnictwo to uzyskało drugą nagrodę w konkursie na mały druk bibliofilski, zorganizowanym w ubiegłym roku przez Towarzystwo Przyjaciół Książki w Warszawie.

— ŁTPK posiada już ustną renomę w kraju — mówi Michał Kuna. **— Na początku 1974 roku byliśmy głównym organizatorem narady krajowych towarzystw bibliofilskich. Efektem tej narady było powołanie Komitetu Porozumiewawczego Krajowych Towarzystw Bibliofilskich. Organ ten z pewnością przyczyni się do koordynacji wszystkich wysiłków i poczynań 11 działających w Polsce organizacji miłośników książki.**

STANISŁAW BĄKOWICZ

HISTORIA — HIPOTEZY

PRELUDIUM DO TRAGEDII

Historia ta zaczęła się 18 lipca 1940 roku, kiedy to Józef Retinger na polecenie Churchilla, zleciał do Libourne we Francji, gdzie w chosie klęski odnalazł gen. Sikorskiego. Zanotowana przez Retingera rozmowa z nim jest krótka.

Sikorski: — Jest pan pierwszym promieniem nadziei. Z czym pan przychodzi?
Retinger: — Mam samolot i jeszcze tego wieczoru mogę pana zabrać do Londynu w celu przedyskutowania ewakuacji oddziałów polskich do Anglii.
Sikorski: — Dobrze. Ale pod warunkiem, że rano będę mógł się widzieć z waszym premierem, a za dwa dni najpóźniej powrócić do swoich żołnierzy.
Retinger: — Będzie, jak pan sobie życzy.

Początek tej narodowej klęski był więc niewinny. Zdania padały krótkie, rzeczowe. **Józef Retinger**, „Lawrence of Arabia" Wschodniej Europy, wkroczył do najnowszej historii polskiej niczym Deus ex machina z antycznego dramatu. Zaufany Churchilla, twórca największej dywersji politycznej na Wschodzie, duszą i ciałem oddany Wielkiej Brytanii, był Retinger gorliwym obrońcą i walczącym ideologiem Zjednoczonego Królestwa.

Zgodnie z umową, następnego dnia rano przyjął ich premier Churchill:

Churchill: — Zastanawiam się, dlaczego Polacy chcą przybyć do Anglii.
Sikorski: — Po pierwsze musimy zwyciężyć Niemców, wroga, który nie prowokowany najechał Polskę. Nie możemy już walczyć z nimi we Francji, ponieważ Francja zdradziła moje i moich żołnierzy nadzieje. Jako lider Polaków muszę zapytać pana, głowę rządu angielskiego, czy pan też nas zdradzi, czy nie?!?!?!

(Tu nastąpiła przerwa w audiencji. Churchill zapłakał publicznie po raz pierwszy. Bez żenady, manifestacyjnie wytarł łzy. Los zsyłał mu pomoc, a zamiast polityka — amatora).

Churchill: — Wierzę panu i pańskim (ludziom). Możecie liczyć na mnie zawsze. Anglia pokłada wiarę w Polakach.

Churchill, który wysłał Retingera samolotem do Francji, prosząc go usilnie, by na głowie stanął, ale bez Sikorskiego do Londynu nie wracał, rozpoczął rozmowę z polskim generałem od ataku. Po co pan tu przyszedł? I Sikorski dał się złapać. W odpowiedzi zadał pytanie, na które w takiej sytuacji mogła być tylko jedna odpowiedź. My, Anglicy, nigdy was nie zdradzimy.

Churchill: — Czy pan wie, że zmobilizowaliśmy dwa miliony żołnierzy, ale mamy na ich uzbrojenie zaledwie 750.000 karabinów i bardzo niewiele armat.

Nic dziwnego, że każdy uratowany żołnierz polski był na wagę złota. Na ewakuacyjny statek wkraczał z pełnym uzbrojeniem, zahartowany w bojach, w imponującej liczbie, około 35.000. W tym czasie był to dla Anglii kapitał ogromny.

Sikorski: — Szczerość jest i będzie cnotą polskiej polityki zagranicznej.
Retinger: (replikuje natychmiast) — To prawo i moralny obowiązek Polaków wobec świata.

Dzięki tej cnocie Sikorskiego, udało się Retingerowi zniewolić i zawładnąć nie tylko myślami generała, ale, co gorsza, polską polityką zagraniczną. Na szczerość w polityce pozwalają sobie tylko mocarze (i to nie zawsze), albo głupcy. Ta słabość Polaków zostanie przez Retingera i jego mocodawców wykorzystana aż do granic podłości i zbrodni.

Ranek 22 czerwca 1941 roku powitano w Londynie z niekłamanym entuzjazemem. Retinger przynagla Sikorskiego do jak najszybszego zawarcia porozumienia ze Związkiem Radzieckim i staje się głównym rzecznikiem bezwarunkowego układu, bo tylko taki nie sprecyzowany, ogólny, niepełny układ umożliwi Anglikom w przyszłości jego inną interpretację i wycofanie gwarancji. A więc nie tylko pośpiech jest powodem nieścisłej formy prawnej układów, ale przede wszystkim cele własne polityki angielskiej, która wraz z wybuchem wojny — niemiecko-radzieckiej nabrała powietrza w żagle i popłynęła wprost ku zachodowi Imperialnego Słońca.

Po złamaniu opozycji we własnym rządzie Sikorski podpisuje traktat w Foreign Office. Na uroczystości zjawił się sam Churchill, który po raz drugi publicznie zapłakał ze wzruszenia. (Po raz trzeci zapłacze na wiadomość o śmierci generała). Drżącym ze wzruszenia głosem oznajmi światu zakończenie 300-letnich waśni polsko-rosyjskich.

Po podpisaniu taraktatu Sikorski pospieszył do Szkocji, gdzie w licznych spotkaniach z żołnierzami tłumaczył sens podpisanej w Londynie umowy.

Tymczasem Eden wzywa do siebie Retingera i obarcza go nowym zadaniem.

Eden: — Powinien pan natychmiast lecieć do Moskwy i pilnować sprawy polskiej. Im szybciej, tym lepiej.
Retinger: — Bez wiedzy Sikorskiego?
Eden: — W takim razie proszę go zawiadomić.
Retinger: — Jest w Szkocji.
Eden: — Mamy bardzo mało czasu.
Retinger: — Sądzę, że powinienem porozmawiać z nim osobiście.
Eden: — Skoro pan tak uważa, niech pan jedzie. Dać panu samolot?
Retinger: — Wystarczy mi pociąg. Będę miał więcej czasu na przygotowanie rozmowy.

Tak to sojusznik zaczął układać sprawy polskie bez udziału i wiedzy Polaków. Na porzucenie pozarów było jeszcze za wcześnie.

Po konferencji z Sikorskim Retinger odleciał do Moskwy, gdzie powitano go hymnem polskim i defiladą kompanii honorowej. Wypada teraz zadać pytanie, co skłoniło Anglików do tak szybkich decyzji i bezceremonialnego ingerowania w sprawy polskie.

Szczerość Sikorskiego, jak sformułował to Retinger — obowiązek i prawo moralne Polaków wobec świata, zaczynały nas doświadczać. Anglicy dążyli do ułożenia stosunków polsko-radzieckich, ale nie życzyli sobie żadnego rzeczywistego, a tym bardziej trwałego zbliżenia. Tymczasem Sikorski pragnął ułożyć te stosunki na nowych, trwałych i niepodważalnych zasadach. Wypowiadając się w tym duchu otwarcie i szczerze stał się, sam o tym nie wiedząc, wrogiem nr 1 angielskiej polityki wschodniej.

Zadaniem więc Retingera było przygotowanie w Moskwie opozycji wobec generała. Opozycji zdolnej pokrzyżować jego plany. Stąd obecność Retingera w Moskwie i pierwsze kontakty miały tak wielkie znaczenie dla przyszłych losów Polaków. Będąc pierwszym doradcą Naczelnego Wodza, stawał Retinger jednocześnie na czele przyszłej wobec niego opozycji. Zdobywając sympatię następców generała, przenosił na nich angielską kontrolę. Stworzył więc sytuację idealną dla przeprowadzenia największej dywersji politycznej w Europie Wschodniej.

Punktem zwrotnym w stosunkach angielsko-rosyjskich stała się stabilizacja frontu wschodniego. Teraz wypadki gonią się wzajemnie. Następuje wyprowadzenie części oddziałów polskich ze Związku Radzieckiego i konsolidacja opozycji wobec polityki wschodniej Sikorskiego. Od tej pory będą Anglicy już bez przeszkód prowadzić swoją ulubioną, podwójną grę. A więc z jednej strony: wyprowadzone oddziały polskie będą rzeczywiście strzegły angielskich szlaków komunikacyjnych w rejonie Bliskiego Wschodu, a z drugiej: przez zręczną propagandę i podsycanie przez agentów angielskich wrogości wobec Związku Radzieckiego, powstaje siła, która umożliwia Anglikom utrzymywanie stałego napięcia w stosunkach polsko-radzieckich, co z kolei ułatwia im wyeliminowanie Polaków z rozmów na temat przyszłości Europy Wschodniej.

Łzy Churchilla, wylane podczas podpisywania układu polsko-radzieckiego w Foreign Office, zaczęły owocować. Napiętnowany szczerością Sikorski stał się politykiem niewygodnym. Wiele poczyniono mu obietnic. Zbyt wiele istniało zobowiązań, których pozbyć się można było tylko przez usunięcie generała. Jak długo żył Sikorski, zawsze istniało niebezpieczeństwo, że doprowadzi on do porozumienia ze Związkiem Radzieckim. A to byłaby klęska dla dyplomacji angielskiej w tym rejonie Europy, do której Churchill dopuścić nie mógł. Gibraltar był więc kresem naturalnym dżentelmena w generalskim mundurze, który wierzył, że szczerość w polityce jest obowiązkiem i prawem moralnym Polaków.

Przed odlotem Sikorskiego na inspekcję oddziałów obozujących na Bliskim Wschodzie polski wywiad wojskowy w Londynie uczynił wszystko, by do wyjazdu nie dopuścić. Padł nawet szalony projekt zaaresztowania generała. Ale oczywiście było to równoznaczne z zamachem stanu i niestety musiano z tak drastycznego środka ochronnego zrezygnować. Retinger, który towarzyszył Sikorskiemu we wszystkich ważniejszych podróżach, tym razem opuścił go, pozostawiając historii i gibraltarskim wypadkom.

Od Stalingradu polityka angielska wobec Polski porzuca wszelkie pozory. Teraz idzie Anglikom już tylko o to, aby powstrzymać radzieckie parcie na Zachód. Powstanie Polski niepodległej gra tu ogromną rolę. Według Churchilla Polska powinna być wolna i niepodległa, ale związana z Zachodem przeciw Wschodowi.

Józef Retinger oczekuje z dala od Londynu na wieści z Gibraltaru.

„... Rano 4 lipca 1943 roku oczekiwałem na lotnisku w Swindon przylotu generała... kiedy komendant powiedział mi, że samolot generała Sikorskiego rozbił się w Gibraltarze i że generał, jego towarzysze oraz córka, Zosia Leśniewska zginęli... Po moim powrocie do Londynu znalazłem list od premiera wzywający mnie do odwiedzenia go o północy po posiedzeniu gabinetu... Znalazłem premiera samego, miał na sobie swoje lekkie, niebieskie ubranie. Gdy tylko mnie zobaczył, powstał i zaczął płakać. Powiedział mi, że kochał generała jak młodszego brata.

Potem dyskutowaliśmy o sytuacji politycznej Polaków po śmierci generała. Zapytał mnie, kto, jak przypuszczam, będzie jego następcą na stanowisku premiera. Mogłem tylko powiedzieć, że Sikorski stroił na to stanowisko Mikołajczyka. Churchill nie mógł sobie przypomnieć Mikołajczyka, ale kiedy go opisałem, powiedział: „To ten, który wygląda jak gruby, lekko łysy stary lis"... „A kto będzie wodzem naczelnym?" Odpowiedziałem, że mam nadzieję, że nie będzie to Sosnkowski. Ale Churchill przerwał mi natychmiast: „Ja go nie lubię, ale oczywiście nawet mi się nie śni, żeby przeszkadzać waszej polityce".

Cytat z pamiętników Retingera aż roi się od sensacyjnych smaczków. W dwanaście czy więcej godzin po wypadku Retinger oczekuje na Sikorskiego w Swindon, a przecież wiadomość o tragedii w Gibraltarze dotarła do Londynu prawie w tej samej godzinie, w której się wydarzyła. Tymczasem pierwszy doradca generała w kilkanaście godzin po wypadku, kiedy rozgłośnie całego świata trąbiły o polskim dramacie, niczego nie wiedział.

Wniosek nasuwa się sam: Retinger oczekiwał na Sikorskiego dla zachowania pozorów, stworzenia sobie mocnego alibi. Jego rozmowa z Churchillem jest również znamienna. Churchill nie przenosi swoich sympatii na następców Sikorskiego. A przeciwnie — wyraża się o nich z pogardą, zaś Sosnkowskiego po prostu nie cierpi. Tym dał wskazówkę do działania dla Retingera. Teraz potrzebuję Polaków, których będę mógł łamać bez sentymentów i tworzenia pozorów. Skończyła się gra. Zaczynał się dyktat i bezwzględna, wbrew zapewnieniom, ingerencja w sprawy polskie. Jest bowiem nie do pomyślenia, by wielki Churchill zgodził się na współpracę z rządem sobie niemiłym, bez wywierania wpływu na jego skład. Jeśli tak czynił, znaczyło to, że przestał się z nim liczyć i że decyzje o przyszłości Polski i Polakach uzależnia wyłącznie od siebie, pozbawiając tym samym nowy rząd polski wszelkiego znaczenia. Wszystkie błędy w ocenie sytuacji politycznej, wojskowej popełniane przez Anglików w Europie Wschodniej będzie odtąd konsekwentnie zrzucał na Polaków.

Po napaści Niemiec na Związek Radziecki Sikorski zwrócił się do przedstawicieli Ruchu Oporu o wyrażenie opinii, co, zdaniem polskich przywódców w kraju, powinien teraz, w nowej sytuacji politycznej, uczynić rząd londyński. Specjalny memoriał zalecający natychmiastowe, powszechne i wszechstronne porozumienie Polski ze Związkiem Radzieckim nigdy do Sikorskiego nie dotarł, chociaż specjalny kurier z kraju doręczył go władzom angielskim w Londynie. Porozumienie takie było bowiem sprzeczne z polityką angielską, która zalecała zawarcie porozumienia ogólnego, szczegóły zostawiając na później do lepszych, powojennych czasów. W tym też duchu działał Retinger, wstrzymując Sikorskiego w połowie drogi, uniemożliwiając tym samym głębsze, trwałe, konkretne porozumienie. W interesie Anglii było stworzyć taką sytuację, w której byłoby dość punktów niejasnych, z których można by później rozdmuchać nowe zarzewie niezgody. Pod koniec 1943 roku rząd polski w Londynie stanął wobec tysiąca pytań bez odpowiedzi.

Co myśleli naprawdę przywódcy podziemia w Polsce? Jakie będzie stanowisko kraju wobec Teheranu? Czy rząd londyński rzeczywiście działa w harmonii z krajem?

Według Retingera rząd miał nawet wiele kart do zagrania, ale by zagrać nimi poprawnie, należało wiedzieć, co ludzie w kraju myśleli i czuli. Także dowódcy podziemia powinni znać prawdziwą pozycję rządu londyńskiego i wiedzieć, na jakie poparcie może on liczyć ze strony aliantów.

Ważniejsze jednak było niebezpieczeństwo zagrażające wolności i wewnętrznym swobodom w kraju. Dlatego ważne było, by rząd i kraj działali w harmonii.

— ACH GDYBY KTOŚ Z NAS MOGŁ POJECHAĆ I PRZEDYSKUTOWAĆ RZECZY NA MIEJSCU.

To zdanie miał jakoby wypowiedzieć w rozmowie z Retingerem sam Mikołajczyk. Jeśli nawet je wypowiedział, Retinger musiał się dobrze napracować, ażeby Mikołajczyka do takiego sformułowania myśli doprowadzić, zwłaszcza, że Retinger przyjmuje ją natychmiast bez zastrzeżeń. Wysuwa swoją kandydaturę i skłania Mikołajczyka do wyrażenia zgody na objęcie tej misji przez Retingera.

Dalej sprawy toczą się już między Retingerem a Anglikami, bez udziału i wiedzy Polaków. Retinger zaczął swoje przygotowania od złożenia wizyty swemu wielkiemu przyjacielowi, generałowi Collin Gubbinsowi, który dowodził SOE, tajemniczą, niezwykle sprawną organizacją wspomagającą i organizującą ruchy oporu w całej Europie. Przed odlotem do Polski Retinger napisał dwa listy.

„Bari, 31 styczeń 1944 rok.
Do prezydenta Raczkiewicza.
Jest mi niezmiernie przykro, że nie otrzymałem Pańskiego przyzwolenia przed wyjazdem do Polski i wysłuchania Pańskich instrukcji, które pozwoliłyby mi wyciągnąć korzyści z wartościowych rad. Anglicy wszakże, którzy organizowali wyjazd, zażądali kategorycznie, by nikt o tym nie wiedział, z wyjątkiem premiera. Powody, dla których jadę do Polski, są następujące:
1. uważałem za zasadnicze, aby w odróżnieniu od młodych agentów starsza wiekiem osoba, dobrze wdrożona w całość rządowej polityki, w odniesieniu do Niemców, do Rosji, jak również i aliantów pojechała do Polski. Wierzę, że jestem najbardziej odpowiedzialną osobą do tego zadania, zwłaszcza że byłem bliskim współpracownikiem generała Sikorskiego i premiera Mikołajczyka, że byłem w bliskich stosunkach z polskimi osobistościami za granicą, jak również z Panem, Panie Prezydencie, który był zawsze dobrze do mnie nastawiony. Moje wizyty w Ameryce (przywiózł stamtąd dwanaście milionów dolarów rocznie na pomoc i organizację ruchu oporu w kraju z tym, że na początek tej działalności dwa miliony w walizce złożył po powrocie przed Sikorskim — uwaga K. O.), Rosji i Środkowym Wschodzie, które umożliwiły mi zebranie sporej ilości informacji, a które mogą mieć znaczenie dla naszych współpatriotów w kraju.
2. uważam również, że jako osoba, która przez cały okres wojny nigdy nie była zamieszana w wewnętrzne spory polityczne, mogę zachować bezstronność w rozmowach.
3. myślałem, że skoro wielu z naszych aliantów pokłada wiarę we mnie, historia, jaką opowiem po powrocie, może mieć wielkie znaczenie w tych niezwykle trudnych czasach.
4. w dodatku wierzę, że odpowiednie posłużenie się moim wyjazdem z propagandowego punktu widzenia (premier zna szczegóły) może mieć zbawienny wpływ na morale ludzi w Polsce, jak również uderzyć Niemców, skoro zostanie dowiedziona bezpośrednia łączność między rządem a krajem.
... Ponad wszystko ja wierzę, że moja misja podkreśli jedność wszystkich Polaków we wszystkich najważniejszych sprawach w tych trudnych czasach, i podkreśli wspólnotę w obliczu wroga jak również nasze powiązania z zachodnimi aliantami. Mam nadzieję, że powrócę za około 6 tygodni. Na razie będę niósł Polsce pokrzepienie, a Bóg pomoże mi wypełnić moją misję szczerze, pożytecznie i z godnością..."

List do premiera Mikołajczyka nie zawiera niczego nowego, chociaż niektóre jego fragmenty warte są dosłownego przytoczenia:

„... Może się zdarzyć, że wszystkie nasze nadzieje zostaną zdradzone w tej wojnie, i że pertraktacje pokojowe obrócą się przeciw nam. Oto, dlaczego nasz poprzednik, generał Sikorski, uczynił w 1940 roku to, co my teraz. Musimy zewrzeć całą naszą siłę, aby dać przyszłym generacjom przykład do naśladowania i nauki. Pierwsze ponad wszystko — musimy się zjednoczyć. Nasza narodowa jedność i dyscyplina muszą być naszym głównym celem i bronią. Naszym drugim zadaniem musi być całkowita, patriotyczna i polityczna szczerość. My nie możemy uciekać się do obrony trickami, które, być może na krótko, przynoszą uspokojenie, ale mogą się również obrócić przeciwko nam i być złym przykładem dla przyszłych generacji. Tylko wielkie mocarstwa na solidnych podstawach mogą sobie pozwolić na tricki. My musimy zarabiać na naszą przyszłość szczerością, samopoświęceniem i powiedzmy sobie — cnotą (!!!) Naszą najpewniejszą bronią musi być trwały patriotyzm. Straciliśmy do Rosji, ale Rosja wygrywa dla aliantów wojnę. Historia może zmienić te układy, ale..."

Cele wizyty Retingera wyłożone są jasno i nie może być do ich autentyczności żadnych wątpliwości, zaś fakt, że sztab generała Colin Gubbinsa roztoczył nad Retingerem swoją opiekę, musiał wzbudzić wśród londyńskiej Polonii niepokój. Wobec całkowitego prześwietlenia polskiego życia społeczno-politycznego przez angielskie służby wywiadowcze, zorganizowanie kontrwywiadu obronnego było prawie niemożliwe. Pomimo tych trudności, niezależnie od wiedzy Anglików i wbrew nim zawiązywały się towarzyskie wspólnoty, podejmujące się obrony polskich interesów. Do nich należała akcja obrony Naczelnego Wodza. Zdobycie przez nich wiadomości o wyjeździe Retingera zaalarmowało tę część naszej społeczności. Z największym trudem przekazano do kraju wiadomość o jego dywersyjnej misji z rozkazem likwidacji agenta. Niestety, wobec pieniędzy, z jakimi Retinger do kraju przyleciał, rozkaz jego tropicieli stał się wekslem bez pokrycia.

W sumie Retinger spędził w kraju prawie pół roku. Rozmawiał, ustawiał, organizował. Ciekawe, że w jego pamiętnikach nie ma przytoczonej ani jednej rozmowy dajmy na to z Boremm-Komorowskiem czy innymi przywódcami polskiego podziemia. Wspomnienia tego okresu pełne są natomiast szczegółów krajobrazowych bez znaczenia. Daremnie szukać by wśród nich śladu wniosków, spostrzeżeń, którymi miał zadziwić aliantów.

Wyleciał z Polski w pięć dni przed wybuchem powstania. Dziełem, które miało dać przyszłym generacjom przykład do naśladowania i nauki. Wyleciał, zabierając z sobą tajemnicę latającej bomby V-1. Ciekawe, że polscy realizatorzy filmu telewizyjnego zapomnieli o złowieszczej obecności Retingera podczas tej akcji. Powrócił do Włoch, skąd po krótkim odpoczynku odleciał do Kairu, na spotkanie z Mikołajczykiem, który właśnie odlatywał do Moskwy. Ciekawe, że i tu nie pozostawia Retinger żadnych śladów swej rozmowy. Dowiadujemy się tylko, że po odlocie do Moskwy, już w samolocie Mikołajczyk otrzymał wiadomość o wybuchu Warszawskiego Powstania.

Pomimo usilnych starań nie udało się natrafić na ślad, kto wydał rozkaz rozpoczęcia akcji zbrojnej. Do wydania takiego rozkazu upoważniony był wyłącznie generał Sosnkowski i nikt inny. Otóż stwierdzono, ponad wszelką wątpliwość, że rozkaz wyszedł z Londynu, ale nie znał go i nie podpisał nikt z Polaków będących w emigracyjnym rządzie. Dalej — w tym czasie Sosnkowski był we Włoszech. Wydaje się więc nie ulegać wątpliwości, że hasło do powstania rzucił generał Colin Gubbins po otrzymaniu od Retingera szyfru, w jaki sposób można podpalić ten stos, nie pozostawiając śladów.

Dla Anglików w tym czasie było całkowicie obojętne, czy powstanie się uda, czy nie. Najważniejszym i głównym ich celem było teraz ponowne wykopanie „kości niezgody" między Polską a Związkiem Radzieckim. Temu miały służyć antyradzieckie ulotki rozrzucane po ulicach powstańczej Warszawy. Temu celowi miała służyć najkrwawsza manifestacja polityczna w dziejach ludzkości, o ile wcześniej Anglicy bez zastrzeżeń, by zdobyć Rosjan, wyrzekali się jakichkolwiek związków z nami, o tyle teraz, kiedy zwycięstwo radzieckie niosło Europie wyzwolenie, zaczęli podkreślać swoje i Zachodu nierozerwalne związki z Polską.

Ciekawy jest stosunek Anglików do członków rządu lubelskiego. Kiedy Ernest Bevin zobaczył ministra Modzelewskiego w towarzystwie Retingera, powiedział:

— Słyszałem, że przywiózł pan tych bastardów (bękartów) z Warszawy tutaj... Współczuję panu, że musi pan przebywać w tak fatalnym towarzystwie".

Anglicy, którzy w moim przekonaniu spowodowali wybuch powstania, słowami Churchilla umyli ręce („Wiele dokonali, ale nie znam narodu, który by w tej wojnie popełnił więcej głupstw niż Polacy"). Cynicznie zrzucił odpowiedzialność na nasze ramiona, obarczając grzechem, który sam popełnił.

Tyle refleksji po lekturze pamiętników Józefa Retingera, wydanych przez University Press-Sussex.

KAROL OBIDNIAK

KSIĄŻKA

WIEDEŃSKIE POLONIKA

Zainteresowanie polonikami niemieckiego obszaru językowego wzrasta. Dość tu przykładowo wymienić dwie wydane niedawno pozycje książkowe, rejestrujące i omawiające w obszernym zakresie polsko-niemieckie kontakty kulturalne: Stanisława Szenica „Za zachodnią miedzą. Polacy w życiu kulturalnym Niemiec XVIII i XIX wieku" oraz Karla Dedeciusa „Polacy i Niemcy. Posłannictwo książek". Obecnie dołączyła do nich publikacja Romana Taborskiego „Wśród wiedeńskich poloników".

Książka warszawskiego historyka literatury i teatru, notabene absolwenta Uniwersytetu Łódzkiego, jest najpoważniejszym i najdokładniejszym od bodaj czterech dziesiątków lat opracowaniem polskich tradycji kulturalnych w stolicy Austrii: od na poły legendarnych średniowiecznych kontaktów począwszy aż po czasy najnowsze. Zdecydowana większość spośród jedenastu szkiców przedstawia sylwetki organizatorów polskiego życia kulturalnego w Wiedniu (tamtejszą linię Czartoryskich, sylwetkę wydawcy „pisma malowniczego" — „Postępu" Józefa Osieckiego oraz jego współpracownika, znanego malarza Artura Grottgera, Maksymiliana Gumplowicza — pierwszego lektora języka polskiego na Uniwersytecie Wiedeńskim, Karola Lanckorońskiego — mecenasa i kolekcjonera sztuki), przypomina austriackie kontakty pisarzy polskich tworzących po polsku i niemiecku (Tadeusza Rittnera i Stanisława Przybyszewskiego). Osobne rozważania poświęca autor działalności sceny polskiej w stolicy monarchii austro-węgierskiej podczas I wojny światowej, koncentruje się wreszcie na postaciach zasłużonych dla Polski Austriaków (Franza Theodora Csokora i Ottona Forst-Battaglii, posiadającego polskich przodków). By prezentacja zawartości treściowej była zupełna, wspomnieć jeszcze trzeba, iż książkę Taborskiego otwiera szkic stanowiący rodzaj przewodnika po pamiątkach polskich, a zamyka polemika ze zgłoszoną swego czasu przez Anatola Sterna „hipotezą cesarską" pochodzenia Apollinaire'a, polemika oparta o „romantyczną historię dwóch polskich grobów na cmentarzu Hietzinger Friedhof".

Jakkolwiek książka Romana Taborskiego podejmuje tylko wybrane zagadnienia, spełnia przecież rolę podstawowego informatora o polskich tradycjach kulturalnych w Wiedniu (czy nawet w Austrii).

Na zakończenie odnotować należy, że lekturę ułatwia indeks nazwisk, a bogata szata graficzna czyni ją atrakcyjniejszą.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

R. Taborski, Wśród wiedeńskich poloników, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1974, wyd. I, nakład 1000+283 egz., cena zł 30.

KORESPONDENCJA z ZAGRANICY

ANDRZEJ GRUN

IMPERIUM ZA MINI

Jest w stolicy Albionu kilka ulic bez których poznania Londyn jako miasto i Londyn jako miejsce pewnej rewolucji kulturalno-obyczajowej, jaka dokonała się tamże na przełomie lat 50 i 60 (a której skutki są widoczne do dnia dzisiejszego) pozostanie miastem nie poznanym, będzie jeno skupiskiem takich czy innych gmachów z tych czy innych lat, takich czy innych instytucji, które można spotkać w podobnej lub identycznej formie wszędzie indziej; będzie wreszcie ogromnym zbiorowiskiem ludzi, samochodów, przedmiotów zbytku i użytku codziennego. Dopiero poznanie tych kilku ulic (zresztą, szczerze mówiąc, niewielu) pozwala przybyszowi zawrzeć z Londynem znajomość bardziej intymną, wniknąć nieco pod jego zewnętrzność wielkiej metropolii, przeniknąć pod naskórek, stanowiący jakby warstwę ochronną czy raczej może pod warstwę izolującą. Dla zwykłego turysty wystarcza to, co znajduje on w barwnych folderach, to po czym ślizga się jego zblazowane nadmiarem widoków oko, co wreszcie zdoła „zapamiętać", aparatem fotograficznym najczęściej japońskiej marki. Nie byłem „zwykłym sobie" turystą i, jak już pisałem, chciałem choć trochę poznać Londyn prawdziwy; choć na chwilę krótką zajrzeć do jego wnętrza. Dlatego nie wystarczały mi foldery, a szczerze mówiąc, wcale po nie nie sięgałem.

Jedną z takich ulic, które trzeba koniecznie poznać, jest Regent Street, przecinająca się z jednej strony z Oxford Street, z drugiej dochodząca do Piccadilly Circus, i dalej aż do Waterloo. Drugą jest właśnie wspomniana już Oxford Street. Trzecią Piccadilly Circus z fontanną, zawieńczoną posążkiem Erosa i z całą gmatwaniną uliczek, rozchodzących się w najrozmaitsze strony od tegoż placyku, którego nazwa „circus" nie ma nic wspólnego z cyrkiem. No, chyba, że będziemy na to patrzeć pod zupełnie innym kątem. Bo jednak dzieje się tu swoisty cyrk, tylko że zupełnie innego rodzaju i innego od normalnych formatu. Nawiasem mówiąc o ten najsławniejszy plac londyński toczą się nieustanne boje urbanistyczno-architektoniczne, bo mimo swego nieodpartego uroku jest on newralgicznym punktem komunikacji w tej części miasta. W 1971 roku został wreszcie (po dwudziestu paru latach) zatwierdzony w Izbie Gmin i Izbie Lordów i gdzieś tam jeszcze projekt przebudowy placu. Jakie będą dalsze losy tego projektu, nikt nie wie — Piccadilly Circus jest elementem wrosłym w pejzaż miasta, atrakcją turystyczną, na koniec biznesem. A biznes ma tu pierwszeństwo przed wszystkim!

Na razie, kiedy zapada zmierzch, zapala się na placu tysiące reklam we wszystkich kolorach, a schodki fontanny z Erosem obsiadają (choć może już nie tak gęsto jak przed paru laty) młodzi ludzie z całego świata. Jak gołębie, a może raczej jak stada barwnopiórych papug.

Wróćmy jednak na razie na Regent Street i na Oxford Street. Są to ulice wielkich magazynów, sklepów, sklepików — można tu nabyć wszystko, co tylko dusza zapragnie (a raczej, co zapragnie ciało) po cenach, na jakie akurat nas stać. Towary luksusowe i towary „spod sztancy". Te ostatnie są o wiele tańsze, przeznaczone dla najszerszej klienteli. Ponieważ ceny w Anglii rosną, tej również przybywa. Przede wszystkim handluje się tu obuwiem i odzieżą (aczkolwiek handluje się wszystkim) — to specjalność tych ulic. Na marginesie należy dodać, że przemysł odzieżowy jest jednym — obok meblarstwa i poligrafii — z najstarszych przemysłów londyńskich. Tak więc na „shoping" czyli po zakupy ciuchów — idzie się lub jedzie na Regent lub Oxford Street. A ponieważ są tu zawsze jakieś okazyjne wyprzedaże czegoś tam, jakichś tam niemodnych czy mniej modnych bubli, tzw. „sales" głośno reklamowane jako „okazje nad okazjami" — tłum oglądających i kupujących zawsze wielki. A skoro tłumy, zatem tłok nie lada, spotęgowany jeszcze tym, co dzieje się na jezdni, nieustającym ciągiem samochodów i piętrowych, czerwonych autobusów kursujących we wszystkich możliwych kierunkach i — jak mnie objaśniali zorientowani w temacie — nawet dosyć regularnie.

Żeby w jakiś sposób dać pojęcie o skali handlu w tej części Londynu, posłużę się przykładem domu towarowego „Selfridges" (ponoć jednego z największych), który mieści się w 6-piętrowym gmachu (nie licząc piwnic i magazynów) i posiada ponad 200 działów (każdy wielkości sporego sklepu), zatrudnia łącznie ponad 4.500 osób i przeciętnie „przepuszcza" dziennie 50—70 tysięcy klientów a w okresach przedświątecznych liczba ta dochodzi do 160 tysięcy. To rzeczywiście można nazwać sporym sklepikiem. A wszystkie towary leżą tu na wierzchu, można je oglądać i macać i towar macany wcale nie należy od razu do macanta. Taki dziwny mają oni tam na Wyspie sposób handlowania.

Z Piccadilly Circus krok, dosłownie krok na małą uliczkę Carnaby Street. Ta nie znana do niedawna uliczka, licząca sobie chyba sto parę metrów długości, jest dziś symbolem pewnego rodzaju kultury, zwanej potocznie kulturą „Carnaby Street", co wytłumaczyć można w ogromnym skrócie „młodzieżową kulturą masową". Jej nazwa łączy się ponadto jeszcze z nazwiskiem niejakiej Mary Quant, która to pani stała się swego czasu Robespierrem mody angielskiej i dzielną kontynuatorką wszystkich wielkich Anglików, którzy kiedykolwiek występowali czynnie przeciw znienawidzonej Francji.

Otóż przedsiębiorcza i pełna talentów Mary Quant była tą właśnie odważną, która rzuciła wyzwanie paryskim domom mody i skutecznie wprowadziła najpierw na rynek londyński, a potem na rynki całego świata modne naonczas mini. (Ach, cóż to były za czasy!). Będąc plastyczką z wykształcenia, jako 21-letnie dziewczę otworzyła sobie Mary mały sklepik w dzielnicy Chelsea, projektując tam, szyjąc i sprzedając ubiory damskie, które nie były podobne do niczego, co się w owym czasie nosiło. Jak zwykle pierwszy rzucił się na „nowości" światek artystyczny. Wkrótce też mały sklepik na Chelsea przerodził się w firmę „Mary Quant Limited" (nie potrzebuję dodawać, że świetnie prosperującą). Był to początek lat sześćdziesiątych. Sklepy Mary Quant, nazywane (z francuska — o ironio!) „boutique" jęły się mnożyć jak przysłowiowe grzyby. Mary zbijała fortunę, Anglia dewizy, a dziewczęta, niezależnie od wieku i wymiarów pokazywały z upodobaniem dłuższe lub krótsze, cieńsze lub grubsze nogi. Paryż został pobity. Jeszcze jedno Waterloo.

Za swoje sukcesy na polu krzewienia mody czysto angielskiej, czyli mini, Mary otrzymała w 1963 roku nagrodę tygodnika „Sunday Times". Oficjalne uzasadnienie owego wyróżnienia brzmiało: „Za wyprowadzenie Anglii z tradycyjnej postawy wobec odzieży". W trzy lata później pani Quant z rąk królowej Elżbiety otrzymała „Order Imperium Brytyjskiego. Było już: „Królestwo za konia". Teraz można by zawołać: „Imperium za mini". To się jednak nazywa Imperium!

Działalność Mary Quant miała swoje liczne reperkusje. Ale nie powstawały one li tylko z talentu i z przedsiębiorczości pani Mary. Problem okazał się o wiele szerszy i bardziej skomplikowany. Aby pewne sprawy w tej materii wyjaśnić, sięgnąć by należało do połowy lat pięćdziesiątych, kiedy to, mówiąc słowami Urszuli Czartoryskiej: „Niewielu ludzi słyszało o Haroldzie Pinterze, prawie nikt o Tony Richardsonie John Lennon chodził do szkoły powszechnej z dala od stolicy. Podczas, gdy młode pokolenie Anglików czeka, nie rozbudzone jeszcze na swoje przyszłe bożyszcza, „słucha się" albo Bessie Smith, wielkiej pieśniarki murzyńskiej, albo Elvisa Presleya, którego powodzenie relatywnie tylko może się wydawać ogromne. Nie ma jeszcze telewizyjnych programów rozrywkowych z Beatlesami, w czasie nadawnia których zamierać będzie w mieście życie młodszej generacji, chodzi się na filmy Jamesa Deana, który jak nikt inny dawał przeczuć, że prędzej czy później, w każdym domu stanie mur, który oddzieli generację młodszą od starszej".

W tym samym czasie w Institute of Contemporary Arts przy Dover Street toczą się zażarte dyskusje grupy malarzy architektów, projektantów przemysłowych, scenografów, krytyków sztuki, zrzeszonych w Independent Group. George Milly, monograf owych czasów napisze: „Na pierwszy rzut oka działalność ta stanowiła próbę wskrzeszenia koncepcji artysty jako „człowieka uniwersalnego", w kontekście coraz bardziej złożonej cywilizacji; z myślą o tym dyskutowano na temat różnych aspektów nauki i techniki, filozofii i lingwistyki na równi z tymi zagadnieniami zajmowano się tak „poślednimi" formami kultury masowej, jak amerykańskie komiksy; ale ponieważ większość w tej grupie stanowili artyści, dyskusje koncentrowały się coraz wyraźniej wokół pogardzanej estetyki społeczeństwa nastawionego na zysk i obrót towarowy, szczególnie zaś — wokół masowo kolportowanego marzenia, które zostało pobudzone dla ożywienia zbytu wciąż rosnącej masy produktów, wreszcie także wokół hurtowo powielanego wyobrażenia o świecie łatwych do zdobycia, długonogich dziewcząt, szybkich samochodów, eleganckich apartamentów z tarasami, opływowych pojazdów, świateł neonów, odbijających się w prywatnych basenach kąpielowych. Sporadycznie grupa brała też na warsztat potężne powszechne mity. Teoretycy i artyści z ICA nie brali udziału w formowaniu się brytyjskiej pop-kultury w pierwszym okresie jej wzrostu; intelektualiści, o ile interesowali się muzyką popularną, to w owym czasie przychylność ich uzyskał tylko na przykład Modern Jazz Quartet. Ale to, co jest ważne w działalności ICA, w zestawieniu z początkami brytyjskiego „Rock'n Rollu", to fakt, że zachodziła między tymi zjawiskami wyraźna zbieżność. Jak można było oczekiwać robotnicza młodzież małpująca Elvisa Presleya, była naiwna i bezkrytyczna, podczas gdy entuzjazm intelektualistów wobec amerykańskich reklam, obrazków do przypięcia na ścianie i mody samochodowej, był przejawem pewnej ironii, a właściwa im chęć odrzucenia całym sercem „dobrego smaku" w ocenie masowej wyobraźni, była w rzeczywistości przejęciem postawy dandysa w znaczeniu baudelaireowskim. Omawiana tu zbieżność stawała się coraz bardziej widoczna. Grupa ICA wyprzedzała o rok czy dwa rewolucję nastolatków. Wyprzedzała, ale nie oddziaływała na nią. Intelektualiści zapewne przewidzieli nadejście pop-kultury, ale odgrywali wobec niej mniej więcej taką rolę, jak niektórzy astronomowie nakierowujący swe instrumenty na przewidywane zaćmienie Słońca. Przypuszczać, że grupa ICA była w jakikolwiek sposób odpowiedzialna za nadejście samej pop-kultury w Wielkiej Brytanii, oznaczałoby postępować podobnie, jak członkowie prymitywnego szczepu, którzy zapędzeni w kozi róg przez kapłana, znającego termin zaćmienia, wierzą, że to on zaćmienie sprowadził".

Tak więc Mary Quant nie projektowała jeszcze swoich mini, gdy Richard Hamilton sformułował definicję pop-artu, końcowym i poniekąd zdegenerowanym etapem którego stał się właśnie styl, „Carnaby Street" a przedtem jeszcze ogromna popularność wytworów pani Mary. Pisał on: „Pop-art jest —

popularny (zaprojektowany dla masowego odbioru)
przejściowy (rozprzestrzeniający się w szybkim czasie)
podlegający zużyciu (łatwo zapominany)
tani
produkowany masowo
młodzieżowy (lubiany przez młodzież)
dowcipny
seksualny
oparty na sztuczkach
urzekający
przynoszący wielki dochód".

Jest to manifest nie tylko pop-artu, ale także szyld „Carnaby Street" i tego wszystkiego, co działo się na schodkach fontanny z Erosem.

I tu dochodzimy do pewnych podsumowań. Czartoryska w książce „Od pop-artu do sztuki konceptualnej" tak to ujmuje: „Anglia była krajem, gdzie prawdziwymi poligonami pomysłowości w drugiej, popularnej fali pop-artu, już równoległego do amerykańskiej wersji tego kierunku były szkoły artystyczne w Londynie i Manchesterze. Grafika użytkowa przeznaczona do druku opakowań, okładek płytowych, plakatów obliczonych na rodzące się masowe kolekcjonerstwo, pozostająca na usługach całej tej kultury typu „Carnaby Street", a później King's Road — dawała upust nieokiełznanej pomysłowości młodych ludzi, na wpół cynicznych wyrobników, plagiatorów, dowcipnisiów, tytanów inwencji wizualnej. Pejzaż Londynu stał się homeostatem. Atmosferea nieustannej wzajemnej wymiany ledwo przeczutych, ledwo ujawnionych chwytów, otaczała każdą galerię. (...) Byłoby prawdą cząstkową sugerować, że londyńska kultura młodzieżowa, bez reszty opętana muzyką, była masowa w pejoratywnym tego słowa znaczeniu. W równej mierze była ona prostacka, co napiętnowana bolesnymi obsesjami, zbuntowana w poczuciu odniesionych krzywd moralnych, bezwolnie kierowana przez menażerów, a zarazem pełna unikalnych wartości. Muzyka Beatlesów i paru innych zespołów stała się tym molochem, któremu służyło wszystko, pomysłowość autorów filmów (Dick Lester, twórca „Help") i reżyserów programów rozrywkowych w telewizji (Tony Palmer), inwencja projektantów odzieży (Mary Quant) i samorodnych pomysłodawców krótkotrwałych mód, autorów typografii użytkowej i powielanych kiczowatych gadgetów".

A dziś na małej uliczce Carnaby Street można kupić tanio wszystko, co modne; można kupić damskie majteczki z rozporkiem i portrety „Che" Guevary, płyty i ozdoby na szyję, gwiazdy Dawida i ukrzyżowanego Chrystusa w charakterze breloczka do kluczyków do samochodu... „Time" nazwał to wszystko „swinging London", co można przetłumaczyć jako „rozbawiony Londyn". Sami wyspiarze zachowują się wedle terminu „permissive society", czyli „społeczeństwo zezwalające". Można sobie dopowiedzieć, że... na wszystko; byle nie obrażać królowej.

ANDRZEJ GRUN

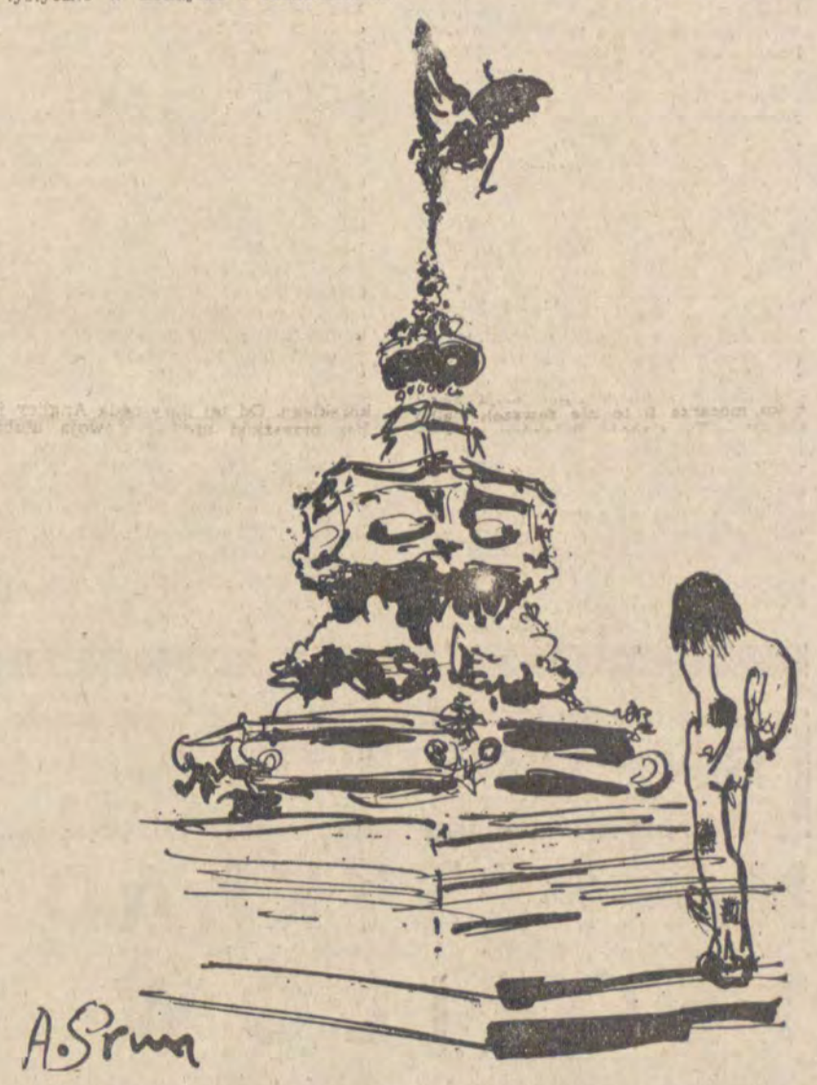

MUZYKA

KACHIDZE I JEGO MUZYKA

Nawet w Łodzi niewiele się wie o gruzińskiej muzyce. To „nawet" powiedziano tu dlatego, że nasze miasto, pozostające jednak w dość regularnym kontakcie z muzyką gruzińską od czasu wymiany zespołów operowych Łodzi i Tbilisi przed pięciu laty i nawiązania współpracy kulturalnej miało do tego więcej okazji niż jakikolwiek inny ośrodek w Polsce.

Słyszeliśmy też na naszej scenie dzieła gruzińskiej opery narodowej „Daisi" i „Legendę gruzińską", gościliśmy w ostatnich latach kilku gruzińskich wykonawców wśród nich przede wszystkim wybitnego dyrygenta Dżansuga Kachidze, którego systematyczna współpraca z Teatrem Wielkim przysporzyła mu u nas wielkiej popularności, głównie bodaj za sprawą fenomenalnie prowadzonego „Człowieka z La Manczy", ale z gruzińską symfoniką nie mieliśmy większej styczności. A to istotny mankament w znajomości kultury muzycznej tego kaukaskiego narodu, którego tradycje muzyki kościelnej sięgają aż IV wieku, a notacja muzyczna wieku IX, czym mało kto w świecie może się poszczycić.

Ale oto rewizytując niedawny pobyt łódzkiej filharmonii w Gruzji przyjechała do nas na gościnne występy Państwowa Orkiestra Symfoniczna Gruzji pod kierownictwem Dżansuga Kachidze.

Gruzińscy muzycy nie zawiedli naszych oczekiwań. Orkiestra okazała się zespołem dojrzałym, o wyrównanym brzmieniu, najmocniejszym bodaj w grupie instrumentów blaszanych. Wielkie uznanie słuchaczy zdobyły sobie wykonania klasyków z otwierającą występy Symfonią D-dur, nr 86 Haydna. Zwłaszcza Menuet wykonany z zachwycającą subtelnością i gracją oraz błyskotliwie i precyzyjnie zagrany Finał pokazały wielkie możliwości orkiestry. Podobnie wielkie uznanie zdobyła sobie Ravela II Suita z baletu „Dafnis i Chole", urzekając kolorystyką brzmienia, ale i trochę zaskakując rozpiętością dynamiczną w Pantomimie. Pokazały się tu od dobrej strony instrumenty drewniane, wśród nich flet altowy. Do mistrzowskich wykonań klasyki zaliczyć też można — na sobotnim koncercie — IV Symfonię Czajkowskiego, rozlewną i śpiewną część II, finezyjne pizzicata w Scherzu i porywające rytmy Finału.

Wśród utworów współczesnej muzyki gruzińskiej na głównym miejscu wymienić należałoby Symfonię nr 3 Giji Kanczeliego, utwór operujący w harmonii i instrumentacji bardzo współczesnym językiem, jednocześnie o wielkiej ekspresji.

Z gruzińskiej muzyki orkiestralnej usłyszeliśmy też bardzo motoryczny fragment baletu „Bierikaoba" Bidziny Kwiernadze, a w drugim dniu interesująco instrumentowaną „Humoreskę" Otara Taktakiszwili. Z muzyki radzieckiej — rosyjskiej znane już w Łodzi znakomite „Ozornyje czastuszki" Rodiona Szczedrina.

Z obojga solistów, śmiem twierdzić, bardziej niewdzięczne zadanie przypadło pierwszego dnia Tiengizowi Amiredżibi w II Koncercie fortepianowym Rachmaninowa. W moim, zapewne bardzo subiektywnym odczuciu, zawiniło tu zestawienie programu. Po Haydnie i nie dającej chwili oddechu, pełnej napięcia Symfonii Kanczeliego muzyka Rachmaninowa zabrzmiała, przynajmniej z początku, niezwykle „szumnie" i prawie elegancko, przez rodzaj proponowanych emocji.

Drugiego dnia Marine Jaszwili potwierdziła swoje wielkie muzyczne i wirtuozowskie walory świetnym wykonaniem Koncertu skrzypcowego Sułana Nasidze, który w swej, bardzo współcześnie brzmiącej kompozycji, nagromadził oszałamiające mnóstwo wirtuozowskich elementów, dając jednak dzieło zwarte, podbudowane emocją. Mając takie pole do popisu skrzypaczka odniosła wielki triumf.

Ale głównym bohaterem obu dni był szef gruzińskiej orkiestry. Pełen napiętej czujności, niemal zrośnięty z uległą mu orkiestrą za sprawą precyzyjnej techniki manualnej, jakby od każdego palca jego lewej dłoni biegły niewidzialne nici do poszczególnych grup instrumentów, do każdego muzyka. A wszystko przyporządkowane muzycznej interpretacji, docierającej do najszerszego kręgu słuchaczy, porywającej.

Wyjechała świetna orkiestra gruzińska zostawiając wśród pięknych muzycznych wspomnień również naszą wdzięczną pamięć o wykonanym na bis Mazurze z „Halki", arcypolskim w swoim wyrazie. Jego mistrzowskie wykonanie przez gości z dalekiego kraju symbolizuje w pewnym sensie duchowy pomost, jaki przerzuciła muzyka pomiędzy narodami o tak swoistych kulturowych tradycjach a tak wzajemnie ciekawych dalszego poznawania się przez sztukę.

JERZY KWIECIŃSKI

„POJEDNANIE”

DYSKUSJE

22 października br. odbyło się otwarte zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Oddziale Łódzkim Związku Literatów Polskich, poświęcone dyskusji nad książką Wiesława Jażdżyńskiego „Pojednanie”. Powieść ta uzyskała nagrodę na konkursie literackim, rozpisanym przez Wydawnictwo „Śląsk” z okazji 30 rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej, a następnie w roku 1974 przez tegoż edytora została opublikowana. W numerze 29 zamieściliśmy recenzję Barbary Nawrockiej-Dońskiej pt. „Toast za narodową zgodę”, obecnie zaś prezentujemy obszerne fragmenty wspomnianej dyskusji.

JERZY WAWRZAK: *Serdecznie witam wszystkich zebranych. Rad jestem, że spotykamy się w szerokim gronie ludzi pióra, by wymienić poglądy na temat najnowszej powieści Wiesława Jażdżyńskiego, prezesa naszego Oddziału, pisarza który nie stroni od poruszania w swej pracy twórczej problemów politycznych. Są one bardzo ważne i atrakcyjne dla współczesnego czytelnika, ale też — jak wiemy — nie należą do zadań łatwych. „Pojednanie” wywołało sprzeczne sądy krytyki, tym lepiej więc, że możemy dziś skonfrontować nasze opinie, gusty i oceny, z czego wszyscy wyniesiemy zapewne spory pożytek myślowy. Sądzę, że właśnie Podstawowa Organizacja Partyjna przy naszym oddziale ZLP stać się powinna inspiratorką bardziej ożywionego życia umysłowego, bez którego trudno sobie wyobrazić normalny rozwój intelektualny i artystyczny coraz przecież liczniejszego środowiska pisarskiego. Byłby to zaś rozwój niepełny, nie zaspokajający naszych potrzeb i naszych aspiracji duchowych, gdybyśmy pomijali istotne dla kraju i świata sprawy ideologii i polityki, tak silnie się splatające ze sprawami kultury. Myślę, że dyskusja nad „Pojednaniem”, bez względu na ocenę ideowych i literackich wartości tej książki, stanowi z uwagi na jej tematykę dobrą okazję do takiej — niesłychanie w pracy pisarza pomocnej — koleżeńskiej rozmowy.*

JERZY RZYMOWSKI: Są pisarze, którzy sprawiają kłopoty swoim czytelnikom i są pisarze, którzy sprawiają kłopoty sobie. Pierwsi operują całym arsenałem środków, wystawiających na próbę wiedzę czytelnika, jego intelektualne obycie, zdolność do rewizji własnych gustów, a często także cierpliwość. Drudzy wystawiają na próbę własną odwagę, podejmując tematy otoczone jeszcze często półcieniem niedopowiedzeń, budzące sprzeczne emocje i oceny. Myślę, że autor „Pojednania” należy do tej drugiej kategorii. A to dlatego, że napisał powieść polityczną w konwencji realistycznej, a więc w tej konwencji, która stawia utwór literacki przed egzaminem rzeczywistości. Nawet bowiem przywileje fikcji literackiej, naturalne prawa autonomii, przynależne literaturze, w tym przypadku z egzaminu takiego zwolnić nie mogą.

„Pojednanie” dotyczy historii najnowszej, czasów konfliktowych, okresu ścierania się różnych orientacji politycznych, różnych koncepcji ojczyzny, wyzwalanej właśnie spod hitlerowskiej okupacji. Jest to powieść o triumfie celu nadrzędnego — dobra kraju, nad racjami klasowymi, które są silne, ale które ustępują miejsca trosce patriotycznej (major Anioł, doktor Budryn, a także rejent Nadbór). A raczej jest to powieść o kiełkowaniu pierwiastków porozumienia w narodzie ideologicznie niejednolitym, o budowaniu pojednania pomiędzy tzw. liberalną inteligencją a radykalną lewicą. Były bowiem sprawy, które nie jednoczyły — oczywiście — wszystkich, ale wywoływały zrozumienie szeroko pojętych sił postępu, sił nowoczesności. Np. reforma rolna, o którą trzeba było walczyć, ale która była starym postulatem całej polskiej lewicy, i nie tylko lewicy, różniącej się zresztą w sobie, co do szczegółów i metod. Uchwycenie tego procesu, stanowiącego głęboką prawdę naszego trzydziestolecia, uważam za osiągnięcie pisarza. Akcja „Pojednania”, jak pamiętamy, rozgrywa się na dwóch płaszczyznach czasowych: podczas wojny i w latach siedemdziesiątych. Otóż Jażdżyński tak posługuje się retrospekcją, by w obrazie lat czterdziestych ukazać niejako embrionalne zaczątki wspomnianego procesu akceptowania nowej rzeczywistości przez ludzi, związanych z różnymi tradycjami ideologicznymi i o różnym nastawieniu do życia. Ukazuje też (w stylu myślenia i w reakcjach Mściciela-Poświata) zapowiedzi przyszłych perturbacji w sprawowaniu władzy, które wystąpią w latach pięćdziesiątych. Pod tym względem, w zakresie ujęć „generalnych”, powieść Jażdżyńskiego egzamin zdaje.

Nie ma wśród nas historyka, a przydałby się, zwłaszcza specjalista od ruchu oporu i dziejów Polskiej Partii Robotniczej, gdyż niektóre rozwiązania kwestii szczegółowych budzić mogą wątpliwości. Realizm wymaga odpowiedniej reprezentacji rzeczywistości. Szkodzą mu: półmrok informacyjny, przemilczenia, aluzyjna niedookreśloność. A takich fragmentów w powieści nie brakuje. Im bliżej wyzwolenia, tym ostrość widzenia ulega w niej pewnemu zamgleniu. Na przykład — „ktoś” aresztuje majora Anioła, przekonany o jego wartości sekretarz partii nie może mu pomóc, dopiero przypadek ratuje dzielnego partyzanta. Można postawić pytanie, czy wątek ten przylega do naszej wiedzy o losach ludzkich? Nie sposób opierać realizmu na samych happy-endach (jedynie wątek erotyczny nie kończy się w „Pojednaniu” szczęśliwie, tzn. przed ołtarzem). O ile więc w planie współczesnym powieści budzi zaufanie zwycięstwo idei ochrony środowiska naturalnego (doktor Budryn walczy o uzdrowisko), bo to ma dzisiaj pokrycie, o tyle w planie historycznym powieści wszechobecność dewizy „wszystko dobre, co się dobrze kończy” — pachnie czasami dydaktycznym lakierem.

Te pewne wątpliwości, które zresztą powinniśmy poddać wspólnej dyskusji, nie mogą jednak przesłonić niezaprzeczalnych walorów powieści, która jest próbą zmierzenia się z bardzo skomplikowanym tematem. Wydaje mi się, że przymiarka, której Wiesław Jażdżyński „Pojednaniem” dokonał, ujawnia, jakie możliwości tkwią w konwencji realistycznej, jakie ona stawia wymagania i jakie — w związku z tymi wymaganiami — niesie ryzyko.

KONRAD FREJDLICH: **Jeśli zgodzić się z Anną Bukowską, że powieścią polityczną jest książka obnażająca mechanizm władzy, to nietrudno spostrzec, że „Pojednanie” Wiesława Jażdżyńskiego nie mieści się w tej definicji. Ale jednocześnie „Pojednaniu” trudno odmówić i ambicji, i treści politycznej.**

Zacznę może od tego, jak ja rozumiem ten tytuł, który może sugerować, że autor stoi na stanowisku solidaryzmu narodowego (czytałem i takie, nieodpowiedzialne, głosy krytyki), że nie dostrzega różnic w programach politycznych różnych odłamów antyhitlerowskiego ruchu oporu w Polsce. A jeśli je nawet zauważa, to widzi dla nich wspólny mianownik, a tym samym pojednanie i zgoda narodowa są możliwe w myśl Mickiewiczowskiego „Kochajmy się!”. Tymczasem osią wokół której jednoczyło się całe podziemie antyhitlerowskie w Polsce, była sprawa odzyskania niepodległości i pokonania Niemców. Natomiast wizja wyzwolonej Polski, jej kształt ustrojowy, system rządów i urządzeń ekonomicznych społeczeństwo głęboko dzieliły. Najtragiczniejszym potwierdzeniem tej sytuacji była wojna domowa w Polsce lat 1945–1948, wojna bez regularnych frontów, ale na tyle krwawa, że przyniosła dziesiątki tysięcy ofiar.

Jażdżyński nie tylko zna, ale rozumie historię współczesnej Polski i daje temu wyraz w „Pojednaniu”. Kluczem do odczytania książki jest dla mnie ta alegoryczna scena teatralnego pojednania, kiedy to w rzeczywistości ujawniają się głębokie podziały, kiedy to między bohaterami działającymi do tej pory zgodnie, wykopują się przepaście.

Warto może zauważyć, że „Pojednanie”, chociaż odwołuje się do historii najnowszej, jest powieścią współczesną. Przecież Budryn, ten judymowski Budryn i narrator Wojniłowicz spotykają się w latach siedemdziesiątych i wyposażeni są w świadomość polityczną tych właśnie lat. Nic tu nie odbywa się naprawdę, to tylko projekcja pamięci. Może dlatego właśnie wywoływane przez nich duchy (czynię tu aluzję do „Wesela” Wyspiańskiego): komunista Poświat, AK-owiec Anioł, półfaszysta Kmicic, oportunista Nadbór reprezentują tak klarowne polityczne postawy, są głosicielami nie tyle własnych poglądów, ile programów politycznych całych obozów, których są przedstawicielami.

Myślę też, że „Pojednanie” jest książką znaczącą nie tylko w dorobku Jażdżyńskiego, ale w całej naszej literaturze lat ostatnich. Skarżymy się często na kryzys powieści politycznej i chociaż „Pojednanie” jest zaledwie nieśmiałą próbą przeciwstawienia się tej sytuacji, ze względu na swój ładunek ideowy i ważkie treści polityczne udowadania, że nie jest to kryzys wieczny, że literatura może i powinna atakować najtrudniejsze nawet tematy. Dlatego dobrze się stało, że zeszliśmy się tu, aby dyskutować o tej konkretnej książce, a jednocześnie przecież, wymierzając tu sprawiedliwość „Pojednaniu”, o stanie całej literatury współczesnej.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI: Powieść polityczna, do którego to gatunku literackiego pretenduje z pewnością „Pojednanie”, narażona jest potencjalnie na dwa skrajne zagrożenia. Pierwsze to jeśli autor traktuje wydarzenia i konflikty tkwiące obiektywnie w tkance polityki i ideologii — wyłącznie jako materię literacką. Przykład? John Steinbeck napisał w 1942 roku piękne opowiadanie o norweskim ruchu oporu „Księżyc zaszedł”. Vercors wspomina, że francuscy maquizardzi traktowali ten utwór w najcięższych chwilach jak swoją biblię. Kiedy po wojnie Steinbeck przyjechał do Paryża, nie zgodził się przyjąć grupy byłych partyzantów pragnących wyrazić mu głęboką wdzięczność. Zrozumieliśmy, stwierdził Vercors, że dla niego nasza walka była wyłącznie tematem literackim.

Przeciwieństwem braku zaangażowania autora powieści politycznej może być nadmiar tego zaangażowania. Powstaje wtedy utwór-agitka, w którym tendencja ideowa wysysa urodę artystyczną. Uważam, że Jażdżyńskiemu w przypadku „Pojednania” udało się przeprowadzić szczęśliwie swą łódź między powyższą Scyllą i Charybdą.

„Pojednania” nie można rozpatrywać i testować w kategoriach wierności historycznej. Na zawarta tam ocenę rzeczywistości z lat 1944/45 nałożyło się w świadomości autora tyle klisz, tyle zmiennych w ciągu XXX-lecia interpretacji i doświadczeń, że w powieści tej nie należy w żadnym wypadku widzieć fabularnego zwierciadła tamtych dni, a tylko obraz ich przepuszczony przez filtr wiedzy współczesnego człowieka. I to chyba zapiszemy na dobro książki.

EDWARD SZUSTER: „Pojednanie”

zacząłem czytać z á priori powziętym zainteresowaniem, które podtrzymywała i potoczysta narracja powieści i jej zajmująca kompozycja. W miarę lektury zaczęły mnie jednak niepokoić, a potem irytować pewne pytania, ktore spróbuję tu przedstawić.

Stwierdziłem po pierwsze, że obraz okresu okupacji zarysowany w powieści często niezgodny jest z tym obrazem, jaki przedstawiają nam dziś rezultaty naukowych prac historyków. Dla przykładu: droga majora Anioła spod Ankony do Warszawy, wpływ upadku powstania warszawskiego na polityczną i wojskową aktywność w kraju tzw. „obozu londyńskiego”, aktywność ruchu partyzanckiego między Wisłą a Pilicą w ostatnich miesiącach 1944, są w „Pojednaniu” przedstawione tak, że muszą budzić wątpliwości natury dokumentacyjnej. Wątpiących odsyłam do licznych źródeł i opracowań podkreślając, że chodzi mi jedynie o fakty czy zjawiska, a nie o ich interpretację.

Uświadomiłem sobie — następnie — że ten bardzo osobisty i obiektywnie niezbyt sprawdzalny obraz okresu okupacji tkwi w świadomości głównego bohatera powieści, Wojniłowicza i że nie mam prawa, by twierdzić, iż autor solidaryzuje się ze swym bohaterem. Zacząłem więc szukać w tekście takich znaków, które pozwoliłyby mi zrozumieć, czemu to Wojniłowiczowi, po latach prawie trzydziestu, zamazały się w pamięci pewne dość ważne rysy wspomnianego czasu a jednocześnie zostały w tej pamięci — także po latach trzydziestu — całe stronice artykułów publikowanych w konspiracyjnej prasie. Niestety, nie udało mi się znaleźć w powieści odpowiedzi na to pedantyczne może pytanie.

Nie udało mi się także wyjaśnić dwóch innych, dość chyba ważnych, spraw związanych z postacią Wojniłowicza. Dlaczego to, wkrótce po wyzwoleniu, porzucił on miasteczko, w którym spędził lata okupacji, nawiązując w nim — przy okazji żywej działalności patriotycznej — mocne przyjaźnie, szczere sympatie, romanse, a nawet głębsze i wydające się mieć perspektywę, uczucia. Czemu rzucił to wszystko i uciekł z miasteczka, zrywając wszelkie z nim więzy tak, jak by mu się pod nogami paliło? Nie znalazłem w powieści Jażdżyńskiego danych, pozwalających zrozumieć ten ważny w życiu bohatera moment. Nie ma także w powieści

SPÓŁDZIELCZE

NA PRZYKŁAD TEOFILÓW

„Mieszkanie przyszłości będzie w najwyższym stopniu funkcjonalne...

Jeśli na podstawie badań, skrupulatnych obliczeń statystycznych stwierdzi się, że racjonalniejsze i bardziej ekonomiczne będzie przechowywanie nielicznych już znajdujących się w domu publikacji w taki sposób, aby przez naciśnięcie guzika pojawiały się one po prawej stronie biurka ze skrzyni umieszczonej pod podłogą, wówczas tak zostaną urządzone domowe biblioteki.

Rzecz jasna, że łóżka będą ukryte w ścianach, a w pomieszczeniu będzie znajdowało się zaledwie kilka przedmiotów. Szafa, stół, kanapa też zostaną umieszczone w ścianach i wysuwane w razie potrzeby.

Wrodzone naturze ludzkiej pragnienie zmian będzie osiągane za pomocą ruchomych ścian i różnorodnych segmentów. Oświetlenie, obicia ścian będą mogły być zmieniane na każdy sezon, jak w salonach Wersalu”.

Ta radosna wizja naszych przyszłych mieszkań pochodzi z książki matematyka i publicysty rumuńskiego, profesora Uniwersytetu w Bukareszcie — Mircea Mality. Tytuł książki: „Kronika roku 2000”. A więc wszystko to ma być już za 25 lat. Konfrontacja z rzeczywistością każe nam mniemać, że jednak w XXI wiek wejdziemy nie tylko z tym, co będzie nowe, ale również i z tym, co dziś budujemy. A budujemy tak, że gdybyśmy chcieli trzymać książki w skrzyni pod podłogą, to książki te trzymalibyśmy na suficie u sąsiada z dołu, kanapa byłaby u sąsiada z prawej, szafa u sąsiada z lewej, a ich szafa i kanapa — u nas.

Budujemy jednak w taki sposób, jaki pozwala nam coraz szybciej zaspokajać głód mieszkaniowy. W Warszawie w ubiegłym roku oddano do użytku 60 tys. izb mieszkalnych, w Krakowie — 20,7 tys., w Łodzi — 29,3 tys., w Poznaniu — 16,5 tys., we Wrocławiu — 17,3 tys. A plany na lata przyszłe przewidują dalszy wzrost budownictwa. Zrozumiałe, że musimy w takich warunkach już nie tyle stawiać domy, co je niemal dosłownie fabrykować. Nowe domy są coraz bardziej do siebie podobne. Nowe osiedla jeszcze zbyt monotonne, choć w projektach przewidywało się różne urozmaicenia, aby było i przyjemniej i wygodniej.

Szybki postęp budownictwa, przenoszenie się ludzi ze wsi do miasta, z jednych dzielnic miasta do drugich, ze starych domów do nowych, pachnących jeszcze wapnem i farbą — wpływa też na zmiany obyczajów, zwyczajów. Kiedyś mieszkało się w kamienicy i mówiło się „w naszej kamienicy”, na „naszym podwórku”. Kiedyś były też „nasze ulice”, a dziś coraz rzadziej używa się zwrotu „nasz blok”, gdyż bloki są tak do siebie podobne, że czasem wracający do pomu z humorem panowie mylą je, mylą klatki i dobijają się do zupełnie cudzych drzwi choć gotowi są przysięgać na wszystko, że to ich własne. Dziś częściej mówi się „NASZE OSIEDLE”.

Jakież są te nasze osiedla?

Może przedtem spróbujemy odpowiedzieć sobie na pytanie: jakie one powinny być?

„Aby środowisko, w którym człowiek spędza znaczną część swego życia — pisze Piotr Zaremba w wydanej niedawno przez „Książkę i Wiedzę” publikacji pt. „Urbanizacja Polski i środowisko człowieka” — było dla niego przychylne, w życiu codziennym musi nabrać większego znaczenia pojęcie ładu i piękna, w powiązaniu z utylitarnym rozplanowaniem. Jest faktem wielokrotnie przez socjologów stwierdzonym, że nadmierne zagęszczenie ludności, stłoczenie jej w obrębie ciasnego osiedla mieszkaniowego, bynajmniej nie wpływa na zwiększenie więzi społecznej mieszkańców osiedla. (...)

Elementem przyczyniającym się również do zacieśnienia więzi między człowiekiem a miejscem jego zamieszkania jest możliwość zaspokojenia na miejscu wszystkich podstawowych potrzeb dnia codziennego, bez konieczności opuszczania osiedla”.

Obie cytowane książki — i Mircea Mality i Piotra Zaremby — ukazały się niemal w jednym czasie, wydane przez „Książkę i Wiedzę”. I choć traktują o sprawach podobnych, aczkolwiek umiejscawiając je w różnym czasie, to Piotr Zaremba, który pisze o naszej współczesności wydaje się być równie futurologiczny co Mircea Malita. Wystarczy spojrzeć na nasze, łódzkie osiedla, aby przekonać się, że są one wybudowane wbrew wszelkim zaleceniom specjalistów, za to zgodnie z obowiązującymi kiedyś normami — i tymi dotyczącymi wielkości mieszkań i tymi dotyczącymi rozmieszczenia bloków.

Jedynie osiedle im. Marii Konopnickiej — wybudowane przez RSM „Lokator” na Teofilowie „C” — bliższe jest temu, o czym marzą uczeni i futurolodzy. Na osiedle to z zazdrością patrzą mieszkańcy innych,, wśród nich także ci z sąsiednich osiedli: „Teofilów A” i „Teofilów B”.

* * *

Pierwsze osiedle RSM „Lokator” zaczęła budować wiosną 1925 roku, istniejąc już od 1915 roku. Wiosną 1925 roku położono kamień pod pierwsze trzy spółdzielcze bloki. W początkowym okresie swojej działalności „Lokator” zajmował się głównie obroną interesów lokatorskich. Do 1934 roku wybudowano w Łodzi zaledwie 564 izby mieszkalne.

Pierwsze osiedla w Polsce Ludowej RSM „Lokator” zaczęła budować w 1958 roku. Było to osiedle „Doły — Wschód”. Dziś już dawno skończone i należące do ładniejszych w Łodzi. Położone w pobliżu tras komunikacji tramwajowej i autobusowej ma dogodne połączenia z innymi dzielnicami miasta. Jest też dobrze wyposażone w sieć sklepów i punktów usługowych. Dysponuje spółdzielczym domem kultury.

W 1964 roku rozpoczęto budowę osiedla spółdzielczego na Teofilowie — Osiedla im. Władysława Reymonta. W tym roku minęło 10 lat od chwili rozpoczęcia budowy tego osiedla, i choć przez ten czas zrobiono bardzo dużo, to przecież program budowy nie został zakończony. Z grubsza biorąc zapewniono wyposażenie osiedla w sieć sklepów i punktów usługowych, choćby jeszcze to i owo się przy'ało. Nie spełniono natomiast założeń programu wyposażenia osiedla w instytucje kulturalne. Przede wszystkim nie wybudowano spółdzielczego domu kultury. I co gorsza nie ma kto go wybudować. W tej sytuacji podjęto decyzję, że taki dom dla osiedla im. Wł. Reymonta postawi się własnymi siłami, korzystając po trosze z czynów społecznych mieszkańców, głównie z

DYSKUSJE

materiału, który by pozwolił pojąć, czemu to, ni stąd ni zowąd, po trzydziestu prawie latach zupełnego zerwania z miejscem i ludźmi okupacyjnej młodości, Wojniłowicz powraca nagle do miasteczka.

Zamykałem więc książkę z przeświadczeniem, iż autor nie pozwolił mi pojąć swego bohatera. Wojniłowicz utrwalił się w mej świadomości jako człowiek, który coś ważnego ukrywa przede mną, który po upływie trzydziestu lat od wydarzeń, o jakich opowiada, nie darzy mnie zaufaniem i nie wiem czemu tak się dzieje. Nie stać mnie na to, bym odpłacał mu inną monetą; nie mam więc zaufania do niego i do tego wszystkiego, co on opowiada, a więc — w konsekwencji — do całej powieści.

Są to, być może, uwagi ciasnego pedanta, wąskiego realisty. Tu i ówdzie proponowano czytać „Pojednanie" jak wielką metaforę poetycką, coś w rodzaju baśni historycznej. Propozycja może i interesująca tylko bez pokrycia w powieściowej materii. Każde zdanie „Pojednania", każde słowo świadczy, że autor zamierzył powieść realistyczną a nie baśń o czasach, które w życiu naszego narodu były i doniosłe i tragiczne.

ANDRZEJ OSTOJA-OWSIANY: Przystępowałem do lektury „Pojednania" z pewnym niepokojem, potęgowanym przez fakt, iż jeszcze przed wydrukowaniem poznałem ogólne założenia książki. Powieść była pisana na konkurs i to konkurs dość tematycznie zawężony. Musiała to być zatem powieść polityczna. Przyznam, iż odnoszę się z nieufnością do wszelkiego pisania „na temat", które łatwo może się przerodzić w pisanie „na cześć". Wiedziałem, że będzie to utwór o czasach, w których większość z nas żyła, a zatem może nie tylko próbować odszukiwać siebie, ale również sprawdzać wiarygodność ówczesnych postaw, realiów walki i życia. Wiedziałem, że dzieło będzie budowane na opozycji przeszłość-teraźniejszość; konstrukcja to ryzykowna, często mogąca porwać akcję literacką. Jeżeli „Pojednanie" — to może filozofia narodowego solidaryzmu, sprowadzenie zagadnienia do przegadanych, papierowych postaci i „drętwej mowy"? W końcu — miała to być powieść właściwie bez akcji. Jak się zatem będzie ją czytać?

Uważam, że Jażdżyński nie tylko zdołał pokonać narzucone sobie trudności, ale wyszedł z nich w pełni obronną ręką, stwarzając dzieło, które ma szanse przetrwania i pozostania w literaturze. Dokonał niełatwej sztuki, dając rzetelne świadectwo tamtych czasów. Faktem jest, że powieść składa się prawie wyłącznie z dyskusji, ale jak są one zrobione!

Nie podzielam poglądu p. Rzymowskiego, którego niepokoi fakt przyjęcia konwencji realistycznej — sądzę, że ta właśnie konwencja przybliża powieść do odbiorcy, sprawia, że czyta się ją jednym tchem. Autor nie stworzył jeszcze jednej powieści okupacyjno-przygodowej, chociaż tematyka silnie ciąży ku takiemu właśnie rozwiązaniu — stworzył dzieło o człowieku i jego postawach, efektach dawnych zachowań. Dlatego też nie widzę takiej potrzeby, aby w dyskusji nad książką konieczny był udział historyka. Nie jest chyba ważne, czy wokół konkretnego miasteczka grupowały się właśnie takie, a nie inne oddziały lub czy były one tak, a nie inaczej uzbrojone. Ważne jest, że mogło być takie właśnie miasteczko i mogły w nim nabrzmiewać takie właśnie sprawy.

Nie zgadzam się z kol. Szustrem, który uważa, że końcowy rok wojny charakteryzowało osłabienie ruchu partyzanckiego. Przeciwnie, przybliżanie się frontu nasilało walki, aczkolwiek były one prowadzone w trudniejszych warunkach bezpośredniej konfrontacji z liniowymi oddziałami nieprzyjaciela.

Nie podzielam również poglądu pani Barbary Nawrockiej-Dońskiej, która swoją recenzję o książce opatrzyła tytułem „Toast za narodową zgodę" („Odgłosy", nr 29). Nie było w tamtych czasach i być nie mogło narodowej zgody, podobnie jak nie mogło być pojednania.

Na zakończenie zadam pytanie, na które nie oczekuję odpowiedzi. Odpowiedź dało życie, jakże często w tragiczny sposób. Pytanie brzmi: „Co by się stało z majorem Aniołem, gdyby por. Wjatr nie wydał na niego wyroku śmierci"?

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI: Najpierw o innej jeszcze warstwie tematycznej powieści Jażdżyńskiego, na którą ani moi preopinanci w swych głosach wymownych, ani recenzenci nie zwrócili uwagi. Autor „Pojednania" jako pierwszy wprowadził do naszej literatury o okupacji — bardzo jednostronnie nachylonej nad działaniami li tylko bojowymi i sabotażowymi — działalność podziemnej służby medycznej. Tym większa zasługa Jażdżyńskiego, że sięgnąwszy po nie tknięty temat, oddał rzeczywiście z dużą ekspresją i bez jakichkolwiek „kalek" i powtórzeń walkę lekarzy i sanitariuszy o życie ciężko rannych — często przegrywaną z powodu niedostatku lekarstw, narzędzi i w ogóle warunków nierównie nawet gorszych, niż polowe w wojnie regularnej. Te partie powieści są dużej piękności.

A teraz warstwa zasadnicza utworu, z takim ferworem od półtorej godziny dysputowana, a ze względu na którą nazwano tu „Pojednanie" powieścią polityczną. Rzeczywiście jest to powieść polityczna. Niektórzy dyskutanci nie wyprowadzili jednak wniosków warsztatowych z takiego zaklasyfikowania powieści przykładali do niej strychulce, odpowiednie... ale dla tradycyjnej powieści drobnorealistycznej. Bo choć znającym stosunki na Kielecczyźnie w ostatnim okresie okupacji nietrudno jest stwierdzić, że realia tej książki nie są dowolnie wymyślone i na bakier z czasem historycznym (konkretnie odpowiadają one stosunkom i układowi sił na terenie Szczekocina z przyległościami), zostały jednak potraktowane przez autora celowo bardzo umownie. Nie jest to w tej warstwie książka o ludziach i wydarzeniach, ale książka przymierzająca racje poszczególnych ugrupowań polityczno-wojskowych i postaw ludzkich, że tak powiem, cywilnych do możliwości budowy Polski szczęśliwej na tamtym zakręcie historii. To racje, a nie nosiciele racji, są rzeczywistymi bohaterami „Pojednania". Analiza wartości i słuszności owych racji, nie zaś rzeźbienie portretów psychologicznych, czy prowadzenie rozbudowanej i „życiowej" (tj. sprawdzalnej mikrometrem zapamiętań typu kronikarskiego) fabuły było celem Jażdżyńskiego.

Pod tym względem powieść jego przypomina moralitety średniowieczne czy alegoryczne utwory secesji, np. „Akropolis", w których toczą generalne spory nie ludzie, lecz pojęcia. Pierwsza dama utworu — Nadborówna jest w nim ważna li tylko jako „kura domowa", reprezentantka postawy „niech na całym świecie wojna...", nie jako heroina romansu smutnego. Nie staruszek kanonik jest tu postacią, lecz głoszona przez niego idea „pax christiana" — itd. Miasto i „iks" wsi dookoła służy autorowi przede wszystkim za rozległy stół dyskusyjny. Aby dyskutanci mogli wytaczać swe racje, autor — i w tym typie powieści ma do tego prawo — uchyla od czasu do czasu szlabany literalnego prawdopodobieństwa, skraca odległości, wydłuża czas, daje „środki dopingujące" swym bohaterom, uwalniając ich od zmęczenia, a żandarmerii niemieckiej każe działać na sposób muchy w smole. Jest tu też rzeczą aż nadto znamienną, że przedstawiciele wszystkich bez wyjątku racji posługują się właściwie tym samym — błyskotliwym, zmetaforyzowanym, chętnie sięgającym po paradoks — językiem dyskursywnym, który jest jednocześnie językiem porte-parole Jażdżyńskiego. Słusznie, jako że książka jest rozpisaną na głosy psychomytią, jaka toczyła się naówczas w duszy każdego uczciwego, poszukującego drogi właściwej inteligenta i wewnątrz tej warstwy.

Słabszą natomiast stroną „Pojednania" jest niedostatek bardziej określonego dziania się w warstwie współczesnej tej retrospektywnej powieści. Na samo snucie wspomnień wystarcza na dobrą sprawę jeden czy najwyżej dwa wieczory wakacyjno-słomianowdowieńskie. Na dowiedzenie się, co się stało z Nadborówną, jeśli gospodarz uparcie nie puszcza pary z gęby, wystarczyłoby wyjść na ulicę i spytać pierwszego z brzegu szpakowatego faceta — w małym mieście wszyscy wszystkich znają... No, ale przyczepiam się.

LEON GOMOLICKI: **Mówi się, że projektowany od lat miesięcznik literacki w Łodzi nie ma racji bytu z powodu braku piór. Nic błędniejszego. Zaprzeczeniem dzisiejszy wieczór. Już blisko trzy godziny omawiamy i to tylko jedną książkę. Na dyskusję złożyły się dwa referaty i bodajże osiem recenzji, doskonale skonstruowanych. W przeliczeniu edytorskim dałoby to około 100 stron druku czyli całkiem pokaźny tom pisma. Niewiele mogę do tego dodać, będą to krótkie impresje. Omawiana książka kojarzy mi się z poprzednią powieścią Jażdżyńskiego „Sprawa". Jest tam identyczna sytuacja: narrator konfrontuje swoje doświadczenia z lat wojny, odszukując dawnych towarzyszy broni, reprezentujących obecnie różne zawody i postawy. Z tym, że w „Sprawie" główny bohater był pełen obsesji i niepewności. W „Pojednaniu" jest mniej wewnętrznego dialogu, a więcej realiów rzeczywistości, co, jak tu już stwierdzono, nie wypadło na korzyść powieści. W praktyce pisarskiej bywa tak, że pisarz, może wcale nie zamierzenie a raczej podświadomie, powraca obsesyjnie do tych samych wątków, poddając je próbie różnych reakcji koncepcyjnych. Ciekaw jestem, jakie będą dalsze warianty tematyki „Sprawa" — „Pojednanie"?**

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI: **Pisanie książki da się przyrównać do bardzo trudnej podróży, chodzi bowiem o podróż do stacji niewiadomej. Ta niewiadoma stacja to nic innego — jak opinia o książce, sposób jej przyjęcia przez czytelnika. Jakąż można mieć pewność, że długa niekiedy i trudna praca dobrze będzie widziana, wzbudzi zainteresowanie, sprowokuje do dyskusji?**

Myślę, że narodziny Polski Ludowej, ów skomplikowany i dramatyczny proces zwycięstwa lewicy, jakkolwiek bogato już chyba udokumentowany, wciąż jeszcze czeka na pióro pisarza, za mało mamy znaczących książek o tym właśnie okresie, tak bardzo rozstrzygającym o naszym dniu dzisiejszym. „Pojednanie", jak słusznie zauważono — to tylko jedna ze skromnych prób ukazania typowych postaw i zachowań ludzi z tamtych lat. Próba literacka, a nie inna. Nie chodziło mi więc o absolutną wierność takim czy innym szczegółom, pisarz nie musi odbierać chleba historykom, ani być przez nich prowadzony za rękę, jeżeli tylko pozostaje w zgodzie z ogólnymi prawami walki o nowy porządek społeczny. Szekspir nie stracił z tego powodu, że umieścił Czechy nad morzem, a za czasów Jana bez Ziemi postarał się o armaty strzelające prochem.

Bardzo chciałem przedstawić w „Pojednaniu" nie tyle konkretne wydarzenia, ile ścieranie się zasadniczych racji politycznych tamtego czasu. Stąd też bohaterowie książki dyskutują, była to w końcu wojna nie tylko o ocalenie substancji narodowej, przepędzenie wroga za granicę Rzeczypospolitej, ale także wojna ludzi myślących o przyszłym kształcie, sprawiedliwym modelu ojczyzny. Dyskusyjność — tak to sobie założyłem — miała być najbardziej konstytutywną cechą „Pojednania". Tytuł jest, oczywiście, metaforyczny. Polska — w moim przekonaniu — rzeczywiście była jeszcze wtedy nie nazbyt dysponowana. Nim mogło do rzeczywistego pojednania dojść, musiał się wpierw dograć nasz polski dramat społeczny i polityczny. Ekspozycję starałem się pokazać, ale miną lata nim czas pojedna strony różniące się racjami, lecz pojedna tylko tych, którzy dobrze krajowi służyli.

Nie mogłem pokazać wszystkich argumentów w dyskusji i wszystkich orientacji, zadanie — jak na moje możliwości — zbyt wielkie. Stąd może silniejszy akcent padł na tradycyjną inteligencję polską. Wydawało mi się, że o tej specyficznej formacji, więcej mam do powiedzenia, a jej reakcje na fakt formowania się konkretnej wizji wyzwolonego kraju, zaproponowanej przez lewicę — najbardziej były mi znane. Nie kreowałem specjalnie bohaterów książki, chciałem ich ukazać w komplecie zalet i wad, nigdy zaś upiększać czy kanonizować, gdyż z początkiem przemian mieliśmy wtedy do czynienia, a nie ich zakończeniem i żadna z postaci nie mogła wtedy powiedzieć ostatniego słowa. Stąd właśnie ludzie z kręgu „Pojednania" są jakby nie dorysowani, brakuje im często czegoś w rodzaju ostatecznych decyzji. Nie mogli ich jednak, moim zdaniem, w każdym przypadku podejmować, zaprzeczaliby bowiem prawom rozwoju, możliwości nowych przemyśleń i dalszych poszukiwań.

JERZY WAWRZAK: *Pora już kończyć naszą debatę. Jeśli powiem, że była ona naprawdę owocna i ciekawa (a za te jej walory wszystkim uczestnikom zebrania i autorowi powieści serdecznie w imieniu organizatorów dziękuję), to chyba się tym sądem nie rozminę z odczuciami koleżanek i kolegów. Dyskusja potwierdziła celowość naszych spotkań, dała nam więc mandat zaufania do samych siebie i upoważnienie do organizowania kolejnych spotkań. Potwierdziła też, wcześniej już wyrażane opinie, że „Pojednanie" zawiera wiele treści godnych dyskusji, że podejmuje temat w sposób różnie przez czytelników oceniany. To co sobie podczas dzisiejszego wieczoru powiedzieliśmy, uzmysłowiło nam dobitnie potrzebę i korzyści takiej wymiany poglądów, rozumianej nie tylko jako dyskusja o warsztacie twórczym, ale także jako dyskurs polityczny. Atrakcyjność poruszanych spraw, ich rozległe perspektywy i ich doniosłość dla literatury, skłaniają redakcję „Odgłosów" do obszerniejszego rozważenia całokształtu zjawisk, związanych z dziejami i stanem obecnym polskiej powieści politycznej. Toteż planujemy podjęcie tych zagadnień w cyklu artykułów krytyczno-literackich, które zwieńczyć chcielibyśmy również dyskusją w naszym gronie. Myślę, że przebieg dzisiejszej rozmowy jest do tego zamierzenia bardzo dobrą zachętą.*

Opracował: J. Rz.

SPÓŁDZIELCZE

pracy własnej brygady remontowej. Budowę domu kultury dla osiedla im. Wł. Reymonta na Teofilowie rozpocznie się już w przyszłym roku.

Większość domów budowanych w Łodzi powstaje z inicjatywy i pieniędzy łódzkich spółdzielni mieszkaniowych, wśród których są trzy największe: RSM „Lokator", RSM „Bawełna" i RSM „Polesie". Każda z tych spółdzielni buduje w innym rejonie: „Lokator" na Teofilowie, „Bawełna" na Dąbrowie i Zarzewie, a „Polesie" na Retkini. Najstarszą spółdzielnią mieszkaniową, bo istniejącą już bez mała 60 lat, jest RSM „Lokator". Ona też ma największe doświadczenia. Pierwsze spółdzielcze domy kultury powstały w „Lokatorze" i „Lokator" postawił pierwszy dom spokojnej starości.

Doświadczenia „Lokatora" w budowaniu i zarządzaniu osiedlami pozwalają zająć się sprawami osiedla właśnie na przykładzie Teofilowa.

* * *

„Teofilów C", zanim jeszcze powstanie Retkinia, wszyscy będą pokazywać jako najładniej i możliwie racjonalnie wybudowane łódzkie osiedle. Ale Teofilów — jako całość — miał nieszczęście być poligonem doświadczalnym. Najpierw projektowany dla niewielkiej liczby mieszkańców, rozrósł się nagle do rozmiarów średniego miasta powiatowego, a przecież proces budowy Teofilowa nie został zakończony i w najbliższym czasie rozpocznie się budowa dalszej jego części — „Teofilowa D". Według projektów ma to być osiedle jeszcze ładniejsze i bardziej funkcjonalne od wszystkiego, co do tej pory wybudowano w Łodzi.

Pamiętam, jak przed kilkoma laty słuchałam opowieści projektantów Retkini. Miało to również być — już nie osiedle, a miasto cud. I pamiętam zapewnienia, że tutaj, jak nigdzie do tej pory, najpierw zacznie się od budowy sklepów, pawilonów itp. I pamiętam moją wizytę na budującej się Retkini i sklep w mieszkaniu, którego ktoś na czas nie otrzymał, i pamiętam błoto, i opowieść o na prędce sadzonych kwiatach i drzewach, bo właśnie Łódź wizytował dostojny gość z Warszawy.

Dokonaliśmy ogromnego postępu w projekowaniu nowych osiedli. „Rozluźniono" normy dla urbanistów, architektów i budowlanych. Nie zapomina się o zieleni. Więcej planuje się sklepów i punktów usługowych, nie zapomina się o kinach, kawiarniach, restauracjach, boiskach, basenach i domach kultury. Ale metody budowania nowych osiedli pozostały stare. W założeniach zrobiliśmy już poważny krok w stronę XXI wieku. W realizacji tych założeń żałośnie drepczemy w miejscu.

Na „Teofilowie B", czyli w osiedlu Stefana Żeromskiego, wybudowano PDT „Teofil". Za „Teofilem" — w stronę zachodnią — przygotowano teren pod ciąg pawilonów handlowo-usługowych. Jak na razie na terenie tym chłopcy z Teofilowa grają w piłkę, bo budowa pawilonów ciągle „spada z planu". Budowlani i ich mocodawcy prowadzą interesujący nawet spór na temat tego, czy pawilony handlowo-usługowe budować metodami tradycyjnymi, czy też korzystać z lekkich konstrukcji stalowych, łatwych w montażu i szybkich w budowie. Spór trwa nadal i nadal nie ma pawilonów.

Na Teofilowie nie ma bibliotek. Jedną otworzono w „M—4", które zabrano komuś, a dokładniej komuś nie dano. Pewnie wśród tysięcy budowanych mieszkań jedno problemu nie stanowi, ale też pokazuje, że bibliotek nadal się nie buduje. Druga biblioteka powstała w pomieszczeniach na spółdzielczy dom kultury. Sytuacja jednak w tej dziedzinie jest jasna. Nikt nie prowadzi nawet sporu na temat tego, czy biblioteki budować metodami tradycyjnymi czy przy wykorzystywaniu stalowych konstrukcji bądź innych jeszcze metod.

RSM „Lokator" dysponuje atrakcyjnymi nawet programami dalszego wyposażenia osiedli na Teofilowie. Od kilku lat rozważa się potrzebę wybudowania w tej części miasta wielkiego domu kultury. Byłby to dom kultury nowego typu, dysponujący nie tylko salami widowiskowymi, kawiarniami, ale też pomieszczeniami do rekreacji i sportu. Ten dom kultury ma powstać z połączonych funduszów Urzędu Miasta Łodzi, „Stomilu" i „Lokatora". Idea — jak na razie — pozostaje w fazie dyskusji. Na szczęście już nad dokumentacją, więc może kolejny termin rozpoczęcia robót, wyznaczony na rok 1975, tym razem będzie dotrzymany. Ale, że już tych terminów było kilka...

Nie chciałabym się jednak zbytnio wdawać w szczegóły. Sprawa jest bowiem bardziej poważna. Oto w RSM „Lokator" rozważono konieczność powołania „spółdzielni eksploatacyjnych". Ten trochę dziwny termin oznacza, że będą to spółdzielnie samodzielne, powołane tylko do zarządzania już gotowymi osiedlami. Tak więc taka spółdzielnia powinna powstać dla osiedla im. Wł. Reymonta i dla osiedla im. St. Żeromskiego. Jest to pomysł godny oklasków. Po co bowiem wielka machina „Lokatora", mająca setki kłopotów z realizatorami procesu inwestycyjnego, ma jeszcze zajmować się zarządzaniem gotowych osiedli, skoro tym mogą zająć się mniejsze, specjalnie do tego celu powołane zespoły. Słusznie.

Podejrzewam jednak, że i te małe, nowe twory spółdzielcze będą miały niemało kłopotów, gdyż powstają one w zetknięciu się dwóch różnych układów interesów: osiedla i miasta. Z pozoru mogłoby się wydawać, że tu nie powinno być żadnej sprzeczności. Niestety, jest. Miasto realizuje plan globalny i w wymiarach tego planu, wobec istniejących potrzeb, zupełnie obojętne jest, czy zespół pawilonów handlowo-usługowych powstanie na Zarzewie, Teofilowie czy osiedlu „Stefana — Zgierska". Z punktu widzenia spółdzielni, reprezentującej interesy mieszkańców, jest zupełnie inaczej. Spółdzielnia musi realizować podstawowe zasady funkcjonowania osiedla, znajduje się bowiem pod presją spółdzielców, domagających się dotrzymania warunków umowy. Spółdzielcy chcą mieć osiedle należycie funkcjonujące, w którym byłoby d o b r z e i p r z y j e m n i e mieszkać. I spółdzielcy mają do tego prawo, tak jak prawo ma każdy. Prawo to zostało zagwarantowane odpowiednimi dokumentami partyjnymi, gdzie stwierdzono, że do 1990 roku każda rodzina powinna mieć własne mieszkanie.

Nie wszyscy jednak pojmują, że to określenie celu przez partię oznacza nie tylko oddanie samego mieszkania i faktu, że to mieszkanie będzie zlokalizowane w bloku, stojącym w określonym osiedlu. Do tej pory niektórzy planiści ciągle jeszcze myślą, że wystarczy tylko wybudować tyle a tyle nowych mieszkań, mało troszcząc się o to, w jakim otoczeniu ulokuje się domy, jakim kompleksem obiektów handlowo-usługowych uzupełni się nowe osiedla i to nie odkładając ich realizacji na nie wiadomo jak odległą przyszłość. Bez jednoczesnego, kompleksowego budowania osiedla długo jeszcze nie będą spełniały swoich funkcji. A przecież nie tylko mają ułatwić ludziom życie. Ludzie muszą się tam czuć, jak u siebie w domu.

BOGDA MADEJ

Fot. Włodzimierz Parys

MACIEJ J. KONONOWICZ

SONATA KSIĘŻYCOWA

(OPOWIADANIE)

Taka cisza niezwykła jak ta, która teraz trwa tu, w orbicie widnokręgu, jest ciszą bezludnej, wymarłej planety. Taką ciszę można tylko widzieć. A jeszcze i ten całkowity bezruch od horyzontu do horyzontu: ani ptaka, ani zwierzęcia, ani człowieka...

Gęste, ciężkie, popielato-brunatne chmury pokrywały cały obszar nieba.

Jeszcze niedawno podniebny wicher komponował z nich mroczną, burzliwą prehistorię, gnał je z zachodu na wschód. Jeszcze niedawno płynęły one jak lawa z kosmicznego wulkanu, jak ślepa, nieokiełzana materia, którą Bóg rozdzielał w dni stworzenia na światłość i ciemność, na dzień — i noc. Jeszcze niedawno w trzasku piorunów, w wykresach oślepiających błyskawic, w głuchym dudnieniu grzmotów waliła na ziemię ulewa. I oto nagle wszystko ucichło i stanęło...

Budziło się we mnie nowe, nie objęte dotąd doświadczeniami ludzkimi uczucie rzewnego niepokoju, rodzące się z przeświadczenia, że po tym szaleństwie żywiołów, po tej apokaliptycznej burzy, zostałem sam jeden z żywych istot na ziemi, sam jeden bez gołębicy pokoju z oliwną gałązką, sam jeden w tej ciszy, w tym bezruchu pod niebem, skutym ciemnymi, martwymi chmurami.

Musiało być tuż po zachodzie. Zresztą pewnie i słońce stanęło spopielałe poza horyzontem.

Szedłem korytem gliniastej, polnej drogi. Prawy jej brzeg, na wysokość głowy, zasłaniał mi perspektywę. Ziemistą ścianą, miejscami gliniastą, miejscami piaszczystą, spływały na drogę bezszelestne strumyczki deszczowej wody. Lewa strona drogi była otwarta na rozległe, bezkresne łąki, leżące w ołowianym kolorycie aż po mętny, przedwieczorny mrok, rozmazany na styku chmur i ziemi.

W tej przedwieczornej martwocie i ciszy mój każdy krok nabierał szczególnej wagi, szczególnego sensu, jako jedyny widzialny w krajobrazie przejaw aktywności, zmienności, ruchu.

Buty unurzane w błocie, przesiąknięte wodą, były ciężkie jak ołów. Dawno już zrezygnowałem z wyszukiwania suchszych miejsc. Brnąłem na oślep przez błotniste kałuże, przez spływające ze skarpy, ze stoków strumienie wody. Przemoczone skarpety, upaćkane błotem nogawki spodni kleiły się do ciała.

Miałem już poza sobą kilka wiorst przebytej drogi. Szedłem jakby z nikąd do nikąd. Zatarł mi się w pamięci cel mojej podróży, ale miałem pełną świadomość, że idę we właściwym kierunku.

Teraz droga prowadziła nieco pod górę. Piaszczysty jej stok kurczył się, obniżał. Na tle ciemniejących chmur pojawiły się czarne, postrzępione sylwety krzaków i drzew...

Nagle, jakby kto w rzeczywistość wkomponował strzęp mglistego snu — — spostrzegłem ruchome sylwety trzech wiejskich dziewcząt, idących w przeciwnym niż ja kierunku. Nie widziały mnie. Miałem głowę na wysokości ich bosych nóg. Szły górą przez rozklejone deszczem pole, równolegle do biegnącej drogi. Dźwigały nad głowami rozpostarte, czarne, ciężkie chusty, jakby osłaniały się przed nie istniejącą ulewą i nieobecnym tu wiatrem. Wniosły z sobą w blok martwego powietrza coś nieuchwytnego — żeńskiego, drażniącego, niepokojącego... Coś, co kryje się wiosną w krzakach bzu, w zaróżowionych listkach brzeziny, stojącej o brzasku we mgle po kolana, coś z niepokoju przedwieczornych łąk, czesanych melodią wiejskiej harmonii...

Postałem chwilę, aż bosonogie rozpłynęły się w mroku, aż się wyodrębniła z rzeczywistości ta faktura szarego snu.

Szedłem teraz zboczem stromej góry. Potykałem się o wystające korzenie i głazy, zsuwałem się w błotniste kotlinki, czepiałem się rękoma mokrych krzaków jałowca.

W zupełnych już ciemnościach nocy posuwałem się coraz wolniej, z coraz większym wysiłkiem. Posuwałem się pochyłością chaszczowatego zbocza ostrożnie, bojąc się runąć w przepaść i bojąc się zbliżyć do szczytu wzgórza, otoczonego drutem. Bałem się spotkania z na wpół zdziczałymi psami.

W miarę biegnącego czasu korzenie, chaszcze i głazy coraz bardziej topniały w czerni nocy, a cisza, wisząca w martwym powietrzu, intensywniała. Czułem pod nogami chybotanie ziemi: stromy stok powoli pochylał się do poziomu. Szedłem coraz pewniej, coraz szybciej. Teraz czułem pod stopami rozległą równinę. Twarda gleba wyciszona trawą. Najwidoczniej ulewa przeszła tu bokiem.

Po kilku dalszych wiorstach dostrzegłem w ciemnościach, pod nogami, żółtawe pasemka kolein i łachy piasku. Niebo powoli rozjaśniało się. Czarna skorupa chmur ustępowała miejsca obłokom.

Teraz już zarysowała się przede mną szeroka droga, biegnąca przez ciemną pustynię łąk. Pojawiły się przy drodze pierwsze drzewa, jak fortpoczta lasu, czy ludzkich sadyb. Powoli opuszczał mnie lęk i niepokój. Nawracał obraz trzech bosych dziewcząt. Skąd szły? Dokąd? Wyodrębnione z martwego świata, milczące, same dla siebie, same w sobie... Nie przerywając marszu, wpatrywałem się teraz w coraz bardziej jaśniejące niebo. Obłoki nade mną rzedły, pękały, a dalej, na zachód, na oczyszczonej przestrzeni nocnego firmamentu widać było gwiazdy i księżycowy poblask. Droga była ciągle równa, wygodna, sucha, coraz dalej widoczna. Szedłem lekko, swobodnie, nie czując najmniejszego zmęczenia z przebytej niedawno, koszmarnej drogi. Trwająca nadal cisza i samotność przestały mnie drażnić i niepokoić, przeradzały się w kojący balsam. Odczytywałem je teraz jak zapowiedź szczęśliwych przeżyć, które za chwilę mają nastąpić...

I oto nagle stało się to oczekiwane, przeczuwane — jakby jakaś niewidzialna ręka rozsunęła kurtynę ciemności: wielka, złota tarcza księżyca pojawiła się w przeręblu białych obłoków! Seledynowa poświata rozkuła spętany ciemnością krajobraz tak piękny, tak fascynujący, że omal nie krzyknąłem z zachwytu.

Na prawo, nieco dalej od drogi, wyrastały z zielonozłotej uśpionej trawy szerokopienne, wielowiekowe dęby. Gałęzie i liście tych kolosów były pokryte emulsją księżyca. Stały nieruchomo, wpatrzone we własny, krótki i ostry cień. Po lewej stronie drogi ciągnął się długi wał obronny, zbudowany z ciężkich, dębowych bierwion, który okalał pierścieniem zastygłą w bezruchu, jakby we śnie, starocerkiewną wieś. Masywne chaty, budowane z grubych okrąglaków, kryte słomą, po której rozlała się złotozielona śniedź mchu, wspierały się szerokimi zadami o wał obronny, a bokami kleiły się do siebie, tworząc wewnętrzną ścianę pierścienia. W jednym tylko miejscu ustępowały one placu niewielkiej drewnianej cerkiewce, której złota kopuła lśniła w księżycowym blasku jak drogocenny klejnot. Piękno jej kształtu niepowtarzalne, nieporównywalne. Sterczący obok dąb wygaszał swym cieniem fragment dachu lśniącego w księżycu.

Kolisty środek wsi, porośnięty bujną, dziewiczą trawą, której nigdy nie tknęła ludzka stopa, podobnie jak i cała architektura wsi — — ogrzane światłem księżyca trwały w bezruchu i nieskazitelnej ciszy.

Ani przez wieki, ani teraz nie było tu ludzi, zwierząt, ptaków ani owadów, nie było wiatru, deszczu, szumu strumyka, słońca, tęczy, poranku ni zmierzchu.

Dopiero teraz, kiedy tak stałem wpatrzony w te zastygłe od wieków piękno, stworzone z logiki, harmonii, ładu, bez cienia kokieterii, anonimowe, uświadomiłem sobie z całą jasnością, że znalazłem się oto w jedynym na świecie skrawku ziemi, gdzie panuje bez przerwy ciepła księżycowa noc.

Są gdzieś pod biegunem noce polarne, są pod zwrotnikiem fatamorgany, są zaćmienia słońca i księżyca, jest jedna gwiazda polarna, co świeci zawsze w jednym i tym samym miejscu, jest gwiazda Małego Księcia... A tu, tu właśnie, gdzie teraz jestem, znajduje się ta jedyna enklawa, wyspa księżycowej nocy, która nie zna dnia słonecznego, pór roku, zmian temperatur, kolorów tęczy... Tylko tu, w jedynym miejscu na ziemi, księżyc jest tak wielki, ogromny, niski, nieruchomy i zawsze, zawsze w pełni. Jego promienie niosą z sobą łagodne, spokojne ciepło...

Kiedy się tak wpatrywałem w złotą tęczę, czułem, że opanowuje mnie powoli słodycz, że zatapiam się w baśń hipnotyczną. Ta wymarła stolica semnambulików — — nim wtuliłem się w ciepłą trawę pod dębem, nim przymknąłem zmęczone, ciężkie powieki — — wydała mi się fantastycznym, nierzeczywistym snem..

* * *

Nie wiem, jak długo trwałem w seledynowym jeziorze snu. Może dzień, może rok... Zegarek, oparty o system słoneczny, był tu przedmiotem niedorzecznym. Wskazówki stanęły na godzinie za pięć dwunasta.

Przebudził mnie ogłuszający terkot, szum i łoskot potężnych buldożerów, dźwigów, traktorów, transporterów. Przebudziły mnie oślepiające światła potężnych jupiterów, umieszczonych na szczycie wysokiej, stalowej konstrukcji. Szerokie leje świateł krzyżowały się, przesuwały, obmacywały, tropiły wszystko, co wyrastało ponad powierzchnie ziemi, torowały drogę jadącym pojazdom i machinom.

W tym warkocie i huku, w kłębach benzynowych spalin kręcą się, biegają, gestykulują, krzyczą jacyś ludzie-technicy obwieszeni instrumentami pomiarowymi, aparatami, nadajnikami, odbiornikami. Ubrani w brezentowe kombinezony, w białe hełmy ochronne, w ciemnych giserskich okularach, osłaniających przed ostrym światłem jupiterów, przekazują sobie polecenia i informacje po szwedzku, niemiecku, angielsku. Skrótami, symbolami, wzorami.

— Hallo, hallo! Uwaga! Światło skierować na zachodni fragment wałów!

— Plastyk i detonator!!

— Do schronu!

Potężny wybuch rozdarł powietrze. Z góry, w kłębach kurzu i dymu, spadały strzępy belek. Nie było echa. Ze schronu wychodzą ludzie. Znów bieganina, polecenia, sygnały.

— Uwaga! Czołg-gigant! Kierunek na cerkiewkę! Bardziej w lewo! W lewo!

— Kurt! Nie baw się w archeologa! Zostaw na miejscu te ikony!

— Teraz prosto! Wgnieść cerkiewkę w ziemię!

Zaśpiewały, zapłakały stare belki, łamane, miażdżone pod czołgiem. Przez chwilę wydawało się, że w miejsce po zlikwidowanej cerkiewce nie wtargnęło powietrze, że jej architektura tkwi jak kryształ, obrysowany niebieską watą spalin.

— Uwaga! Piły elektryczne! Dęby ścinać niżej, u nasady!

— Hallo! Svensen! Czy beton lać przez całą szerokość wsi, czy zostawić pasek zieleni?

— Przez całą!

Wciąż jeszcze myślałem, łudziłem się, że to serial koszmarnego snu. Siedziałem wsparty plecami o dąb, dławiłem się od gryzących spalin. W uszach, w głowie nieustanny szum, łoskot, aż do bólu.

Stanął teraz nade mną i trąca mnie delikatnie w ramię jakiś smukły człowiek w brezencie, z oczami ukrytymi za granatowym szkłem.

— Bardzo pana przepraszam, ale może pan przeniesie się na inne miejsce. Za chwilę ścinamy to drzewo. Dzięki Bogu — już ostatnie.

Spojrzałem ku górze, na mówiącego. Oślepił mnie snop świateł z jupiterów. Niebo nad nimi czarne jak tusz. Ani gwiazd, ani księżyca.

— Co tu się dzieje?

— Lunodrom. Stąd najprostsza trasa na Księżyc. Jedyne takie miejsce. Fenomenalne!

— Ależ to przy okazji likwidacja Ziemi, przyrody, historii, tradycji, piękna, życia, przyszłości!

— Przyszłości? Przepraszam pana, ale nie mamy czasu na rozważania filozoficzne, na dyskusje. Pan nie rozumie postępu, nowych czasów! Słowiańskie sentymenty...

— A kiedy pan mnie zetnie przy pniu? Przecież tu są moje korzenie...

Nie słuchał.

Oddaliłem się o sto metrów i patrzyłem, jak podciągają pod dąb elektryczną piłę. Zaterkotała, zagwizdała maszyna. Stal wgryzała się w żywe ciało drzewa.

I nagle oślepiający błysk! Awaria? Wszystkie jupitery wygasły. Zawyła syrena alarmowa...

Kiedy podcięty dąb zaczął się przechylać i walić pod ciężarem wielkiej korony, rozjaśnił się, rozrastał w tych nagłych ciemnościach złoty księżyc. Jego łagodne ciepłe światło nakrywało seledynowym całunem padający, ostatni dąb.

Wtedy się obudziłem naprawdę.

Odetchnąłem z ulgą. Pełną piersią.

Bo czeka mnie daleka droga przez zielone bezkresne łąki, przez gaje dębowe, przez brody rzek do miejsca mojej młodości, które muszę jeszcze zobaczyć.

Zobaczyć to samo, znajome, nie zmienione. Jak starosłowiańska wieś, jak twarz księżyca, jak złota cerkiewka, którą noszę, ocaloną, pod powiekami...

JERZY WILMAŃSKI

WIERSZE

MGŁA

Więc jeszcze jedna rozwiana mgła
jeszcze raz
szyk zdań ci pomieszał wiatr

Wchodzisz w banał jak w lustrzany hal'
gładkość szyb
wiśniowych lambrekinów miękkość
i jest tak przytulnie i ciepło

tylko ta mgła

Więc jeszcze jeden zeszłoroczny sen
jeszcze raz
chłód dosięga ust

Więc wchodzisz w dnia poduchę białą
ziarenka snu pod powieką
wczorajszy zarost i dzisiejszy lęk
i jest tak jak jest

tylko ta mgła

EROTYK

W wielkie uspokojenie dane mi jest wstąpić
kiedy czułość i tkliwość w tej chłodnej pościeli

kiedy smak twoich włosów
szorstkość wnętrza dłoni
kropelki potu w kącie ust i oczu

I znów jesteśmy na odległość nocy
zmiętą pościel rzucono do kosza z bielizną

I znów jesteśmy na odległość nocy
która – jeśli ostatnia – czernieć będzie blizną.

NOC

Nie pytajcie mnie o moją noc
pogasły światła
mrok się układa na owalu żeber

Nie pytajcie mnie o świt który nadchodzi
o dzień którego nie znam
a może nie chcę znać

Nie pytajcie mnie o moją noc
ona rysuje mi cienie pod oczyma
i mrok gęstnieje mi pod skórą

Moje noce przeklęte — smugi przerażenia
Październik mżawką się zakrztusił
Nie pytajcie mnie o moje serce
— mięsień na nieczułość chory

DWAJ PANOWIE GRAJA W ORŁA I RESZKĘ

Dwaj panowie grają na scenie w orła i reszkę oraz dialogują. Czasem, ale tylko przez chwilę, dialogowanie panów jest zabawne, odrobinę dowcipne, ale nie za bardzo. Śmieszne słowa, jak i śmieszne gesty rodem z teatru absurdu muszą mieścić się w granicach „intelektualnej zabawy" zgodnie z receptą: szczypta komedii, szczypta tragedii (tym razem wyjęte z Shakespeare'a) i dużo, bardzo dużo filozofującej gadaniny.

Kiedy oglądałem innych dwóch panów w telewizyjnym programie rozrywkowym („Ekspres") zamkniętych w przedziale drugiej klasy, miałem wrażenie plagiatu — po prostu podejrzewałem Dobrowolskiego i Pokorę o plagiatowanie Pintera, Becketta a może i Ioneco? Znajomi twierdzili, że się mylę, panowie na delegacjach w pociągu „Ekspres" udawali „samo życie" i dlatego byli śmieszni. Znajomi nie przekonali mnie. Dziś moje niedowiarstwo znalazło potwierdzenie w autentycznym dziele literackim.

Sztuka Toma Stopparda „Rosencrantz i Guildenstern nie żyją" grana na Małej Scenie Teatru im. Jaracza przypomina przedział drugiej klasy (a może trzeciej? Tylko że trzeciej już nie ma...) pociągu ekspresowego. Panowie Rosencrantz i Guildenstern dialogują podobnie jak panowie Dobrowolski i Pokora. Zważywszy na datę prapremiery — rok 1966 — Tom Stoppard nie mógł popełnić plagiatu, nie odpisał dialogów z polskiego programu rozrywkowego.

W pewnej chwili Guildenstern powiada do swojego kolegi: „Ja tylko chcę, żebyś był konsekwentny" i otrzymuje błyskawiczną odpowiedź: „A ja łaknę tylko nieśmiertelności..." W innym miejscu słyszymy takie oto stwierdzenia: „Życie to hazard, gdzie szanse są straszliwie nierówne...", „Musiał być moment na początku, gdzie moglibyśmy powiedzieć: nie. Ale jakoś przeoczyliśmy go".

Przed ćwierć wiekiem powyższe wyimki z tekstu sztuki Stopparda brzmiałyby, jeśli nie odkrywczo, to przynajmniej modnie. Dziś niestety, nie są nawet śmieszne. Ale nie zamierzam czepiać się drobiazgów. Doceniam wysiłek reżysera Romualda Szejda, doceniam wysiłek aktorów – mieliśmy otrzymać lekcję ironicznej (chyba wieloznacznej) zabawy teatralnej. Przyznać muszę, że lekcja się odbyła, prawda że przydługa, ale starannie przygotowana, sprawna technicznie z nieco przesadną celebrą na awangardę.

Teatr absurdu przeżył wiek złoty i większość z nas — myślę o publiczności — uczestniczyła w jego błyskawicznej i krótkiej karierze. Więc lekcja była spóźniona o co najmniej osiem lat. Jak na awangardę to prawie pół wieku.

Stoppard oczywiście nie ogranicza się do zapożyczeń z teatru absurdu, wnosi własne doświadczenia literackie, kiedy chce potrafi umiejętnie kpić z typowych dla Pintera czy Ionesco sytuacji scenicznych, dialogów, rekwizytów. Tylko cytaty z Shakespeare'a podaje z podziwu godnym namaszczeniem.

Panowie Rosencrantz i Guildenstern wyszli z „Hamleta" i trafili... do postegzystencjalistycznej groteski. Mądrości księcia duńskiego Stoppard opatrzył rodzajem odautorskich przypisów scenicznych. Ani pomysł, ani realizacja nie grzeszą oryginalnością. Wokół „Hamleta" napisano wiele sztuk, a panowie Rosencrantz i Guildenstern już przed Stoppardem doczekali się kilku scenicznych wcieleń. Duet odwiecznych dworaków chętnych do każdych posług byleby dobrze zapłaconych, w wersji Stopparda mógłby i dziś nas wzruszyć, gdyby autor nie silił się na natrętne uogólnienia. Odwieczne problemy z kręgu najważniejszych: życie, śmierć i możliwość wyboru, podane w błyskotliwej, ale banalnej gadaninie bohaterów sztuki, nie wniosły niczego nowego. Drobne aluzyjki do współczesności nie odświeżyły, bo i nie mogły, schemat antyteatru filozoficznego.

Zastanawiam się, dlaczego reżyser spektaklu nie odczytał sztuki Stopparda jako farsy? Że głębsze myśli uległyby spłaszczeniu? Że kpina z wielkiej tragedii? Filozoficzne frazesy Stopparda, moim zdaniem, prosiły się o wykpienie, cienka ironia w odniesieniu do zwietrzałej filozofii egzystencjalnej mało śmieszy a i do „myślenia" też niewiele pozostawia...

Dwaj panowie Rosencrantz i Guildenstern zabawiają się z trupą aktorską zaangażowaną przez Hamleta do udziału w odegraniu wielkiej tragedii. U Shakespeare'a zespół wędrownych artystów wykonuje konkretne polecenie, u Stopparda nieznośnie dużo gada, filozofuje zamiast grać. Rzecz jasna nie o fabułę chodziło autorowi, tylko o tę pogłębioną gadaninę.

Może całe to gadulstwo byłoby bardziej strawne, gdyby reżyser oszczędniej wygrywał sytuacje, gdyby ograniczył zgrane doszczętnie chwyty inscenizacyjne starego teatru awangardowego. Już niedłużo przyjdzie nam — publiczności — stać na scenie i kto wie może i dialogować, a aktorzy będą siedzieli na widowni. Tylko, czy będą nas równie gorąco oklaskiwać jak my ich?

Sądzę, że sztuka Toma Stopparda „Rosencrantz i Guildenstern nie żyją" jest dobrą etiudą dla studentów szkoły teatralnej. Żeby ją zagrać, trzeba pokonać wiele trudności czysto technicznych, trzeba wykazać się dobrą sprawnością fizyczną, opanowaniem niełatwego tekstu, refleksem... Aktorzy Teatru im. Jaracza do powyższych umiejętności dodali zapał i dobrą wolę. Mówili tekst czysto dykcyjnie i sensownie (co nie było najłatwiejsze), starali się wyważyć i oddzielić to, co trochę śmieszne od tego, co mądre, głębokie. Można by powiedzieć, że ucząc bawili (umiarkowanie zresztą).

Kiedy dwaj panowie nie bardzo wiedzą co powiedzieć, grają w orła i reszkę i przyznać muszę, że robią to doskonale. Zapewne i ta gra ma swoje podteksty i niedopowiedzenia, na pewno można do niej dorobić filozofię, tylko czy warto? Stoppard uważał, że tak. W każdej grze ktoś przegrywa, ktoś wygrywa, ale nie zawsze wygrany bywa szczęśliwy i na odwrót. Życie przyrównywane było chyba do wszystkich gier towarzyskich i nietowarzyskich, do wszystkich zabaw... gra w orła i reszkę ostatecznie nie jest gorsza od innych.

STEFAN KUBICKI

POWROTY

Teatr Nowy „Weselem Figara" w 1955 roku wkroczył w drugie pięciolecie swego istnienia; pisano wówczas o tym teatrze, jako o „jednym z przodujących teatrów w Polsce", o najbardziej ideowym repertuarze. Dzisiaj, kiedy Teatr wkracza w szóste pięciolecie zaczyna je także komedią Pierre de Beaumarchais'ego.

Lata teatru Kazimierza Dejmka, to własne kształtowanie schillerowskiej formuły „teatru walczącego" i „teatru monumentalnego", to poszukiwanie takich rozwiązań formalnych, które byłyby zgodne z nowymi, aktualnymi treściami.

Dzisiaj, kiedy w teatralnej Polsce widz narzeka na przerost formalizmu, Teatr Nowy, znowu pod artystycznym przewodnictwem Kazimierza Dejmka, proponuje „zabawę w teatr", teatralność z całą jej umownością, z kreacjonizmem artystycznie zakomponowanym. I któż, jak nie Bohdan Korzeniewski, znakomity znawca teatru współczesnego i jego historii, potrafi wprowadzić na scenę element zabawy, żonglerki słownej i zadumy nad losem człowieka. Czyż nie jest to odnalezienie stosownej formy dla treści „Wesela Figara".

Przedstawienie jest długie, celebrowane, pozwala powoli wciągać widza w znakomitą zabawę i teatralny dobry smak. Aktorzy mogą w komponowaniu roli rozłożyć w czasie wszystkie akcenty, drobiazgowo poprowadzić główne idee postaci, nadbudować wiele misternych ozdobników.

Wyeksponowany na afiszu podtytuł „Wesela Figara", „Dzień szaleństw" precyzyjnie określa tonację spektaklu. Bardzo tatralna scenografia Teresy Roszkowskiej akcentuje w sposób istotny ogólną kompozycję przedstawienia dając możliwości aktorowi różnorodnego ogrywania wszystkich elementów scenograficznych. Teresa Roszkowska nie stara się swoją kompozycją niczego narzucać aktorom, przeciwnie, oczekuje od nich, jako się rzekło, inwencji i pomysłowości.

A więc mamy spektakl aktorski. Formuła ta figurowała, jako równorzędna z ideowością i współczesnością od początku istnienia Teatru Nowego.

Na podkreślenie zasługuje fakt zgodności konwencji przyjętej przez cały zespół — wielka to zasługa reżysera. Ale przecież i aktorów świadomie komponujących role we wszystkich zależnościach tej złożonej struktury, jaką jest dzieło teatralne. Ogólnie rzec by można, że spektakl jest pomyślany jako synteza XVIII-wiecznego teatru francuskiego i włoskiego. Odnosi się to przede wszystkim do konwencji „a parte", którą z całą konsekwencją stosują twórcy przedstawienia.

Konwencję tę podkreślił reżyser jeszcze dosadniej, wprowadzając muzyków na scenę (kompozycje Tomasza Kisewettera), którzy wynoszą nastrój zabawy i teatralizacji. Wszystko to kształtuje w sposób istotny stylistykę gry aktorskiej. Wynika stąd, przecież, i ruch sceniczny, i mimika, i skonwencjonalizowany gest z epoki. Celuje w tym Mirosława Marcheluk (Hrabina), która zwłaszcza w scenie z Wojciechem Pisarkiem (Cherubin) pokazała jak wielkie posiada możliwości kreacyjne. Dysponując dużą skalą głosową, rozbudowaną mimiką, aktorka potrafiła przekazać rozległą gamę stanów emocjonalnych, w sposób sugestywny panując nad widownią. Jakie bogactwo środków w rozgrywaniu rekwizytów, ileż barw i odcieni na oddanie najdrobniejszej reakcji. Odmiennie rysowała swoją Zuzannę Barbara Dziekan. Dysponując innymi środkami wyrazu, bardziej może powierzchownymi, zastępowała świadomą kompozycję żywiołowością i niekłamanym wdziękiem. Jej Zuzanna jest dynamiczna, pełna niezaspokojonego temperamentu, barwna i ludowa. Ta ludowość stanowi niejako jej atut: dlatego założenie to stało się kluczem do rozwikłania zawiłości roli, która dla tegorocznej absolwentki Wydziału Aktorskiego łódzkiej szkoły, była niemałym trudem. Jeszcze jeden egzamin zdała na piątkę Barbara Dziekan (pamiętamy ją także z „Kubusia Fatalisty"). Tradycji stało się zadość.

Figaro Piotra Krukowskiego nie miał nic z ludowości, z owej mądrości ludowej, był intelektualnie dojrzały, autentyczny aranżer tego „dnia szaleństw". Ale owe szaleństwa w jego kompozycji miały przejrzystą metodę. Aktor stosuje tutaj pewną złożoną deformację. Maska mimiczna ze stale przykiejonym uśmiechem lekko zgięte nogi, jakby młodzieńcza poza, ułatwiająca skradanie się, przemyślne intrygi, które potrzebują kociej przebiegłości, miękkości w ruchach, elastyczności w rysunku postaci i dykcji.

W odróżnieniu od bogactwa materiału aktorskiego, jakim dysponują postaci Hrabiny, Zuzanny i Figara, Hrabia Almaviva (Marek Barbasiewicz), Marcelina (Hanna Bedryńska), Bartolo (Sławomir Misiurewicz) i Bazylio (Józef Zbiróg) posiadają raczej charakter szkicowy, niezmiernie trudny do wypełnienia i wybrania właściwej tonacji. Tym bardziej interesujący stał się fakt operowania przez aktorów, twórców wymienionych ról, rysunkiem przede wszystkim zewnętrznym, operowania zakomponowanym stereotypem. Marek Barbasiewicz „gra" pozera i bon vivanta, zepsutego młodego arystokratę, podkreślając jego pochodzenie nieco przerysowanym gestem, wydęciem warg itp środkami. Hanna Bedryńska jest ciepła, dyskretnie uwypukla cechy tecjwej damy, która stara się dorównać młodym. To dynamizuje ruch, to znów zwalnia go, dając wyraz złożoności postaci. Sławomir Misiurewicz i Józef Zbiróg natomiast wychodzą od „groteski", podkreślając tu i ówdzie „rozpasanie" z commedia dell'arte.

I trzecia propozycja Zygmunta Malawskiego (Antonio) i Ludwika Benoita (Don Guzman Tuman) propozycja aktorów dojrzałych, świadomych swoich środków wyrazu i tradycji. Są to epizody o szerokich możliwościach kreacyjnych. Antonio — to ogrodnik, który nigdy nie bywa trzeźwy; Don Guzman Tuman — nomen omen — to sędzia, który kupił stanowisko. Tradycja stawia te postaci w rzędzie znakomitych egzemplifikacji satyrycznych. Dzisiaj aktor musi znaleźć inne cechy, bardziej przystające do współczesnej świadomości odbiorcy. Wobec tego Zygmunt Malawski i Ludwik Benoit wydobywają śmiesznostki czysto ludzkie, rysując postaci jaskrawymi barwami. Pomaga im w tym także charakteryzacja i drobne, acz znaczące rekwizyty. Ta sama konwencja, a jak zróżnicowane sposoby jej realizowania.

Tak skonstruowana propozycja teatru nasuwa ogólny wniosek. Oto „powróciła" formuła „teatr aktorski", „powrócił" Beaumarchais ze swoim „Weselem Figara", Bohdan Korzeniewski, tak silnie związany z Teatrem Nowym i wreszcie Kazimierz Dejmek, a wraz z nim atmosfera teatru artystycznego i artystycznej dyscypliny.

Fot. A. Brustmann

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Pierre de Beaumarchais „Wesele Figara albo dzień szaleństw" przekład i reżyseria Bohdan Korzeniewski, scenografia: Teresa Roszkowska, Teatr Nowy – Duża Sala, premiera 12 listopada 1974 roku.

INTELIGENTNY ZESPOŁOWY

„(...) aktorstwa nikt nikogo sensu stricto nie nauczył. Aktor buduje siebie sam w oparciu o swoje doświadczenie. My, służymy pomocą i radą". Ta uwaga, podsłuchana ponoć na Radzie Wydziału Aktorskiego została zamieszczona w programie spektaklu dyplomowego aktorów PWSFTviT w Łodzi. Nauczyć można więc umiejętności technicznych. Stosowania gestu, operowania mimiką poruszania się po scenie, tonowania wypowiedzi. Nie można nauczyć tego, co w nas, widzach, wywołuje podziw. Tego, co każe wyczuwać w postaci, często niemożliwy do nazwania, ładunek tragedii lub czegoś nam bliskiego. Teatr, jako najszlachetniejsza ze Sztuk, wszystko co ludzkie zwykł pokazywać poprzez żywego człowieka — aktora. I przede wszystkim teatr go kształtuje. Swoim krwiobiegiem, rytmem, prawami jakim podlega, szczególnie prawem sprzężenia sceny i widowni. Umiejętności techniczne aktora są tylko jedną z istotnych podstaw wykonywania zawodu. Sukces i sława rozpoczynają się w chwili, gdy zacznie on „sprzedawać" postaciom siebie samego, swoją osobowość. Staje się wtedy indywidualnością. Ożywia i przekazuje ciała i dusze królów, żebraków, pajaców, bogów i ladacznic. Wszystkich. Rodzi się wówczas aktor — twórca. Wprawdzie odtwarza zakodowaną w wymiarze sztuki postać, ale tworzy ją przez siebie, własne ciało, gest, ruch, rytm serca i „patrzenie w serce". Łączy więc w sobie zawód aktora: ogół i konkret, czasowość i ponadczasowość, ograniczoność i nieograniczoność.

Przedstawienia dyplomowe studentów Wydziału Aktorskiego są ich pierwszym, w miarę publicznym, egzaminem. Kończą 4-letni okres szkolenia. Są jak sztucznie ustawiona cezura. „Turandot. Księżniczka chińska". Według Carlo Gozziego — ostatni spektakl dyplomy PWSFTviT jest interesującym sukcesem młodych aktorów i opiekuna roku a zarazem reżysera sztuki — Waldemara Wilhelma. Określenie „młody" nie niesie tu żadnych odcieni pejoratywnych. Wręcz przeciwnie, bowiem twórcy przedstawienia odkryli przed widzem swoją młodość. Skorzystali z niej. To nic, że czasem operują niepotrzebnie nerwowym gestem. Nic, że wyczekują w napięciu kiedy partner skończy kwestię. Nie są technicznie idealni. Są natomiast autentyczni i prawdziwi. To, co robią, nie ma nic wspólnego ze sztuczną marionetkowością określano. Aktorzy są świadkami witaj"! W pełni i bez zastrzeżeń cieszy inteligencja tego Roku. Tak też go z pewnością określano. Aktorzy są świadomi blasków i cieni swego zawodu. Dowodem na to jest już program przygotowany do tego spektaklu. Zacytowane są w nim myśli i uwagi o aktorstwie (pióra m. in. Tairowa, Burtona, Diderota), fragmenty studenckiego pamiętnika oraz listów do Szkoły.

Przedstawienie zaś jest traktatem o teatrze i sztuce aktorskiej. Tekst baśniowej groteski Gozziego potraktowano jako partyturę tej zabawy. Partyturę, którą programowo, ale bez złośliwości się ośmiesza. Dopisano całe sekwencje tekstu. Często padają ze sceny sentencje typu „myśli nieuczesanych", co uroczo ośmiesza miłość teatru i dramatu do stosowania tychże. Jednak wątłą i nieistotną ilu- zję sceniczną pozwalają wywać przede wszystkimi piosenki Lechosława Woźniczki — muzyka i Jacka Chmielnika — tekst. Obaj studenci 4 roku.

„... Jak to zrobić żeby stworzyć, jak te stworzyć żeby było"... mówią słowa jednej z piosenek. A przytaczam je dlatego, że jest to spektakl o tworzeniu, budowaniu roli, o pokonywaniu oporów fizycznych i psychicznych. Uczestnicy scenicznej zabawy imitują więc różne style i konwencje gry. Są „prywatni" — co zdeterminowane jest naczelną koncepcją inscenizacji — sztuki o sztuce. Nieraz popadają w ton realistyczny. Nieraz w komediowy lub groteskowy. Jest również cała sekwencja parodiująca konwencję operową, a także cytat „ofiarnego grania ciałem" — modnego jeszcze do niedawna w każdym „awangardowym" teatrze. Spektakl miał ciekawą drogę ku kształtowi ostatecznemu. Najpierw, jak sądzę, buntowniczo sprzeciwiono się Gozziemu. Potem pisano i budowano przedstawienie na scenie. Powstawały różne koncepcje, koncepcja zespołowa. Reżyser pozostawił aktorom wiele swobody. Ona zaś zrodziła samokontrolę. Przez swoisty bunt przeciw teatrowi i aktorstwu, przez powrót do prostych form teatru, do zasad i zadań aktorskich rodem z komedii dell'arte, przez wyzwolenie aktywności aktorów. twórcy tego przedstawienia triumfalnie wrócili do triumfujących: Aktorstwa i Teatru. Rezultatem tej twórczej przygody jest ciekawe przedstawienie. Spośród 16-osobowego zespołu aktorskiego wymienić należy Mirosława Henke — jako cesarza Chin, Justynę Kulczycką — jako okrutną i niesforna Turandot, Małgorzatę Skoczylas — jako księżniczkę Adelmę, Jacka Chmielnika — jako kanclerza oraz Lechosława Woźniczkę — jako Truffaldino.

Oczywiście sukces i odmienny charakter tego dyplomu jest zasługą całego zespołu. Jedni otrzymali bardziej, inni mniej eksponowane role. Ową zespołowość łatwo wyczuwa się na widowni, bo nikt na scenie nie stara się być za wszelką cenę gwiazdą. Na temat pracy zespołowej w teatrze już wiele napisano. Warto raz jeszcze przypomnieć, że droga do indywidualności, do owego „sprzedawania czegoś z siebie" związana jest z tworzeniem kolektywnym. A także z rzetelną wiedzą fachową i wiedzą w ogóle. Jedno i drugie wykazane zostało w tej realizacji utworu Gozziego.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

„Turandot Księżniczka chińska" — Carlo Gozzi Reżyseria: Waldemar Wilhelm. Ruch sceniczny — Barbara Fijewska. Opracowanie muzyczne — Edward Żuk. Oprawa plastyczna — Małgorzata Treutler. Praca dyplomowa studentów Wydziału Aktorskiego PWSFTviT im. Leona Schillera w Łodzi.

PLASTYKA

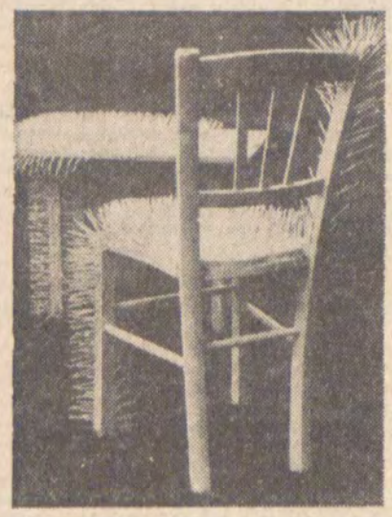

STRUKTURY GÜNTHERA UECKERA

Wystawa struktur Günthera Ueckera, w Muzeum Sztuki w Łodzi, jest wydarzeniem szczególnym w życiu artystycznym miasta. Nieczęsto bowiem publiczności muzealnej dane jest uzmysłowić sobie tak wyraźnie znaczenia, jakie we współczesnej kulturze ma myśl Władysława Strzemińskiego.

Günther Uecker (nr. 1930), mieszkający w Düsseldorfie, swą działalność artystyczną wywodzi z unizmu Władysława Strzemińskiego. Po raz pierwszy ujrzał on obrazy łódzkiego artysty w 1960 roku na wystawie w Szwajcarii. Struktury Ueckera nie są bezpośrednim nawiązaniem do kompozycji unistycznych, lecz znajdują w nich swój artystyczny rodowód. Twórczość Ueckera odznacza się wielką dynamiką, przybiera różnorodne formy, ma wiele elementów widowiskowych. Prezentując jednak w łódzkim muzeum swą wystawę, autor świadomie ograniczył się do analitycznego rozwoju struktur, które uznaje za podstawę swej twórczości, a także poddał się „wymaganiom tego domu, którego oblicze tak trwale zostało przez Strzemińskiego naznaczone" — jak napisał we wstępie do katalogu D Honisch.

Teoria i praktyka unizmu Władysława Strzemińskiego powstała w latach 1923—1934. W 1928 roku Władysław Strzemiński wydał książkę pt. „Unizm w malarstwie", w której zawarł najważniejsze sformułowania. Obraz unistyczny nie miał być dramatyczny, lecz ograniczony jak sama natura. Winien operować wyłącznie pojęciem przestrzeni, nie zaś czasu. W budowie obrazu stosunki wielkości jednego kształtu do drugiego określane są przez jednakowy wyraz liczbowy. Punktem wyjścia jest długość i szerokość obrazu. Obraz ma być pozbawiony cech indywidualnych malującego, a więc obiektywny. Kolor należy stosować taki, by unikać napięcia. Strzemiński odebrał obrazowi wszelkie odniesienia do realności, pozbawił go dynamizmu, czyniąc przedmiotem, obiektem nie „użytkowym" lecz będącym wykładnią określonej logiki budowy (struktury). Unistyczne obrazy Strzemińskiego były jednymi z ostatnich przejawów myśli konstruktywistycznej w Europie lat trzydziestych.

Odrodzenie zainteresowania konstruktywizmem przypada na koniec lat pięćdziesiątych, czego jednym z dowodów była, jak wspomniano, zorganizowana w Zurichu w 1960 r. wystawa „Sztuka konkretna". Wtedy też ostatecznie definiowała swą twórczość generacja, do której należy Günther Uecker. W latach 1957—58 „unizm" Ueckera przejawia się w formie najczystszej. Powstają struktury monochromatyczne. Gęsta farba tworzy jednolite, poziome lub pionowe paskowania, czasem kratownice, faktura wzbogacona bywa dodatkiem piasku do farby.

Obraz jest płaski, stwarza poczucie jedności budowy, zachowuje jeszcze ślad ręki malarza. Inne problemy nasuwają struktury nazywane perforacjami czy punktacjami. Są to białe arkusze papieru perforowane uszeregowanymi dziurkami, często zagęszczają się one w centrum, czasem występują liczniej u podstawy nadając strukturze wrażenie stabilności. Są one wynikiem działań mechanicznych, nie zaś indywidualnego gestu artysty. Przełomem w twórczości Ueckera było w 1958 roku wbicie przez niego pierwszych gwoździ, których stosowanie do dziś jest znakiem wywoławczym tego artysty. Od tej chwili struktura z płaskiego obrazu stanie się obiektem przestrzennym.

Gwoździe są różnego kształtu i wielkości, wbijane są pod różnymi kątami. Początkowo artysta stosował rytmy, ciągi rygorystycznie uporządkowane, z biegiem lat struktury stawały się coraz bardziej swobodne, stając się nawet śladem gestu artysty rzucającego strzałami w płótno. Gwoździe z racji swej przyrodzonej agresywności stawiają atakowaną przestrzeń w „sytuacji św. Sebastiana". Struktury z gwoździami są białe. „Gwóźdź wychwytuje kolor ze światła" — pisze autor. Biel nie spełnia tu tylko roli estetycznej. Biel jest dla Ueckera spokojem, przeciwieństwem ciemności, cierpienia, krzyku, wielkich gestów.

Zainteresowanie Ueckera światłem, nie ogranicza się do struktur z gwoździ. Wraz z Henzem Mack i Ottonem Piene w latach 1962—1963 aranżował on kilkakrotnie „Salon światła" w muzeach i galeriach. Wywoływał sztuczne błyskawice manipulując instalacjami wysokiego napięcia, wykonał układ świetlny złożony ze świecących rur, miał wystawę deszczu świetlnego, pracował z maszynami świetlnymi, hałasującymi i ruchomymi, tworząc bogatą orkiestrację form, urządzał projekcje przy pomocy soczewek i luster, aranżował układy świetlne w architekturze. I podobnie jak biel, światło nie stanowi dla Ueckera tylko fascynującego, artystycznego tworzywa, lecz przyjmuje ciągle nowe wcielenia: „piękno światła przyjmie wszelką postać, jaką sobie tylko zażyczymy i wymarzymy. Spirala nieskończoności utworzona z dotknięć naszego postrzegania będzie poruszać nas tak szybko, jak byśmy byli niewidoczni..."

Nie sposób oddzielić koloru, światła i ruchu. Uecker jest autorem obiektów, w których te podstawowe elementy znalazły swój pełny wyraz, także widowisk scenicznych, inscenizacji opery „Fidelio", filmów. To, co wystawia Uecker w Muzeum Sztuki, stanowi tylko pozornie wycinek jego twórczości. Jest to podręcznik-słownik, a estetyczne idee w nim zawarte przenikają całą twórczość autora, twórczość, którą autor pragnie pozbawić wszelkich cech uprzywilejowania, uczynić ją tym, czym jest wiatr, deszcz, ziemia, ślad stopy i umieścić w muzeum, które ma być „miejscem mieszkalnym". Takie są współczesne konsekwencje myśli Władysława Strzemińskiego.

JANINA ŁADNOWSKA

NIECH ŻYJE SZTUKA!

Z jakiejś ballady Okudżawy pamiętam słowa: — Śmiechu nigdy dość... I racja, bo śmiechu rzeczywiście nigdy nie jest za wiele, nawet wtedy, gdy ktoś „śmieje się do rozpuku", lub gdy wręcz „pęka od śmiechu".

Ja osobiście śmieję się bardzo często, chociaż nie widać tego po mnie, bowiem fizis czyli gębę tak mam skonstruowaną, że im więcej we mnie śmiechu, tym bardziej jest ona bezśmieszna. Ale są to przypadki raczej rzadkie w fizjognomistyce. Nie należy na ich podstawie zbyt wiele wnioskować.

Ostatnio bardzo „uśmiałem się" (serdecznie, prawdziwie) na Wystawie Satyry (w Salonie Sztuki Współczesnej), wobec godnych następców takich mistrzów dowcipu, humoru i ołówka, jak Kostrzewski, Sichulski, Zaruba, Grus... I oglądając tę że wystawę i śmiejąc się w sobie (a wiem, że nie tylko ja się na niej śmiałem), z satysfakcją prawdziwą powtórzę za Erykiem Lipińskim, który napisał te słowa w króciutkim wstępie do katalogu wystawy:

„Żałować dziś należy, że rysunek humorystyczny, który może rozweselać czytelnika, wywołać zadumę lub po prostu w sposób graficznie jasny, czytelny i dowcipny poinformować go o konkretnej sytuacji politycznej, tak mało znajduje miejsca w polskiej prasie niesatyrycznej, tygodniowej, codziennej. A przecież mamy w kraju ogromną kadrę rysowników karykaturzystów, artystów utalentowanych, o rozmaitych, ciekawych stylach rysowania, pomysłowych i dowcipnych, a ich rysunki na pewno mogą być ozdobą każdego pisma".

I zgadzam się z tym znakomitym rysownikiem, nestorem naszego dowcipu rysowanego, że (...) „gorąco należy przyklasnąć inicjatywie prężnego ośrodka łódzkich plastyków, zorganizowania ogólnopolskiej wystawy karykatury, które były publikowane w prasie polskiej. (...) To na pewno ciekawa konfrontacja rozmaitych postaw artystycznych, technik rysowania, pomysłów i życzyć należy, aby takie wystawy stały się tradycyjne i żeby oprócz Łodzi mogli je oglądać mieszkańcy innych miast w Polsce".

Nie zawsze jednak życie stwarza nam okazję do śmiechu. Ba, nie zawsze daje nam nawet okazję do zwykłej, małej radości. Częściej rzecz ma się przeciwnie. Widząc tłumy na wystawie satyry odczuwałem prawdziwą, niekłamaną radość: salon wystawowy zapełniony! Oto przychodzą ludzie. Oglądają. To jest żywy salon i żywa wystawa. Poprzednia wystawa Lecha Kunki była martwa i salon był martwy. Jak by go nie było wcale, albo jak by w salonie był remanent lub przyjęcie towaru.

Mamy mało sal wystawowych; o wiele mniej, niż mieć powinniśmy. A ileż z nich jest „pustych", można by powiedzieć — pustynnych, chociaż wiszą tam obrazy, rysunki, stoją rzeźby? Ileż mamy takich salonów, gdzie odbywają się aktualnie „remanenty"? Bardzo dużo, o wiele za dużo. I nie należy w związku z powyższym winić ludzi, że na wystawy nie chodzą. Ludzie, w gruncie rzeczy, chodzą na wystawy bardzo chętnie i — jeżeli są to wystawy dobre — chodzą bardzo często. Po prostu chcą tam chodzić „po coś", dla jakiegoś powodu, krótko mówiąc — po sztukę, a nie po bezsens, hucpę, papkę pseudoartystyczną, aintelektualną.

Bo można człowieka zmusić, żeby tłoczył się codziennie rano w autobusie lub tramwaju; żeby stał w kolejce po bochenek chleba i kawałek kiełbasy, albo szukał po całym mieście butów nr 7 i pół. Ale nie można zmusić go, żeby oglądał coś co sztuką nie jest. Człowiek zje czerstwy chleb, jak nie dostanie świeżego. Będzie nosił buty, których kolor i fason mu nie odpowiada, gdy nie będzie mógł dostać innych, albo będzie chodził boso. Ale nie będzie czytał złej książki, oglądał złego filmu, nie będzie patrzył na obraz, który jest tylko samym płótnem i farbą, albo puszkami od konserw pomalowanymi na czarno. Taki już człowiek jest i dobrze, że jest właśnie taki. Ciało człowiecze zniesie sporo, dusza ludzka jest bardziej wrażliwa. Gdyby było inaczej, artyści byliby niepotrzebni. A potrzebni są. I między innymi dlatego stawia się im tak wysokie wymagania.

Nie wiem, jaka będzie następna wystawa w Salonie Sztuki Współczesnej, ale zbliża się koniec roku i czas składania sobie życzeń. Życzyłbym więc sobie i innym w imieniu własnym i tym, którzy tak tłumnie oglądali (wiem, że po kilka razy) Wystawę Satyry, aby w Salonie były zawsze „komplety": było pełno, gwarno, żywo. W tym Salonie na Piotrkowskiej i we wszystkich innych; i w Muzeum Sztuki i w Ośrodku Propagandy w Parku im. Sienkiewicza. Wszędzie, na każdej wystawie „komplet widzów". To byłoby to! To byłoby osiągnięcie.

Tym, którzy zrozumieli moje powyższe intencje źle, opatrznie, lub nie chcieli ich sedna pojąć należycie, rzeknę, iż żeby zapełnić sale wystawowe, nie trzeba koniecznie wieszać tam popluczyn po Kossaku, kwiatków po Axentowiczu, czy gołych dziw. Wystarczy, że w tych salonach będzie obecna sztuka. Ot, i cały sekret.

A zatem niech hasłem roku 1975 będzie: „Niech żyje sztuka. Precz z pustymi salami wystawowymi".

A. GRUN

P.S.

Jedną z tajemnic powodzenia wystawy satyry jest aktualność tej formy sztuki. Jej organiczny związek z życiem. Jej wrażliwość, „czułość" na to, co dzieje się wokół nas i często w nas samych. To taka sobie uwaga na zakończenie, gdyby ktoś ten drobny fakt przeoczył, lub uważał go za zgoła nieistotny.

A. G.

TELEWIZJA

KULTURALNY HIPOKRYTA

Kiedy cztery lata temu, dokładnie 1 października 1970 r., zainaugurował swoją działalność II program TVP prognozy na temat jego rozwoju i funkcji społecznych cechował ostrożny optymizm. Optymizm ten zdawał się być prosto uzasadniony otwarciem nowej możliwości emisyjnej o celach — jak deklarowano — przede wszystkim oświatowych.

W tym miejscu trzeba zauważyć, że nowy program wcale nie wymagał tak wysokich ambicji. Z powodzeniem mógłby pozostawać na merytorycznym poziomie swojego partnera, być jego sąsiadem przy telewizyjnym straganie, który za tę samą cenę handluje podobnym towarem. Byłoby to wszakże powodzenie buchaltera, któremu wszystko jedno co i jak, byle grało. Oczywiście ten tryb myślenia nie był do przyjęcia, gdyż wyraźnie kłócił się z ideałami socjalistycznej kultury. Jednakże założenia oświatowe II programu groziły pewnym niebezpieczeństwem, które już od początku doskonale przeczuwano. Zasadnicze obawy budził styl edukacji telewizyjnej. Groził on spełnieniem się Owidiuszowej maksymy: **„Video meliora proboque, deteriora sequor"** (Widzę rzeczy lepsze i pochwalam je, idę jednak za gorszymi). Podstawową kwestią była realizacja zasady konkurencji pomiędzy obydwoma dominiami telewizyjnej kultury. To pierwsze liczyło na przyzwyczajenie i dotychczasowy, stosunkowo niski pułap wymagań telewidza — w sumie na jego umysłową gnuśność. To drugie kusiło nowością, stwarzało możliwość wyboru, zapowiadało satysfakcję gustów bardziej wyrafinowanych, ale jednocześnie pamiętajmy — mogło zrażać mentorstwem i nudą, które najczęściej towarzysza edukacyjnym zabiegom. Jak zatem pogodzić w idealnym programie atrakcyjność, ten nieodzowny warunek zainteresowania, z oświecaniem narodu, co począć, aby współczesny homo televisiens miast oglądać rozrywkową rewię z Łodzi pasjonował się dyskusją o teatrze absurdu — oto problem spędzający sen z powiek telewizyjnym redaktorom.

W postulatach i intencjach związanych z II programem można było wyczytać — poprzez oficjalne deklaracje — tęsknotę do kulturowej nobilitacji telewizji, która już wówczas obdarzono pogardliwym mianem „gadającej tapety". Nowy program miał tedy zaproponować nowy język, styl i konwencje przekazu oceniane według intelektualnych i estetycznych kryteriów, stworzonych poza kultura masową. Przy takim pragnieniu założona oświatowość mogła być pretekstem do dyskursywnego wtajemniczenia w skomplikowany labirynt współczesnej kultury i pogłębionej orientacji w tradycji kulturalnej.

Jednocześnie wąski zasięg programu II ograniczony tylko do wielkich centrów urbanizacyjnych o odmiennej pod względem wykształcenia strukturze społecznej sprzyjał tym zamiarom. Nowy program widziany w opozycji do programu dotychczasowego był szansą, której doniosłość trudno przecenić. Stanowił bowiem potencjalnie instrument, który mógł, zważywszy ogromną popularność tv, dokonać kulturalnego awansu na ogromną skalę. Korzystając z bardzo żywotnej siły postępowego snobizmu, mógł rozbudzić aspiracje bardziej aktywnego uczestnictwa w kulturze i tym samym znacznie przyspieszyć rytm przemian społeczno-kulturalnych, które dokonują się w naszym kraju.

Dziś po czterech latach jest oczywiste, że tak zarysowany ideał dosięgnął bruku. II program bynajmniej nie stał się skutecznym konkurentem dla programu I, a nadzieje związane z jego kulturalną misją już dawno spoczywają na cmentarzysku złudzeń. „Dwójka" okazała się rezerwą, zapleczem i śmietnikiem dla nadal „reprezentacyjnej „jedynki", tworem kalekim, pozbawionym aktualnie jakiejkolwiek sensownej koncepcji, terenem podejrzanych manipulacji. Pytanie o przyczynę tej degrengolady jest kłopotliwe, bowiem odsyła do złożonej odpowiedzi.

Trzeba oddzielić przyczyny czysto formalne i techniczne od powodów, które tkwią w pewnych mechanizmach myślowych i w niechęci do przedyskutowania podstawowych założeń naszej kultury. Przyczyną czysto techniczną jest np. krótszy w porównaniu z programem I czas emisji programu II. Przyczyna czysto formalną, choć nie pozbawioną konsekwencji merytorycznych jest brak naczelnej redakcji tego programu i jego oddzielnych zespołów redakcyjnych. Unia personalna obu programów nie sprzyja ich konsekwentnemu zróżnicowaniu. W tej sytuacji trudno mówić o tak potrzebnym duchu konkurencji wśród telewizyjnych twórców, a jego brak sprzyja wyprzedaży na „dwójce" oczywistych niewypałów (najlepiej w czasie „Kobry"), które pójść muszą, gdyż wydano na nie niemałe pieniądze.

Nietrudno zatem zauważyć, że program II właściwie niczym nie różni się od I, oprócz tego, że jest jeszcze gorszy. Pomijając skądinąd cenne i solidnie wykonane zobowiązania (np. lekcje języków obcych) program II jest również „nagazynem informacyjno - kulturalno - naukowo - gospodarczo - rozrywkowym, gdzie obok reportażu z gór Alaski można obejrzeć i wysłuchać koncert fortepianowy C-dur Sergiusza Prokofiewa (kolor), po czym zobaczyć film o torbaczach i łożyskowych, a na dobranoc egzekucję Anny Boleyn w powtarzanym serialu o Henryku VIII.

Chcąc głębiej zastanowić się nad przyczynami dewaluacji tego programu trzeba prześledzić jego koleje, które polegały na stopniowym wypieraniu reperatuaru nader kulturalnego i nobliwego przez bezczelną tandetę. Bo też wizerunek człowieka kulturalnego, który jest w posiadaniu naszych telewizyjnych ekspertów jest uroczo naiwny, schematyczny i zinstytucjonalizowany. O tym, że jest on dość powszechny świadczy ostatnio toczona na łamach „Literatury" kolejna dyskusja inteligentów o inteligentach jako takich. Otóż kulturalny inteligent uczęszcza do filharmonii, bywa na wernisażach i premierach teatralnych, nie gardzi awangardą pod wszystkimi postaciami, dyskutuje o przedostatnim Bergmanie i Borgesie. Ten snobistyczny stereotyp autointelignenckich wyobrażeń przełożony na praktykę telewizyjną musiał zabrzmieć nieautentycznie, komicznie i odpychająco zarazem. Nie tylko dlatego, że nie sposób dokonywać mechanicznych przekładów pomiędzy różnymi typami kultur, ale przede wszystkim dlatego że te wyobrażenia są bardzo powierzchowne, a przez to głęboko fałszywe. Bowiem człowiek przeżywający autentycznie kulturę jest człowiekiem myślącym i zadaje sobie różne fundamentalne pytania. Stąd też odrzuca takie widzenie kultury, które polega jedynie na rejestracji tej zjawisk bez problematyzującego wysiłku. Z drugiej strony siła atrakcji tak pojmowanej kultury szybko się wyczerpuje dla tych, którzy w niej jeszcze nie uczestniczą, bowiem oni rychło dostrzegają miast prawdziwych wartości, sztuczną i jałową celebracje pozorów, rytuał pustych zachowań. Tymczasem szlachetne założenia programu II w praktyce wychodziły naprzeciw tak wyimaginowanym potrzebom kulturalnym. W ten sposób powstawał program, który zadośćuczynił pragnieniu „bywania" (mimo że siedziało się w domu), a nie dostarczał żadnej satysfakcji umysłowej. W ten sposób rodziła się swoista hipokryzja wobec wartości kulturowych, którym się zwyczajowo hołduje, gdyż zajmują odpowiednie miejsce w obowiązującej konwencji społecznej „bycia inteligentem", a jednocześnie stoi się mocno na ziemi z pełną wiarą w realną wyłączność wartości li-tylko materialnych.

Tak wygląda pierwszy powód klęski programu II. W bezpośrednim związku z nim można sformułować powód następny. Konwencjonalna wizja kultury, posługująca się jedynie przedstawieniem bez interpretacji zakładała równie konwencjonalną selekcję tematów. Zjawiska prawdziwie nowatorskie burzące zastany ład intelektualny i zmuszające do samookreśleń nie zawsze znajdowały drogi na ekran programu II. Przykład ostatni: prasa literacka dyskutuje nad książką Kornhausera i Zagajewskiego „Świat nie przedstawiony". Ta książka dla publicystyki telewizyjnej nie istnieje.

Postulat dyskursywności treści kulturalnych emitowanych przez tv jest koniecznym warunkiem jej powodzenia. Doceniając integracyjne funkcje TV, wypada zaznaczyć, że nadmierna stereotypizacja świata, brak jego wieloaspektowych, zderzonych konfliktowo przedstawień budzi nieufność u odbiorcy, którego możliwości intelektualne także często są lekceważone.

Program II stwarzał konkretną szansę manewru rozluźniającego telewizyjny styl perswazji nazbyt rygorystyczny i zeschematyzowany. Być może nadzieje te zrealizują się w projektowanym programie III, który również ma mieć charakter oświatowy...

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

U PRZYJACIÓŁ

Moskiewskie wydawnictwo „Nauka" wraz z Instytutem Literatury Światowej Akademii Nauk ZSRR przystępuje w br. do wielkiego edytorskiego przedsięwzięcia — pełnego wydania dzieł Antoniego Czechowa. 30-tomowa edycja obejmie utwory literackie, korespondencje pisarza, dzienniki i notatki. Rewelacyjnie, jak pisze na łamach „Literaturnej Gaziety" Z. Panierny, zapowiada się tom siedemnasty. Znajdą się w nim nie publikowane dotychczas myśli, uwagi, szkice sytuacyjno-fabularne, relacje ze spotkań z różnymi ludźmi — a więc archiwum i jednocześnie laboratorium twórcze pisarza.

Jednocześnie z tych krótkich notatek jawi nam się Czechow jako pisarz jeszcze w pełni sił duchowych, a już świadomy, że całości swego zamysłu twórczego nie zrealizuje. I niestety, te przeczucia go nie zawiodły. „W głowie mam pełno pomysłów — pisze na rok przed śmiercią — jakże pragnę pisać, ale czuję że czegoś mi brak, czy to odpowiednich warunków, czy zdrowia... W innym zeszycie pisze, że chciałby przedstawić „rozmowę o Ziemi, prowadzoną na innej planecie za lat tysiąc", objawiając się jako autor o marzeniach, które są zaskakujące dla znawców i miłośników jego twórczości. Kto wie czy ten klasyk realizmu, nie zostałby autorem opowieści science-fiction?

* * *

Wśród ludności Węgier niemały odsetek stanowią Cyganie, częściowo zasymilowani i prowadzący osiadły tryb życia. Wiadomo także, że pewne elementy tradycyjnej kultury cygańskiej (muzyka, piosenki) weszły do kultury węgierskiej. Tłumaczy to duże zainteresowanie folklorem i językiem cygańskim, a przede wszystkim dalszym włączeniem Cyganów do wspólnoty społecznej, o czym na łamach tygodnika „Elet es Irodalom" pisze Magda Palko. Autorka przypomina z tej okazji ciekawy film dokumentalny Schiffera i Andora „Co robią cygańskie dzieci?".

* * *

W Domu Pisarza przy ulicy Hercena w Moskwie mieści się również Ludowy Uniwersytet Literatury. O zadaniach tej popularnej wśród moskwian placówki mówi jej kierownik, literaturoznawca prof. Siemion Maszynski:

— Podobnie jak i w innych krajach socjalistycznych, także i w ZSRR działa rozwinięta sieć uniwersytetów ludowych, zajmujących się głównie problemami kultury i sztuki... Nasza placówka służy możliwie najwszechstronniejszemu przybliżaniu bogactwa problemów literatury czytelnikom — jej historii i dnia dzisiejszego... Dążymy do wykształcenia modelu „czynnego czytelnika".

— Większość naszych słuchaczy to nauczyciele, bibliotekarze, pracownicy domów kultury i księgarze, ale także inżynierowie i technicy — w życiu prywatnym zaprzysięgli miłośnicy książek.

— Program zajęć przewidziany jest na dwa lata. Wykłady połączone z dyskusją odbywają się raz w miesiącu. Plan zajęć i tematów opracowuje rada uczelni, w skład której wchodzą przedstawiciele słuchaczy i wykładowcy.

— Co roku odbywają się zajęcia seminaryjne, na których słuchacze powinni wykazać się zdobytą wiedzą, bądź to przez analizę wybranego dzieła literackiego, bądź też omówieniem interesującego ich problemu. Chociaż nie posługujemy się indeksami, frekwencja na wykładach, żywy udział w dyskusjach z pisarzami i krytykami naszych studentów świadczy, że przyjęta przez nasz Ludowy Uniwersytet Literatury forma zbliżenia czytelników do twórców i rozległego obszaru zagadnień literackich sprawdza się w praktyce. To jest najwyższa nagroda dla nas, wykładowców.

* * *

„Z roku na rok wzrasta rola i znaczenie sztuki scenicznej nie tylko w życiu artystycznym, lecz w równej mierze społeczno-politycznym kraju" — pisze na łamach czasopisma „Literaturnaja Rossija" wiceminister kultury RFSRR F. Zajcew. W Federacji Rosyjskiej działa ponad 300 placówek teatralnych. Ich zespolony wysiłek i talenty tworzą ogromne wartości kulturalne, służą sprawie ideowo-estetycznego wychowania najszerszych mas pracujących. Ubiegły sezon potwierdził, że teatry Rosyjskiej Federacji wyczulone są na najistotniejsze sprawy współczesności. Sezon ten zapoczątkował niezwykle interesujący nurt dramaturgii publicystyczno-faktograficzny. Dotyczy on zarówno złożonych i ważkich spraw dnia codziennego w kraju, jak i różnorodnych wydarzeń na arenie międzynarodowej. Wypadki w Chile, skomplikowane stosunki międzynarodowe, walka pracy i kapitału, reakcyjna istota imperializmu — wszystko to jest przedmiotem wnikliwej analizy licznych dramaturgów i z kolei znajduje swe odbicie na scenie.

HISZPANIA

WIATR PRZEMIAN BRZEMIENNY W NADZIEJĘ

W lipcu br., kiedy w stanie zdrowia dyktatora Hiszpanii, gen. Franco, nastąpiło pogorszenie, w Madrycie opublikowano oficjalne oświadczenie, iż caudillo postanowił czasowo powierzyć wykonywanie obowiązków głowy państwa swojemu następcy — księciu don Juanowi Carlosowi Bourbonowi. Choroba gen. Franco wywołała zakłopotanie w kołach rządzących, które zagubiły się w sprzecznych pogłoskach, kłótniach i intrygach.

Warto przypomnieć, iż dwa wydarzenia w 1974 roku wywołały największy wstrząs w społeczeństwie i w sferach rządzących Hiszpanii. Pierwsze — to zabójstwo premiera adm. Carrero Blanco. Śmierć człowieka, który w zamysłach Franco miał zapewnić łagodne przejście do okresu pofrankistowskiego, pomieszała szyki. Wprawdzie nowy premier, Arias Navarro, próbował publicznie podjąć kwestię „społeczeństwa otwartego", co wzbudziło pewne nadzieje wśród liberałów, ale szybko je pogrzebał oświadczając z kolei, iż idea „partycypacji politycznej", powinna się urzeczywistniać w ramach ruchu falangistowskiego (czyli faszystowskiego — red.). A ponadto, że sam termin „społeczeństwa otwartego" jest niepodzielnie związany z podstawowymi prycypiami frankizmu.

Drugi szok wywołała w Hiszpanii rewolucja portugalska z 25 kwietnia i jej reperkusje, o czym już kilkakrotnie pisaliśmy na łamach naszego pisma.

Dziś reżim frankistowski przeżywa okres zaostrzających się sprzeczności. Panuje atmosfera niepewności i wyczekiwania na zmiany. Nawet reklama turystycznych walorów Hiszpanii używa wielomówiących haseł: „Nie żałujcie pieniędzy na Hiszpanię, może się zmienić sytuacja polityczna, ale słońce, słońce jest tutaj zawsze!" ... I rzeczywiście, jak donosi brukselski tygodnik polityczny „Pourquoi Pas?", na całym Półwyspie Iberyjskim, od Madrytu po Barcelonę i od Sewilli po Saragossę wieje wiatr przemian, brzemienny w nadzieję.

Rosnąca aktywność społeczna, przegrupowanie sił politycznych, dworskie intrygi, pozorna liberalizacja w ślad za którą, niby spazmatyczne drgawki, następują represje, wszystko to świadczy o zbliżaniu się „ery pofrankistowskiej". Zmurszałe struktury reżimu trzeszczą i puszczają we wszystkich szwach. Nawet podjęta ostatnio kontrofensywa ultrasów nie jest w stanie przeszkodzić rosnącemu dążeniu większości Hiszpanów do przyśpieszenia procesu demokratyzacji kraju.

Od śmierci Carrero Blanco w grudniu ub. roku, zaszły w Hiszpanii widoczne zmiany. Zabrakło „żelaznego kanclerza", który by kierował pierwszymi krokami Juana Carlosa i którego wprowadzenie na tron w obecnej sytuacji byłoby, ostrożnie mówiąc, sprawą nadzwyczajnie delikatną. Nowy premier, Navarro, jedną ręką głaszcze — drugą bije, żeby tylko utrzymać równowagę na linie. Tymczasem wybuchła wiosna w Lizbonie. Upadek reżimu Caetano podziałał na frankizm jak elekrowstrząs. I podczas gdy gazety, wykorzystując osłabienie cenzury, zaczęły pozwalać sobie na przeprowadzanie przejrzystych porównań i podobieństw, publikując entuzjastyczne reportaże z Lizbony o portugalskiej rewolucji, skrajnie prawicowe koła Falangi obleciał strach.

Choroba Franco i jego dłuższa hospitalizacja w lipcu 1974 roku wywołały istny popłoch w kołach rządzących i uaktywniły nie przebierające w środkach zabiegi o zdobycie władzy, kiedy się wydawało, że jest ona już w zasięgu ręki. A ostrożne desygnowanie księcia Carlosa na tymczasowego zastępcę generalissimusa dolało oliwy do ognia. W Madrycie zawrzało, atmosfera końca reżimu ogarnęła kraj. Zarówno ultrasi z Falangi, jak i dworska kamaryla żwawo podjęli zabiegi o dziedzictwo po sędziwym dyktatorze. Opozycja ze swojej strony utworzyła w Paryżu Radę Demokratyczną, w skład której, obok innych partii demokratycznych, wchodzą także komuniści.

Wewnątrz kraju ujawniły się liczne, na poły podziemne, ugrupowania polityczne. W prasie zaczęły się ukazywać publikacje z wyraźnymi aluzjami do kłopotów zgrzybiałego cesarza Hajle Sellasje, który wespół z rodzinką zrujnował Etiopię i został wreszcie zrzucony z tronu. Krótko mówiąc, po raz pierwszy od 38 lat Hiszpanie bezpośrednio zetknęli się z problemem zmiany władzy. Kończy się era zwycięskiego frankizmu — nadszedł czas porachunków między następcami. Aż tu nagle, w tej niepewnej i zatrważającej sytuacji, caudillo, zebrawszy siły, znów ujął wodze, które na moment wypuścił z rąk. Na palcach można policzyć ludzi, którzy brali pod uwagę taką ewentualność! Koła przemysłowe przyjęły ten zaskakujący obrót sprawy z nieukrywanym niezadowoleniem, ponieważ na rynku zanotowano w tym czasie katastrofalny wprost spadek kursów.

Nieoczekiwany powrót dyktatora nie wpłynął jednak na polityczne przegrupowania sił, zapoczątkowane w okresie jego choroby, bowiem, mimo usilnych zabiegów prawicy o zachowanie starego porządku rzeczy, proces polaryzacji politycznej jest nieodwracalny. W biurku premiera Ariasa Navarry spoczywają trzy tomy wyników badań przeprowadzonych przez pewną amerykańską agencję. Są trzymane w głębokiej tajemnicy, ale wiadomo, że wyszczególniają one i tylko uściślają znane wnioski hiszpańskiej agencji „Consulta": 59 proc. Hiszpanów żąda szerokiego udziału w życiu politycznym.

Uwzględniając tę okoliczność, jak również ewentualność rychłej śmierci generalissimusa, różni ludzie i w różny sposób dążą do „zapewnienia sobie przyszłości". Powstał na przykład „Hiszpański Związek Socjaldemokratyczny", coś pośredniego między demokracją chrześcijańską, a Hiszpańską Socjalistyczną Partią Robotniczą. W gronie przywódców owego „Związku" kręci się falangista, poeta Manuel Diez-Alegria, syn usuniętego ze stanowiska w czerwcu br. szefa sztabu generalnego. Warto przy tej okazji wspomnieć, że armia też jest „zarażona" duchem liberalizacji. W październiku br. minister armii lądowej, gen. Francisco Coloma, wygłosił w Saragossie przemówienie, w którym niedwuznacznie dał do zrozumienia, że wojsko popiera politykę „społeczeństwa otwartego".

Masy pracujące Hiszpanii nie siedzą z założonymi rękami. Jest poruszony cały kraj. Konflikty socjalne, które nabrały nie spotykanej dotąd ostrości, przerosły w prawdziwe walki klasowe. Strajki w licznych fabrykach, jak np. w Valladolid, Sewilli, Barcelonie, w Kraju Basków i gdzie indziej, spowodowały sankcje, które dotknęły kilka tysięcy robotników w zakładach „Standard Electric" w Bilbao. Lato tego roku było w Hiszpanii wyjątkowo „gorące". Nawet w hiszpańskich więzieniach na znak protestu przeciwko polityce rządu, mnożą się głodówki. Częstokroć rząd nie wie co robić. Ucieka się do represji i gróźb. Niedawno policja wdarła się do jednego z madryckich kościołów, żeby aresztować księży i robotników uczestniczących w zwykłym, parafialnym zebraniu.

Stojąc w obliczu konfliktów socjalnych i rosnącej aktywności politycznej mas pracujących, skrajnie prawicowi falangiści chcieliby ekshumować stare metody początków frankizmu: bezwzględną politykę represji. „Obronimy ustrojowe (frankistowskie oczywiście — red.) zdobycze za wszelką cenę!" — oświadczył rzecznik rządzącej faszystowskiej partii Ruchu Narodowego. Poseł Blaz Piniar, jeden z najbardziej fanatycznych ultrasów, w artykule zamieszczonym w falangistowskim dzienniku „Fuersa Nueva" idzie jeszcze dalej: „Nie skarżcie się, jeśli wasza demokratyzacja rozpocznie się na stosie trupów"...

Falangiści, tęskniący do faszyzmu w jego czystej formie, weterani wojny domowej i „błękitnej dywizji", która dostała przesławne lanie na froncie radzieckim, walcząc u boku wojsk hitlerowskich, przywódcy Falangi niezdolni do zrozumienia głębokich przemian zachodzących w społeczeństwie hiszpańskim — wszyscy oni byli głęboko zaniepokojeni „liberalnymi" tendencjami rządu Ariasa Navarro. Przy poparciu caudilla, a głównie działając za pośrednictwem jego zięcia markiza Villaverde, strasząc społeczeństwo oznakami anarchii, udało się im usunąć w czerwcu br. zbyt liberalnego, ich zdaniem, szefa sztabu generalnego, gen. Diez-Alegrię. Nieco później, udało im się również usunąć ze składu rządu — siejącego postrach wśród ultrasów — min. informacji Pio Cabanillasa, który w mniemaniu skrajnej prawicy był zbyt uległy wobec prasy.

Czy falangiści odniosą zwycięstwo? Do tego daleko. Oczywiście polityka „otwartego społeczeństwa" prowadzona przez rząd Ariasa Navarro zostanie ograniczona, a zamysł ukształtowania „partycypacji politycznej" zostanie odłożony ad Kalendas graecas. Nie ulega jednak wątpliwości, iż zapoczątkowana walka między „liberałami", a ultrasami będzie się toczyć nadal.

Tymczasem wydarzyło się coś bez precedensu w historii frankizmu: wkrótce po odejściu Pio Cabanillasa nastąpiło — wywołując wiele szumu — zwolnienie ze stanowiska ministra finansów Antonia Barrera de Irimo, który odmówił odwołania pewnej swojej decyzji, mimo nacisku ze strony otoczenia gen. Franco. Jak gdyby na umówiony sygnał nastąpiły dalsze dymisje: prezydenta Narodowego Instytutu Przemysłu, generalnego sekretarza Narodowej Kompanii Naftowej, kilku sekretarzy stanu i wyższych urzędników Ministerstwa Informacji i Turystyki. Oszołomiona prasa nie wie, jak reagować na takie wydarzenia. Opuszczają frankistowski okręt zarówno centryści, jak i prawicowcy o życzliwym stosunku do „społeczeństwa otwartego" i ewolucji reżimu. Charakterystyczny przykład: grupa chrześcijańskich demokratów „Tasito" zabroniła swoim członkom współpracy z władzami, zachęcając jednocześnie urzędników państwowych do ustępowania ze stanowisk. Wielu spośród nich posłuchało tej rady...

Z doniesień prasy światowej różnej orientacji wynika jasno, iż rządzące koła frankistowskie są coraz bardziej izolowane, a upadek faszyzmu w Portugalii, krach wojskowej dyktatury w Grecji tę izolację pogłębiają. Nabiera tempa proces rozwoju nowych stosunków i układów między siłami politycznymi. Ultrasi liczą i wciąż od nowa przeliczają swoje szeregi. Ale kiedy caudillo zejdzie ze sceny i zastąpi go książe Juan Carlos, to niezależnie od tego czy utrzyma się on na tronie, czy też nie, karta zostanie odwrócona ostatecznie i nieodwracalnie. Najstarsza dyktatura w Zachodniej Europie zniknie na zawsze.

JERZY CZECH

GORĄCE DNI PARYŻA
TRUDNOŚCI JAPONII

Nie ma dnia, aby w prasie światowej nie powracano do władywostockiego spotkania L. Breżniewa i G. Forda. Nowe impulsy po temu dały w kolejności: **konferencja prasowa prezydenta USA** oraz **wizyta sekretarza generalnego KC KPZR w Paryżu.** Ta ostatnia zapoczątkowała zresztą gorące dni Francji, poprzedziła szczyt zachodnioeuropejskiej „dziewiątki" oraz spotkanie Giscard d'Estainga z Fordem na Martynice.

Nazwa radzieckiego portu powtarza się i powtarzać się będzie w wielu rozmowach politycznych. Bo też znaczenie decyzji władywostockiego spotkania ma zasięg dalekosiężny. Oto, co na temat tego dialogu powiedział **na konferencji prasowej G. Ford:**

„To, czego dokonaliśmy jest ustanowieniem trwałych i równych limitów sił strategicznych po każdej stronie, co tym samym zapobiega wyścigowi zbrojeń ze wszystkimi jego konsekwencjami — takimi, jak: terror, brak stabilizacji, napięcia niosące w zarodku wojnę, marnotrawstwo ekonomiczne. Ponadto stworzyliśmy podstawy, które pozwalają prowadzić rokowania w sprawie redukcji przyszłych zbrojeń.... Dokonaliśmy wielkiego kroku w kierunku pokoju, w oparciu o równość, która jest jedyną podstawą, umożliwiającą porozumienie".

G. Ford w tym wypadku nie myli się. I wtedy, kiedy te wspólne postanowienia określa jako „wielki krok", i wtedy, kiedy stwierdza, że było to możliwe jedynie „w oparciu o równość". Tak zresztą ocenia rozmowy prasa światowa. Komentator AFP np. stwierdza, że „odblokowano obecnie kluczowy element w budowie współpracy między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim".

Termin oddania komentarza do druku znów wyprzedza opublikowanie komunikatu **o wizycie L. Breżniewa we Francji.** Stąd nie możemy skomentować jej wyników. Jednakże za pewnik można uznać, że sekretarz generalny KC KPZR poinformował prezydenta Francji o przebiegu rozmów we Władywostoku, a że uczynił to przed Fordem, świadczy o bliskich więzach, łączących Moskwę z Paryżem. W tym miejscu przypomnijmy, że jest to trzecia wizyta sekretarza generalnego KC KPZR w Paryżu i że jedna z nich miała już charakter informacyjny — w ub. roku, kiedy to L. Breżniew powracał z rozmów w USA. Również trzykrotnie, nieżyjący prezydent Francji — G. Pompidou odwiedził ZSRR, ostatni raz tuż przed śmiercią, gdy dialog toczył się nad Morzem Czarnym.

Oczywiście, sens paryskiego spotkania sprzed kilku dni był znacznie pełniejszy. Wypełniły je w znacznej mierze **stosunki dwustronne na płaszczyźnie gospodarczej.** Ta sfera współpracy jest szczególnie bliska Giscard d'Estaing, gdyż jako minister gospodarki i finansów podpisał przed dwoma laty porozumienie 10-letnie między Francją a ZSRR.

Jak już powiedzieliśmy powyżej, **Francja** przez dwa dni była **gospodarzem „szczytu" EWG.** Z uporem — wbrew przeciwnościom — zabiegała ona o to spotkanie, licząc, że nada ono nowy impet wolnorynkowym sprzymierzeńcom. Sytuacja w EWG jest bowiem bardziej złożona niż kiedykolwiek. Z licznych powodów tego stanu wymieńmy przede wszystkim konkurencyjność różnych grup kapitału, która wzmogła się wobec gospodarczych i walutowych wstrząsów na Zachodzie. Pisaliśmy już niejednokrotnie o inflacji, jako głównej plądze. Towarzyszy jej wzrost bezrobocia — w RFN sięga ono miliona osób, w Anglii — podobnie. Niewiele mniejsze rozmiary rejestrują: Francja i Włochy. Wszystko to nie napawa optymizmem. Konfrontacja dnia dzisiejszego z euforią, jaka była u narodzin EWG (stały wzrost ekonomiki, umocnienie stabilności, przyśpieszony wzrost stopy życiowej, harmonijny rozwój stosunków między członkami wspólnoty) musi skłaniać do głębokiej refleksji. Czy zdobyli się na nią szefowie członkowskich państw — jeszcze nie wiemy. Prorokowano jednak paryskim obradom wiele stopni trudności. Mimo wcześniejszych i podobno pomyślnych rozmów **na linii Paryż — Londyn,** które część kłopotów miały zdjąć z głów dziewiątki.

W bogatym w wydarzenia tygodniu zwróćmy jeszcze uwagę na: **wizytę premiera P. Jaroszewicza w Bułgarii, powrót arcybiskupa Makariosa na Cypr oraz rezygnację premiera Tanaki.**

Japonii rzadko poświęcamy miejsce w naszych komentarzach. Dlatego chyba warto wyjaśnić, co było powodem, że „skomputeryzowany buldożer" — jak nazywano dynamicznego i pracowitego premiera Tanakę — dość niespodziewanie ustąpił. Piszemy: dość niespodziewanie, ponieważ mimo lipcowych niepowodzeń jego partii w wyborach, wówczas nic nie zapowiadało takiego finału. Dlaczego więc nastąpił on teraz? Podstawową przyczyną jest nie najlepsza sytuacja gospodarcza Japonii. Inflacja (26 proc.), bezrobocie i niższy niż w ciągu 20 ostatnich lat wzrost dochodu narodowego nasiliły krytykę wobec jego osoby. W trudnej sytuacji znalazła się Partia Liberalno-Demokratyczna. Rozgorzały w niej walki frakcyjne, gdyż kandydatów na miejsce po Tanace nie brakowało. Wszystko to razem wywołało kryzys, który w życiu politycznym Japonii może być momentem zwrotnym. Piszemy więc o tej dymisji jako — być może — o początku jeszcze większych kłopotów Japonii.

W. SŁAWSKI

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

ŁÓDZKA BIBLIOGRAFIA

Od czasu do czasu ktoś nie zorientowany, a mający ambicje wypowiadać się na wszystkie tematy, ględzi, że brak książek o Łodzi. Oczywiście, że brak tak obfitych serii wydawniczych o tematyce łódzkiej, jakie ma na przykład Warszawa. Jest to zresztą normalne, bo przecież Warszawa z racji i pozycji, i tradycji zasługuje na zupełnie wyjątkowe miejsce w Polsce.

Ale i z Łodzią nie jest tak najgorzej w dziedzinie publikacji książkowych. Udowodniła to właśnie ostatnio Miejska Biblioteka im. Ludwika Waryńskiego, wydając bardzo cenny i na pewno bardzo potrzebny druk pt. „Książki o Łodzi dla wszystkich". Ta blisko stustronicowa książka nie zawiera, rzecz prosta, pełnej bibliografii łódzkich druków, jest to bowiem wybór, ale na tyle znamienny i obfity, że rola tej skromnej publikacji jest ogromna.

Dość powiedzieć, że Łódź należy do nielicznych miast w Polsce, które nie posiadają bieżącej bibliografii regionalnej. Nie trzeba nikogo przekonywać, jakie trudności napotykają badacze, pragnący zebrać materiały do jakichkolwiek opracowań historycznych czy studiów problemowych. Po prostu brak podstawowych źródeł.

Dlatego też wydawnictwo Biblioteki im. Waryńskiego jest pozycją niezwykle cenną. Autorami pracy są: Cecylia Duninowa, Roman Kaczmarek i Krystyna Mierzwianka. Piszą oni we wstępie: „Głównym celem naszej bibliografii jest przede wszystkim próba dokumentacji dorobku łódzkiej książki. Zadaniem jej będzie ułatwienie zainteresowanym poznania dziejów miasta, zapewniające użytkownikom ogólną orientację w podstawowych źródłach. Adresatami bibliografii w intencjach autorów są najszersze kręgi czytelników. Jest ona przeznaczona dla uczących się i studiujących, pracowników oświaty, działaczy kultury, a zwłaszcza dedykujemy ją bibliotekarzom, pracownikom służby informacyjnej naszego miasta".

Tak jest — to wszystko prawda, takie cele przyświecały autorom — i, jak sądzę — zostały one zrealizowane w tej książce. Ale jest jeszcze inna sprawa.

Otóż ta niewielka książka ma swoje niemałe znaczenie psychologiczne. Udowadnia mianowicie czarno na białym, że miasto, które tylekroć obwoływano pustynią kulturalną, ma w swoim historycznym dorobku setki książek, nieraz bardzo cennych, nieraz bardzo głośnych. Ta książka sprawia, że możemy się czuć bogatsi duchowo, że nie jesteśmy ubogim krewnym wśród miast owianych chwałą Historii. Z tej książki wyłania się miasto z zapleczem tradycji, z piśmiennictwem własnym, literaturą, kulturą...

I to jest ogromna rola tej bibliografii łódzkich druków, niestety rola do końca nie spełniona, bowiem przeszkadza w jej realizacji bibliofilski nakład... tysiąca egzemplarzy. Wiadomo, że Biblioteka im. Waryńskiego nie była w stanie wydać więcej, ale szkoda tej szperackiej pracy na tak mikroskopijny nakład. Niestety, nie znalazłem w publikacji „Książki o Łodzi dla wszystkich" adnotacji, że partycypował w przedsięwzięciu Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta. A przecież kiedyś tak było i myślę, że wspólnymi siłami można było sprawić, że książka ta znalazłaby się w kioskach „Ruchu" i na ladach łódzkich księgarni, że po prostu „Książka o Łodzi dla wszystkich" trafiłaby do wszystkich.

A naprawdę warto. Nie tylko dla informacji, ale i dla higieny psychologicznej mieszkańców miasta, którzy nieraz zaczynają już wierzyć w powtarzaną często bzdurę o nikłości kulturalnej tradycji Łodzi.

Trochę się wie o latach międzywojennych, tak jak gdyby pisana historia miasta zaczęła się w międzywojniu. Ale wystarczy spojrzeć w bibliografię. Już w roku 1896 pierwszy spis bibliograficzny Maksymiliana Barucha podaje blisko 400 pozycji druków łódzkich i Łodzi dotyczących lat... 1846—1895.

Pierwszy opis miasta Oskara Flatta pochodzi z roku 1853. Pierwsze gawędy Wiktora Dłużniewskiego pochodzą z roku 1857, pierwsza powieść Wincentego Kosiakiewicza „Bawełna" z roku 1895... Po niej dopiero powstała Reymontowska „Ziemia obiecana", w której zresztą znaleźć można wątki chyba zapożyczone od Kosiakiewicza.

Pierwsze wiersze o Łodzi Artura Gliszczyńskiego wydano w roku 1901. A potem wśród autorów piszących o Łodzi znajdujemy Boguszewską, Zawieyskiego, Brandysa, obu Rudnickich (Lucjana i Adolfa), Tuwima, Piechala...

Słowem — stoi za nami bogata tradycja tak pięknie i przekonywająco udokumentowana w poradniku bibliograficznym Biblioteki im. Waryńskiego. Dzięki autorom i placówce za ten cenny druk.

WIDOK

LEWYM OKIEM

WAHADŁO PÓŁNOC — POŁUDNIE

Pani Bogda Madej zajęła się niedawno na naszych łamach przepisami, regulującymi ruch na łódzkich ulicach. Chodzi mianowicie o ruch samochodowy. Moi służbowi partnerzy z NRD, przyjeżdżający do Łodzi wiele razy na rok od kilku lat, twierdzą to samo, co pani Madej: jazda po naszych ulicach to jest łamigłówka nie do rozwiązania, nie do zapamiętania. Przed mandatami broni moich rozmówców tylko nieznajomość polskiego języka.

Na szczęście nie mam samochodu, a kiedy jadę taksówką — martwi się za mnie i klnie — kierowca. Ale kto ma kląć za mnie, gdy jadę albo tylko chcę jechać jednym ze środków komunikacji publicznej?

Między godziną ósmą a dziewiątą rano prawie wszystkie tramwaje, jadące ulicą Narutowicza w stronę Radiostacji mają na nosie czerwoną tablicę: do zajezdni. Dojazd ze śródmieścia na przykład na Stoki staje się po ósmej niewiele szybszy (jeśli wkalkulować w czas dojazdu także częstotliwość połączeń) niż dojazd do Koluszek.

Autobusy jadące ulicą Piotrkowską w stronę placu Wolności nie zatrzymują się przy ulicy Rewolucji 1905 r., tylko dopiero na placu. Ktoś, kto chce z kierunku południe-północ zwekslować na kierunek zachód-wschód, czyli przesiąść się na J, H, D itd. — musi przelecieć paręset metrów do przodu lub do tyłu piechotą. Tych paręset metrów w warunkach miejskich, przy miejskim tempie życia, to bardzo dużo, zwłaszcza gdy ktoś nie ma dwudziestu lat, albo niesie coś ciężkiego, albo goni z jednego półetatu na drugi.

Nie ma już ani jednej linii — czy to autobusowej czy tramwajowej, która jakoś łączyłaby dzielnice Łodzi „po przekątnej", „na ukos". Dwójką jechało się spod Radiostacji na plac Niepodległości, siódemką — z placu Niepodległości na Zdrowie. Teraz większość dojazdów wymaga przesiadek, boć przecież mało jest łodzian urządzonych właśnie tak, że wystarczy im się poruszać, jak wahadełko: albo nord-sud, albo ost-west. Dojazd z przesiadką — to dojazd dwukrotnie droższy.

Autobus pośpieszny D — jak ruszy z przystanku na placu Barlickiego, jak się nie rozpędzi na Żeromskiego, jedzie, jedzie, skręca w Próchnika, jedzie, jedzie, mija Gdańską, Wólczańską, Zachodnią, Piotrkowską — aż wreszcie zatrzymuje się na Rewolucji prawie przy Wschodniej. Plan miasta Łodzi wydano dowcipnie bez podania skali (Państwowe P-stwo Wydawnictw Kartograficznych), więc nie mogę sprawdzić, ale wydaje mi się, że ten międzyprzystankowy przebieg wynosi chyba około dwóch kilometrów. Ktoś, komu pasuje linia, a znajdzie się pechowo gdzieś pośrodku między placem Barlickiego a rogiem Rewolucji i Wschodniej, musi drałować kilometr do najbliższego przystanku. Zupełnie, jak na dalekiej wsi w Lubelskiem. Za to później ten sam autobus D, ledwie ruszy przy Wschodniej, zatrzyma się przy Kilińskiego, a potem zaraz przy Sterlinga. Te dwa odcinki razem są o wiele krótsze od tamtego jednego.

Kiedyś obowiązywała zasada, że przystanek znajdował się zawsze przed przecznicą. Teraz jest przeróżnie, a dlaczego — my laicy nie wiemy. Wiemy tylko, że na przystanku przed przecznicą autobus zatrzymywał się raz, czekał na zielone światło, a gdy błysnęło — jechał swobodnie dalej.

Teraz zatrzymuje się przed przecznicą, czeka na zielone światło, potem jedzie dwadzieścia metrów i zatrzymuje się drugi raz, bo przystanek. Traci się minuty, traci się paliwo, a pasażerów rzuca w środku bez przerwy to w przód, to w tył. Ale jakieś racje musiały tu istnieć, chcielibyśmy tylko wiedzieć, jakie.

Raz na rok „Przekrój" analizuje rozkłady kolejowe. Prasa łódzka nieraz zwraca uwagę na niedogodności i niedopracowania połączeń kolejowych Łodzi z resztą kraju. Ale tramwajami i autobusami jeździmy częściej niż pociągiem. Nawet małe niedogodności sumują się od razu w duże utrapienia, a po co nam to? Może dałoby się ich uniknąć?

ĆWIEK.

PROPOZYCJE

CZŁOWIEK I GRY

Bez gry, bez bodźca, trudno byłoby liczyć na konkurencję w każdej dziedzinie, obojętne jaki wyznaczono by rodzaj nagrody czy wysokość stawki, o którą gra się toczy. Wytworzono więc pojęcie szlachetnego współzawodnictwa, jest ono podstawą postępu, a jednocześnie ułatwia kierowanie grupami ludzkimi.

Od najłagodniejszej gry w zielone, zapamiętanej jeszcze z dzieciństwa, wszystkie pośrednie prowadzą nieuchronnie do tej najgroźniejszej i najbardziej nieludzkiej: gry w wojnę i zabijanie.

Rozumiem, że każdy z nas ma odrębny punkt widzenia, nie wszyscy więc zechcą się ze mną zgodzić, a być może nawet zarzucą mi zbędne wyolbrzymianie problemu, lub straszenie złymi wizjami. Niech mi przeto wolno będzie na obronę mego sposobu myślenia i pojmowania świata przytoczyć fragment wiersza André Mage de Fiefmelin, barokowego poety, odkrytego ostatnio po czterech wiekach zapomnienia, który mówi tak:

„Świat ten, jak powiadają,
na szaleńców klatką,
Wojna tutaj i pokój, miłość
i nienawiść,
Cierpienie, rozkosz, nuda,
przyjemność i zawiść
Na przemian tylko z człekiem grają w ślepą babkę"...

(tłum. Jerzy Lisowski)

Właśnie myślę o tych grach młodości, które swe odpowiedniki mają potem w życiu i poważnym działaniu. Sądzę, że większość tych gier znana jest nie tylko w Polsce, więc spróbuję przeprowadzić tę ryzykowną analogię. Najpierw, powiedzmy, „ciuciubabka", skoro o tym akurat wspomniano w wierszu i nieco zbliżona do niej gra w kotka i myszkę. Przecież to nic innego, jak późniejsze „manewrowanie", stosowanie uników, cwaniactwo, umiejętność wyjścia obronną ręką z różnych sytuacji w szerokim zrozumieniu, nie zawsze najprostszą drogą.

A gra w „komórki do wynajęcia"? No, właśnie, jak ulał pasuje ona do późniejszego wypierania innych z miejsc, na które sami mamy ochotę. W tej grze też szybszy i zręczniejszy wygrywa, a nad tym biednym, zdezorientowanym, co najwyżej pokiwamy głowami z udanym współczuciem.

Gra w chowanego mówi sama za siebie: znamy przecież i tych, którzy umieją się w razie potrzeby dobrze schować, a potem „zaklepać", gdy nadejdzie właściwy moment. Lubimy ich? No, powiedzmy, nie bardzo, o ile to nie my sami jesteśmy tymi „zaklepującymi".

A kto nie bawił się w „głuchy telefon", polegający na tym, że przekazywane szeptem słowo, nim doszło do ostatniego w rzędzie, było już tak zniekształcone, jak później, w życiu potrafi być zniekształcone i przeinaczane to, co w najlepszej wierze komuś powiemy. Wraca do nas potem niby bumerang, raniąc boleśnie i ucząc rozumu, choć po czasie.

Z gęstwiny różnych, znanych gier trudno wybrać, ale chciałabym jeszcze wspomnieć o grach hazardowych i różnego rodzaju loteriach. Hazard, jak to hazard — wszyscy wiemy, że wciąga, że jest zgubny, a mimo to nieraz lubimy ten dreszczyk emocji, który towarzyszy nam zawsze, gdy ryzykujemy. „Audaces fortuna iuvat" — mawiali starożytni, ale przecież to nie reguła i jakże często ci zuchwali i odważni właśnie odchodzą pognębieni.

No i jeszcze zostały loterie oraz rozmaite gry liczbowe, niejednokrotnie popierane przez całe społeczeństwa i państwa. Obywatele, wykupujący losy loterii państwowej czy wypełniający kupony różnych TOTOLOTKÓW mają złudzenie uczestniczenia w jakimś zbiorowym misterium.

Usłyszałam kiedyś zdanie, że wzrost zainteresowania grami liczbowymi oraz większa zapadalność na choroby weneryczne i alkoholizm są wykładnikiem zubożenia społeczeństwa. Nie wiem co na ten temat sądzą statystycy, ale twierdzenie to wydaje się logicznie uzasadnione: grą i zabawą, choćby prymitywną, złą, bezmyślną, ludzie chcą odgrodzić się od trosk i kłopotów codziennych, także finansowych. Fakt, że w ten sposób powstaje błędne koło, nie stanowi aktualnie hamulca, bowiem człowiek silnie zaangażowany w grę, traci wyobraźnię i poczucie dystansu do tej gry. Któż z nas nie widział choć raz zagorzałych kibiców sportowych, rękoczynem próbujących bronić opinii swych pupilów. Oni przecież także zatracili dystans i obiektywizm, stając się brutalami bez potrzeby i celu.

Z całego tego mojego wywodu wynika, że jestem zdeklarowaną przeciwniczką gier w ogóle; bez względu na ich rodzaj i perspektywy rozwoju w roznych warunkach społecznych, widzę wyłącznie te złe strony i już na zapas boję się ich następstw. Czy tak jest naprawdę, czy aby nie zakłamuję się, aby bronić jakichś urojonych, wyższych wartości, których zasadniczo wcale nie ma? No cóż... każdy ma prawo do jakiejś swojej, prywatnej wizji świata, a że świat taki nigdy nie zaistnieje i marzyciel zostanie nadal tylko marzycielem, to trudno.

Powiecie, że mój świat byłby bardzo nudny, gdyby istotnie pozbawić go uroków, jakie niesie z sobą ciągła niepewność wygranej czy przegranej. Może. Mnie wystarczyłaby jednak, powodując stałą emocję, niepewność eksperymentu naukowego czy zawodowego, niepewność efektu wychowawczego naszych dzieci, niepewność, czy uda się trafić w życiu na tę jedyną, najprawdziwszą i niepowtarzalną miłość ludzką, o której obecnie już prawie się nie marzy lub do tego głośno nie przyznaje, a szkoda.

BARBARA SZEFFER

Dr Barbara Szeffer jest członkiem Unii Pisarzy-Medyków. Powyższa wypowiedź była przygotowana na Światowy Kongres Unii Pisarzy-Medyków w Regensburgu (RFN).

Ex LIBRIS ODGŁOSÓW

„PICASSO"

Tak się złożyło, że słynny esej Gertrudy Stein, którego edycja francuska miała miejsce w roku 1938, angielska zaś w roku 1939, pojawił się w języku polskim dopiero teraz w ponad rok po śmierci Pablo Picassa. W ten sposób bohater pięknej opowieści biograficznej przeżył jej autorkę o 27 lat (Gertruda Stein zmarła w 1946 roku). My zaś obecnie możemy i musimy patrzeć na życie i twórczość dwojga przyjaciół — amerykańskiej pisarki i hiszpańskiego malarza — z perspektywy historycznej. Wyostrza ona niekiedy — pisze we wstępie do tej książki Juliusz Starzyński — niekiedy zaś zaciera kontury niezwykłego dokumentu pisarskiego, jakim jest „Picasso" Gertrudy Stein.

W istocie jest to dokument historyczny, zrodzony z fascynacji sztuką malarza. Ale jednocześnie jest to dowód przenikliwości, wrażliwości i krytycznego spojrzenia pisarki, która umiała w początkach XX wieku dostrzec doniosłość wizji malarskich Picassa, Braque'a czy Grisa. Sądy Gertrudy Stein o nowym malarstwie rodzącym się w szkole paryskiej na początku XX wieku — w owej epoce heroicznej, której była świadkiem i uczestnikiem — należą do najcenniejszych kart nowoczesnego piśmiennictwa o sztuce.

Gertruda Stein „Picasso". Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena 20 zł.

HEARST

To nazwisko jest hasłem, symbolem wszystkich najgorszych cech amerykańskiej prasy. William Randolph Hearst — założyciel imperium prasowego i dziedzic milionowej fortuny Hearst, którego gangsterskie praktyki wyrosły z brutalnej anarchii i kapitalistycznego bandytyzmu, jakie panoszyły się w San Francisco końca XIX wieku.

Tytuły rozdziałów tej książki brzmią jak nagłówki w sensacyjnych magazynach — „Wojna gangsterów w San Francisco" — „Kradzież listów „Standard Oil" — „Tajemnica dokumentów Avili" — „Sen o Hollywood" — „Agent cesarza i Hitlera"...

Książka jest w istocie pasjonująca. Przedstawia dzieje właściciela kopalń i majątków ziemskich, gracza giełdowego, a przede wszystkim króla i twórcę prasy masowej, manipulującej opinią publiczną na Zachodzie. Zabójstwa, fałszerstwa, szantaż, prowokacja, kampanie oszczerstw — oto metody, jakimi posługiwał się Hearst w swojej karierze. Określenie „gangsterskie praktyki" nie jest tu wcale przesadą. Hearst pozostanie czarną plamą na historii współczesnej amerykańskiej prasy.

Georg Honigmann „W. R. Hearst czyli dzieje pewnego skandalisty", Wyd. „Książka i Wiedza", cena 25 zł.

SIELANKOWY OGRÓD

Stefania Grodzieńska przypomniała nam w nowej książce swoje najcelniejsze publikacje z całego niemal trzydziestolecia. I trzeba przyznać, że znakomita większość tych, zdawałoby się, ulotnych tekstów wytrzymała próbę czasu. Jeśli nawet niektóre już nie śmieszą, to skłaniają do zadumy, przypominają lata minione z minionymi już problemami, ploteczkami... Przypominają nam niegdysiejsze idiotki — drobnomieszczanki, których już nie ma, bowiem zastąpiły je przy kawiarnianych stolikach inne idiotki — drobnomieszczanki. Współczesne, dzisiejsze.

I o nich także Grodzieńska pisze — tyle, że nie są to już felietony historyczne, a właśnie współczesne. A jednak świat Grodzieńskiej jest sympatyczny. Nawet jeśli pisze o czasach nielekkich, to tytułuje ów rozdział „Błądziki i wypaczonka" — wszystko jest tu ładne, sympatyczne, mimo przejściowych trudności. Na koniec wpada Grodzieńska w poetykę „Starszych Panów" (vide „Suita tramwajowa"), ale to już nieuchronność dobrotliwego i wyrozumiałego stosunku do świata. Dlatego nie bardzo rozumiem tytuł. To nie jest „Brzydki ogród", to ogród słoneczny, kolorowy i bardzo sielankowy.

Stefania Grodzieńska „Brzydki ogród", Wyd. Łódzkie, cena 28 zł.

OPOWIEŚCI ROMANTYCZNE

Nowa książka Jadwigi Dackiewicz mówi o Francji, o tęsknocie i o tym, że każdy kocha inaczej. Taki jest zresztą tytuł — wystarczająco fascynujący, aby po książkę sięgnęło co najmniej 20 tysięcy czytelników.

Są to opowieści romantyczne i autentyczne. Wszystko, co rozgrywa się na kartach książki Jadwigi Dackiewicz, zdarzyło się naprawdę, wszystko jest autentyczne: bohaterowie, historia i dialogi nawet.

Na publikację składają się trzy opowieści. Pierwsza — „Zygmunta Krasińskiego listy paryskie" opowiada o okolicznościach i atmosferze dramatycznego romansu poety z Delfiną Potocką. „Paryż księdza Jełowickiego" nawiązuje do barwnych przygód w kraju i na obczyźnie powstańca listopadowego, Aleksandra Jełowickiego — późniejszego wydawcy „Pana Tadeusza". Wreszcie opowieść „Generałowie romantyczni" poświęcona jest głównie Józefowi Dwernickiemu, zwycięzcy spod Stoczka, dzielnemu żołnierzowi i dowódcy, lecz — niestety — kiepskiemu i niezręcznemu politykowi.

Są więc w tej książce sprawy i serca i szpady, choć nie tylko. Są także sprawy ducha, a mianowicie ducha bojów romantycznych, w różnorakich wcieleniach: i tych codziennych, niekiedy bardzo osobistych, i tych, które wiążą się z wielkimi wydarzeniami historycznymi. Słowem — pasjonująca, pouczająca lektura.

Jadwiga Dackiewicz „O Francji, o tęsknocie, czyli każdy kochał inaczej". Wyd. Łódzkie, cena 30 zł.

WOJNA NA WSCHODZIE

Wojna z faszyzmem i militaryzmem nie zaczęła się wcale 1 września 1939 roku. Zaczęła się wcześniej, lecz bardzo daleko. Najpierw była Abisynia, a potem Chałchyn-Goł w Mongolii. O Abisynii wiemy wszyscy, ale co było nad rzeką Chałchyn-Goł?

Przez wiele lat nie pisano o tym epizodzie wojennym poza specjalistycznymi periodykami wojskowymi. Dopiero niedawno wybitny pisarz radziecki, Konstanty Simonow, sięgnął do swoich notatek wojennego korespondenta, aby tamte miesiące wojny przypomnieć.

Zaczęło się w marcu 1939 roku od japońskich prowokacji na granicy mongolsko-mandżurskiej, dwa miesiące potem Japończycy przeszli do ofensywy. Wówczas przybyły w ten rejon, na mocy układu o pomocy wzajemnej, wojska radzieckie. Rozpoczęła się wojna, która trwała 129 dni — od 11 maja do 16 września 1939 roku.

Wojska radzieckie i mongolskie, dowodzone przez gen. Żukowa, po zaciekłych walkach przeszły do ofensywy i pod koniec sierpnia zamknęły pierścień wokół wojsk japońskich. Sprzymierzone siły radziecko-mongolskie wyszły na linię granicy między Mongolią a Mandżurią.

Konstanty Simonow pisze: „W swoim czasie o wydarzeniach nad Chałchyn-Goł mówiło się dość skąpo w prasie (...). Dlatego też nie bez pożytku będzie, mniemam, jeśli swoje zapiski poprzedzę bodaj krótką informacją historyczną...". Oczywiście informacja ta jest czytelnikowi niezbędna, ale Simonow w swojej maleńkiej książeczce narysował tak jasny i przejrzysty, a zarazem sugestywny obraz tamtej nie znanej wojny na Dalekim Wschodzie, że nawet bez szczegółowej wiedzy o tamtych latach czyta się tę opowieść wojenną z zainteresowaniem. Sprawiła to może trochę egzotyka owej wojny, ale w głównej mierze jest to zasługa wybitnego pisarza-humanisty, który wydarzeniom odległym w czasie i przestrzeni potrafił nadać rangę Wielkiej Ludzkiej Sprawy.

Konstanty Simonow „Daleko na Wschodzie", Wyd. „Książka i Wiedza", cena 10 zł.

MAGAZYN
ODGŁOSY

JEST ICH TRZECH...

Jerzy Ibis-Jankowski

— Wczoraj syn go złapał, ale nie wiemy czym go karmić.

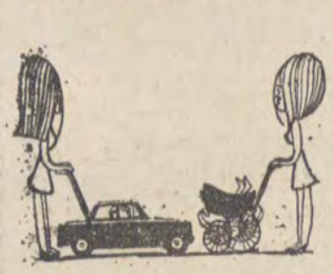

— Kocham cię!

Poeta

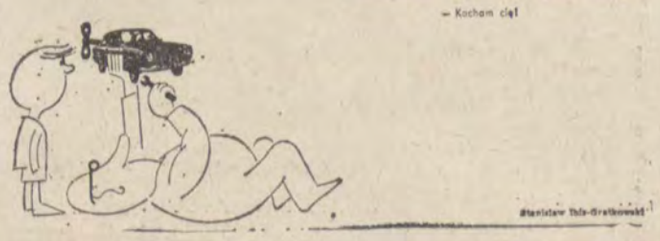

Stanisław Ibis-Gratkowski

Tak się złożyło, że na Ogólnopolskiej Wystawie Satyry w Łodzi laureatami zostali — m.in. — trzej łódzcy plastycy: Karol Baraniecki, Stanisław Ibis-Gratkowski i Jerzy Ibis-Jankowski. Te zaszczytne wyróżnienia cieszą nie tylko samych laureatów (to oczywiste i zrozumiałe przecież), lecz również licznych miłośników ich satyrycznych talentów, a takich jest wielu, czego dowodem są i nakład pisma „Karuzela" i tłumy zwiedzających wspomnianą wystawę w Salonie Sztuki Współczesnej. Przypomnijmy zatem sylwetki laureatów.

KAROL BARANIECKI urodził się w 1911 roku we Lwowie. Studiował u profesorów: Matzke i Kleinmana. Debiutował w 1928 roku. Drukował swoje rysunki w pismach: „Wróble na Dachu", „Szczutek", „Szpilki", „Sygnały", „Chochoł", „Omnibus". W czasach wojny przebywał w ZSRR i będąc w wojsku współpracował z prasą I Armii Wojska Polskiego („Głos Żołnierza"). Po wyzwoleniu rysuje dla wielu perlodyków i pism codziennych, m.in. w „Stańczyku", „Szpilkach", w „Rózgach", w „Musze", „Odrodzeniu", w „Nowej Kulturze" i „Trybunie Wolności". Wystawiał swoje prace w Wiedniu, Moskwie, Berlinie, Montrealu. Jest kierownikiem działu graficznego dwutygodnika „Karuzela".

STANISŁAW IBIS-GRATKOWSKI urodził się w 1923 r. Studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, na Wydziale Grafiki. Uprawia głównie rysunek satyryczny, grafikę książkową, plakat. Współpracował z szeregiem pism łódzkich i warszawskich. Brał udział w wystawach w kraju i za granicą, m.in. w Berlinie, Budapeszcie, Pradze, Kijowie, w Montrealu. Od 1962 roku jest stałym pracownikiem redakcji czasopisma satyrycznego „Karuzela". Jest także laureatem Brązowej Szpilki z roku 1968.

JERZY IBIS-JANKOWSKI urodził się w 1926 roku w Janowcu. Od roku 1946 uprawia rysunek satyryczny. Współpracował ze „Szpilkami", „Przekrojem", „Karuzelą" i wieloma innymi czasopismami. Brał udział w wielu wystawach krajowych. Wystawiał również za granicą, m.in. w Berlinie, Pradze, Budapeszcie, Pekinie, Kijowie i Mińsku. Obecnie jest stałym współpracownikiem Telewizji Łódzkiej. Poza rysunkiem satyrycznym zajmuje się grafiką reklamową i plakatem. Za działalność społeczną otrzymał w 1962 roku nagrodę Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, a w roku 1966 — nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za działalność w dziedzinie kultury.

Magazyn „Odgłosów" składa laureatom serdeczne gratulacje życząc dalszych sukcesów i dobrej, celnej satyry trafiającej zawsze w samą „dziesiątkę".

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

POWIĘKSZENIA

GÓRNICY WODY

„I w Łodzi mamy... górników — donosi z radością „Głos Robotniczy". — Do tego resortu należy Przedsiębiorstwo Hydrogeologiczne... Zajmuje się ono wierceniami w celu zbadania gruntów pod budownictwo przemysłowe, budownictwo związane z zaopatrzeniem w wodę, bądź odwodnieniem".

NIEOMYLNE PREZYDIUM

Autorzy programu telewizyjnego „Postaw się, nie zastaw się" postanowili postawić się na wysokości zadania. Zamiast figli kulinarnych zrealizowali akademię z „nieomylnym prezydium". Było piwo, przemówienia, Hanka Bielicka i dowcip o teściowej. Wszystko razem, niestety, bardzo średnie.

Nieomylne prezydium pomyliło się tym razem.

BROSZURA

Pewna wojewódzka organizacja młodzieżowa wydała broszurę opatrzoną podtytułem: „Praca ideowo-kształceniowa w ruchu młodzieżowym". Połowę owej broszury zajmują takie teksty, jak reklama biustonoszy i pasów gorsetowych, katalog wyrobów z tworzyw sztucznych (wiadra, mydelniczki, szufelki, doniczki itp.) oraz prezentacja win popularnych marki „Sigma" i pulpy owocowej.

Broszurę wydano na papierze offsetowym w nakładzie 2 tysięcy egzemplarzy.

ŻYCZENIA POMYŚLNOŚCI

Ulubiony przez nas (rog) z „Przekroju" złożył ostatnio na łamach tegoż życzenia trzynastu lat życia twórcy krakowskiej szkoły tańca. Baletmistrz ma lat 87, a (rog) życzy mu stu lat życia.

W kołach dobrze poinformowanych mówi się, że taka skrupulatność została przyjęta przez zainteresowanego z mieszanymi uczuciami.

MARK KASWINOW

23 STOPNIE W DÓŁ... (IV)

CIĄGNĄĆ I NIE POPUSZCZAĆ

W niewielkim domku nad brzegiem morza car podpisał manifest o przyznaniu swobód.

Kilku mężczyzn kłóciło się od samego rana w pawilonie peterhoffskiego parku.

Wujowie naciskali na Mikołaja, przekrzykiwali się i obrażali. Kłócili się, czy w Rosji wybuchła już rewolucja. Kłócili się, czy już jest, czy dopiero nadciąga, radzili jak wygrać czas, wymanewrować siły społeczne, zebrać się w sobie i zdławić bunt. Gorączkowali się Mikołaj Mikołajewicz zwany Długim i Aleksy Aleksandrowicz, znany w Petersburgu hulaka. Obaj popychali cara w stronę biurka, gdzie leżał papier z gotowym już tekstem.

Ale car upiera się, odmawia.

On na to nie pójdzie.

Podpisu swojego na takim dokumencie nie złoży.

Żadnych ulg. Żadnych swobód.

Nie proście i nie przekonujcie. Daremna strata czasu. Znowu któryś raz z rzędu występuje Długi, naciska na cara. Biega po gabinecie rozsiewając niezupełnie delikatne słownictwo, Władymir Aleksandrowicz. Powtarzają — ustąpimy nie na długo. To nie ustępstwo — to podstęp. Trzeba chytrzyć, inaczej wszystko przepadnie.

Odmawia.

Na długo, czy nie na długo — wszystko jedno.

Nie zgodzi się.

Tatulo nic takiego nie nakazywał. Wprost przeciwnie, mówił, żeby się nie poddawać. Ani zwykłej rewolcie, ani chwiejnemu liberalizmowi. Testament był inny: ciągnąć i nie popuszczać.

W południe namawiający zmiękli. Ale z Petersburga nadciągnęły posiłki. Witte, głowa rządu, jeden z autorów manifestu. Znów w pawilonie zaczynają się namowy.

— Nie radzę Waszej Cesarskiej Mości — mówi Witte — wypływać złym statkiem na otwarty ocean. Trzeba przeczekać burzę w zatoce. To właśnie nam daje manifest o swobodach. Przeczekawszy w zatoce może Wasza Wysokość wziąć dawny kurs. Oznacza to rozwiązanie rąk.

Ale reakcja jest ta sama: nie. W żadnym wypadku.

On chce inaczej: nie ustępować przed buntem, przeciwdziałać mu wszelkimi siłami. Ogniem i mieczem.

Podpisu nie złoży.

Żadnych ulg i liberalizacji nie będzie.

On nie taki. Widocznie biorą go za kogoś innego.

Wydaje się, że teraz i Witte zwiędnie.

Ale Witte ma kartę jeszcze nie odkrytą — ostatnie wiadomości:

a) ogólna liczba strajkujących w imperium przekroczyła milion, a buntujących się we wsiach — trzy miliony,

b) liczba rozgromionych przez chłopów dworów sięga dwóch tysięcy,

c) są bunty wśród wojsk wracających z dalekiego wschodu,

d) wobec tego wszystkiego nie wyklucza się możliwości emigracji carskiej rodziny za granicę,

e) z Berlina przyszło pytanie, czy car nie życzy sobie, aby jego niemiecki kuzyn przysłał do jego dyspozycji eskadrę stawiaczy min.

Pauza. Milczenie. Pięć minut. Dziesięć.

Zdaje się, że trafiło.

Dotarło.

Coś z tego zrozumiał.

Być może pojął przed jakim stoi wyborem: manifest albo niemiecki kaiser.

Już chyba lepszy manifest.

„Zasiadł przy stole, przedtem wstawszy, żeby się przeżegnać, i podpisał".

Czegoś takiego w jego praktyce, jeszcze nie było. Pomyśleć tylko, co za poniżenie.

Wobec swoich współczesnych dał świadectwo temu, że w całym imperium najbardziej upartym i bezkompromisowym stróżem caratu był on sam. Taki był do 17 października i później, w początku carstwowania i pod koniec.

Zdarzało się i dawniej w historii Rosji, że pisarze starali się „ozdrawiająco" wpłynąć na carów — wystarczy wspomnieć A. Hercena i Aleksandra II.

Swoje posłanie do Mikołaja II pisał Tołstoj z wielkim trudem. Był ciężko chory, niemal umierający. W końcu grudnia 1901 roku napisał list, w którym wzywał cara, aby ten zniósł ucisk, nie pozwalający narodowi „wypowiedzieć swoje potrzeby i pragnienia". 16 stycznia zakończył Tołstoj ostatnią redakcję tego listu i przesłał go przez wielkiego księcia Mikołaja Michajłowicza. 28 stycznia Mikołaj Michajłowicz zadepeszował, że wręczył list carowi.

Prawdopodobnie adresata oszołomiły już pierwsze dwa słowa, od których list się zaczynał. „Łaskawy bracie" — taką, na pierwszy rzut oka dziwną formę wybrał Lew Tołstoj. I zaraz dalej wyjaśnienie. „Takie właśnie słowa uznałem za najwłaściwsze, ponieważ zwracam się w tym liście do Was nie tyle jak do cara, ile jak do Człowieka-Brata. Nie chcę umierać nie powiedziawszy przedtem, co myślę o Waszej obecnej działalności i o tym... jak wiele zła może ona przynieść ludziom i Wam, jeśli będzie prowadzona w tym kierunku, w którym idzie teraz".

Tołstoj napisał samodzierżawcy o bezmyślności samodzierżawia w ogóle. Radził carowi, aby — po pierwsze zrezygnował z władzy skupionej w rękach jednego człowieka, po drugie — aby wywłaszczył obszarników i oddał ziemię chłopom.

Maleńki Mikołaj uznał, że odpowiedź „Lwu Wielkiemu" będzie czymś poniżej godności. Apele Tołstoja były adresowane do głuchoniemego.

Później, kiedy pisarz ostatecznie już przekonał się, że posłanie do cara i jego pomocników pozostawiono bez odpowiedzi, powiedział do swoich domowników: „Ostatecznie zrobiłem wszystko, żeby się dowiedzieć, że zwracanie się do niego nie ma sensu".

Co prawda Mikołaj przyjął później syna pisarza, Lwa Lwowicza, który starał się powrócić do tematów zawartych w liście ojca. Mikołaj nie podtrzymał dialogu. Uparcie, rozdrażnionym tonem powoływał się na obietnicę daną umierającemu ojcu i na przysięgę złożoną w Uspieńskim Soborze w dniu koronacji. Lwowi Tołstojowi — młodszemu nie pozostało nic innego jak poświęcić resztę czasu na popularyzację innych idei swego ojca: nie palić, nie pić i nie zabijać zwierząt. Wyjaśnienia tych tez Mikołaj wysłuchał spokojnie, z ciekawością, a nawet nie bez widocznej przyjemności, choć później nie przestał palić, pić i zabijać zwierząt — strzelanie do wron było jego ulubioną rozrywką....

(Dalsze rozdziały swojej pracy M. Kaswinow poświęca wielu faktom, które wpłynęły na upadek caratu. Jest w nich mowa o nasileniu się fali terroru wobec rewolucyjnie nastrojonej ludności imperium (1903 — 1905 r.), wojnie z Japonią, w przededniu której Mikołaj II odbył podróż do krewnych w Darmstadzie. Wtedy właśnie zaszły wypadki, mogące być uważane za zdradę stanu ze strony cara — korespondencja, tajne rozkazy, plany wojenne były bez trudu rozszyfrowywane przez agentów Wilhelma i tą drogą trafiały wprost do Japonii.

Wybuch I wojny światowej pogłębił kryzys caratu. Po pierwszych sukcesach nastąpiło szereg przegranych bitew i kampanii. W obliczu tych zdarzeń pułkownik Mikołaj Romanow decyduje się na objęcie dowodzenia nad armiami. Dużo wcześniej na politycznym i rodzinnym horyzoncie Mikołaja II pojawił się Grigorij Rasputin. Autor „23 stopni w dół" poświęca wiele miejsca roli tego „bożego człowieka", jego wpływowi na kierowanie nawą państwową. W nocy z 16 (29 wg nowego kalendarza) na 17 (30) grudnia Rasputin zostaje zabity. Mikołaj porzuca sztab znajdujący się w Mogilewie i jedzie do Carskiego Sioła. Przeszło 2 m-ce trwa żałoba po Rasputinie. Wraca do Mogilewa 8 marca 1917 r. Już tylko tydzień ma trwać jego panowanie. Robotnicy Piotrogrodu opanowują stolicę, przyłączają się do nich żołnierze — 12 marca liczba żołnierzy, którzy stanęli po stronie rewolucji wyniosła 127 tysięcy. W czwartek, 15 marca panowanie Mikołaja II zaczyna się liczyć na godziny.

(cdn.)

Tłumaczył:
MAREK WAWRZKIEWICZ

MAGAZYN ODGŁOSY

SPRAWA ANTONIEGO B.

Lato nadchodziło całe w złocie i upałach. W mieście stawało się duszno, co obrotniejsi znajomi cichaczem wynosili się na wywczasy. Któregoś lipca, spojrzawszy rankiem na termometr za oknem stwierdziłem, że nadeszła odpowiednia pora, aby złożyć wizytę mojemu staremu znajomemu rybakowi, z którym przed laty służyliśmy w gwardii przybocznej Jego Imperatorskiej Wielkości. Byłem wówczas lejbhusarem, a Izydor spełniał u mnie obowiązki ordynansa. Potem obaj byliśmy w 27 Pułku Ułanów Koweńskich, ja — w randze rotmistrza, Izydor awansował na kaprala. Lecz nasza stara przyjaźń wytrzymała próbę czasu. W końcu Izydor wyruszył na Wybrzeże, został rybakiem, a ja po kilku mniej lub bardziej udanych próbach osiągnięcia sukcesów w dziedzinie nauk humanistycznych, zatrzymałem się ostatecznie w Archiwum Małych Imaginacji. Jednakże co roku latem odwiedzałem swojego byłego ordynansa i przy rumie w milczeniu słuchaliśmy szumu morza łomocącego tuż za ścianą.

Tak więc spakowawszy niezbędne rzeczy, odjechałem cesarskim traktem. Przed wieczorem dotarłem do wsi, a o zmroku Izydor otworzył pierwszą butelkę rumu z nalepką piwnicy czarnogórskiej.

Spać poszedłem późno i kołysany bliskim szumem morza zasnąłem szybko i twardo.

Przy śniadaniu Izydor przepraszająco popatrzył mi w oczy i wybąkał:

— Bilans półroczny, znaczy się, robią, bo termin mają na dwudziestego.

Z zasady nie lubię wnikać w cudze życie áni w obce mi sprawy zawodowe, toteż po wypiciu paru zaledwie szklaneczek rumu wyszedłem na spacer wzdłuż morskiego brzegu. Niestety, dostęp do morza był niemożliwy, wzdłuż wydm rozciągnięto siatkę z wywieszkami „remanent". Na plaży, na piasku stały biurka, a przy nich siedzieli mężczyźni bądź pochylone kobiety i pilnie coś pisały. Najwyżej, prawie na wydmie, stało dębowe biurko, przy którym zgięty w pałąk mężczyzna stukał na liczydłach. Jak się później dowiedziałem, był to główny księgowy Antoni B.

Ale dopiero wieczorem dowiedziałem się wszystkiego dokładnie. Mianowicie, dwa razy w roku, w grudniu i lipcu, Ministerstwo dokonywało bilansu fal i dlatego w tych miesiącach plaże były z reguły niedostępne dla wczasowiczów. Praca odbywała się planowo, z zachowaniem przepisów finansowych i zarządzeń bhp. A więc najbliżej morza siedziały rachmistrzynie, które liczyły nadpływające fale, wyżej umieszczono kontystów dokonywających klasyfikacji fal pod względem wielkości (konta 0013, 0014, 0015, a dla dni sztormowych — 0016) pod względem siły (konta 385, 386, 387, sztormowe 388), pod względem ilości piany (konta 515, 516, 517, sztormowe 518), następny rząd biurek zajmowały zwykłe księgowe, dalej starsi księgowi, w końcu na wydmie siedział Antoni B. — główny księgowy Ministerstwa.

Wkrótce mój pobyt nad morzem dobiegł końca, pożegnałem poczciwego Izydora.

Na nowy rok otrzymałem zaproszenie od księcia Tołstunowa, który pamiętał mnie ze służby cesarskiej, toteż w jego skromnym zameczku na południu, siedząc przed kominkiem, zabawialiśmy się opowieściami o rzeczach niezwykłych i ciekawych.

— A czy znacie państwo kulisy ostatniej afery w Ministerstwie? — w pewnej chwili powiedział marszałek.

Byliśmy ciekawi afery, a panie, przypuszczając, że chodzi o skandal o podłożu towarzyskim, zaczęły prosić sędziwego marszałka o detale.

— Bohaterem afery ministerialnej — powiedział marszałek stepowy zapalając fajkę wykonaną z gruszy, na której powiesił się swego czasu Judasz — jest niejaki Antoni B., główny księgowy Ministerstwa. W czasie wykonywania półrocznego bilansu popełnił malwersację, o jakiej nie słyszano dotąd w naszym kraju. Otóż okazało się, że odstąpił obcemu mocarstwu taką ilość fal, w przeważającej mierze sztormowych, że owo mocarstwo nie mające dotąd własnego morza, pozwoliło sobie na rozwinięcie linii brzegowej dłuższej niż wynosiły dotychczas granice owego mocarstwa.

Zapadło milczenie. Spośród zebranych w salonie, ja jeden widziałem na własne oczy tego arcydefraudanta. Nie powiedziałem o tym. Nikt by mi nie uwierzył.

EUGENIUSZ IWANICKI

ODKRYCIE

W pewnym amerykańskim mieście grupa lekarzy poddała 67 pacjentów testowi, którego celem było stwierdzenie jak interpretują oni polecenia wypisane na nalepkach butelek z lekarstwami, dotyczące sposobów zażywania leków. Okazało się, że żadne polecenie nie zostało w jednakowy sposób zrozumiane przez wszystkich pacjentów. Na przykład polecenie aby lekarstwo zażywać „co sześć godzin" niektórzy pacjenci interpretowali, jako dotyczące tylko godzin czuwania.

Lekarze wyciągnęli następujący wniosek z eksperymentu: jeśli się nie rozumie poleceń na nalepce butelki z lekarstwem, trzeba poradzić się lekarza lub farmaceuty, ponieważ leki mają właściwe działanie tylko wtedy, gdy zażywa się je w przepisany sposób.

Badania naukowe prowadzą czasem do rewelacyjnych wniosków.

(B.K.)

Z PAMIĘTNIKA MARYLIN MONROE

HOLLYWOOD – MIASTO NĘDZY I BLICHTRU

Przez pewien okres Marylin Monroe pisała pamiętniki. Odnaleziono je w USA dopiero w tym roku i wydano w książce pt. „Niedokończona opowieść". Wyjątek z niej opublikował ostatnio jeden z tygodników francuskich.

* * *

...Za oknami noc. Przez bulwary toczy się nieprzerwany potok samochodów. Jesteś sama w pokoju, chcesz jeść, ale pocieszasz się: głodówka dobrze wpływa na figurę. Nie ma nic piękniejszego ponad płaski brzuch.

I głośno ćwiczysz naukę dykcji: „Ariadna podniosła się z sofy swojej wśród śnieżnych szczytów...".

Każda lekcja dykcji kosztuje dolara. Za jednego dolara można kupić parę pończoch i siekany befsztyk. Ale pończochy i befsztyk nigdy nie zrobią z ciebie aktorki, nauka dykcji — może. I oto siedzisz z gołymi nogami i pustym żołądkiem i wyraźnie wypowiadasz: „Dla kogo te żmije"...

Często myślałam, kiedy noc ogarniała Hollywood: „Tutaj z pewnością tysiące takich jak ja samotnych dziewcząt marzy o karierze gwiazdy filmowej. Ale co one mnie obchodzą. Moje marzenia spełnią się na pewno, wierzę w to niezachwianie".

Żeby marzyć niekoniecznie trzeba coś umieć. Nic nie wiedziałam o sztuce aktorskiej. Nie przeczytałam o tym ani jednego wiersza, nigdy nie próbowałam grać, nigdy i z nikim nie rozmawiałam na ten temat. Wstydziłam się opowiadać moim nielicznym znajomym, że takie myśli chodzą mi po głowie. Mówiłam, że zamierzam zarabiać na życie jako modelka filmowa. Obchodziłam, jedno po drugim, wszystkie atelier fotograficzne i od czasu do czasu otrzymywałam pracę. Tylko w głębi duszy pieściłam moje tajemne pragnienie gry aktorskiej. Jak więzień, który każdego dnia spogląda zza krat na drzwi z napisem: „Wyjście".

...To Hollywood, które poznałam, było Hollywoodem pechowców. Niemal wszyscy, z którymi się stykałam, cierpieli głód i z trudem odpędzali myśl o samobójstwie.

Jadałyśmy przy bufetach tanich jadłodajni, tłoczyłyśmy się w poczekalniach. Byłyśmy najładniejszą grupą poszukiwaczy złota, jaką kiedykolwiek gościło to miasto. Jakże było nas dużo! Laureatki konkursów piękności, absolwentki kursów „kulturystyki". Kręciły się wokół nas przeróżne typy, nie jakieś znaczące persony, które spotyka się w studiach, lecz drobne pionki: prześladowani przez los poszukiwacze talentów, agenci prasowi bez klientów, podejrzani impresaria.

Znałam ich wszystkich. I wszyscy co do jednego byli pechowcami i oszustami. Niektórzy, zdeklarowani aferzyści, byli bardzo niebezpieczni. Ale dla nas, mimo wszystko, byli oni kimś, którzy mogli nas przybliżyć do kina. W kawiarniach dosiadywałyśmy się do ich stolików, cierpliwie wysłuchując pozłacanych bajek i opowieści o niespełnionych marzeniach. Patrzyłyśmy na Hollywood ich oczami — był przeludnionym burdelem, ogromną karuzelą, na której łóżka zastępowały drewniane konie. I wciąż budzi się we mnie wstręt na wspomnienie owego Hollywoodu, który jeszcze kilka lat temu był moim całym światem — miasta bez nadziei, miasta tarzającego się w bagnie i fałszu. Ale mimo to był to świat bardziej ludzki niż raj, o którym marzyłam i w którym znajduję się teraz. Ci pechowcy i oszuści byli bardziej barwni niż ważne osoby i głośni aktorzy, których poznałam teraz.

Byłam młoda, jasnowłosa, dobrze zbudowana, nauczyłam się mówić ochrypłym głosem, jak Marlena Dietrich, przybierać uwodzicielskie pozy, rzucać wyzywające spojrzenia. I chociaż nie pomogło mi to w znalezieniu pracy, to jednak rzuciło do moich stóp całą sforę wielbicieli. I nie tylko nic nie znaczących ludzi, z wielkimi planami i wytartymi rękawami. Wśród nich było też niemało z solidnymi kontami w bankach. Siadałam do ich limuzyn i pozwalałam się wozić do eleganckich restauracji, gdzie z reguły jadałam za czterech, starając się zrekompensować tydzień chudych obiadków w jadłodajniach. W ich towarzystwie bywałam w luksusowych apartamentach, gdzie mieląc spędzałam wieczory w kącie dopóki grali w ramsa czy pokera. Ale nigdy nie czułam się swobodnie w bogatych domach i wytwornych restauracjach, choćby tylko dlatego, że moje ubrania wyglądały bardzo ubogo na tle tego całego luksusu.

* * *

— Niech się pani z raz obróci — powiedział od niechcenia wielki człowiek (chodzi tu prawdopodobnie o spotkanie z prezesem kompanii filmowej „Columbia").

Obróciłam się na obcasach jak zawodowy manekin.

— Nieźle — powiedział uśmiechając się. — Jest pani dobrze skrojona.

— Dziękuję — odpowiedziałam.

— Proszę usiąść — powiedział wielki człowiek. — Coś pani pokażę.

Podszedł i podał mi zdjęcie, na którym widniał jacht.

— No i co pani powie?

— Jest wspaniały.

— Jest pani zaproszona — powiedział i dotknął dłonią mego karku.

— Dziękuję — odpowiedziałam. — Nigdy jeszcze nie miałam okazji uczestniczyć w przyjęciu na pokładzie jachtu.

— Jakie przyjęcie? — nachmurzył się wielki człowiek. — Zapraszam tylko panią, i nikogo więcej. Chce pani przyjść, czy nie?

Objął mnie gwałtownie. Zamarłam.

— Dziękuję za zaproszenie, ale ten tydzień mam bardzo zajęty i muszę panu odmówić.

Puścił mnie. Skierowałam się do drzwi, ale on nie ruszył się z miejsca. Za wszelką cenę musiałam coś powiedzieć. To był bardzo wielki człowiek, moja przyszłość spoczywała w jego rękach. Uwodzenie swoich pracownic uważał za rzecz naturalną. Nie mogłam postąpić tak, jak bym widziała w nim potwora. W przeciwnym razie nigdy bym...

Na progu odwróciłam się. Myślałam, że spopieli mnie wzrokiem! Nigdy nie widziałam tak rozwścieczonego człowieka.

* * *

...Nieoczekiwanie przyszedł sukces. Dyrekcja studia filmowego była jeszcze bardziej zdziwiona niż ja. Przecież filmowano mnie w małych rólkach, zaledwie w kilku filmach, jednakże wszystkie hollywoodzkie czasopisma i gazety nagle zamieściły o mnie artykuł z moim zdjęciem. Udzielałam wywiadów, plotąc niesłychane bujdy o moim ojcu i matce. Opowiadałam, że matka umarła, a ojciec przebywa gdzieś w Europie. Kłamałam: wstyd mi było powiedzieć, że moja matka była chora umysłowo, że byłam dzieckiem „pozamałżeńskim" i że nigdy nie słyszałam głosu ojca. W końcu jednak zaniechałam tych kłamstw i z ulgą dostrzegłam, że czasopisma i gazety ze zrozumieniem odniosły się do moich „nowych wyznań".

Kiedy wydawało się już, że publiczność zaczyna mnie „przyjmować", dowiedziałam się, iż do masowej sprzedaży puszczono kalendarz z moim zdjęciem, pt. „Marylin Monroe". Z przerażeniem oczekiwałam na karę za moją lekkomyślność. Byłam przekonana, że teraz nastąpi kres mojej kariery, że studia filmowe, prasa i widzowie odwrócą się ode mnie, że nie przeżyję mego „grzechu". Grzech polegał na tym, że pozwoliłam się sfotografować nago, ale przecież tak bardzo było mi potrzebnych 50 dolarów....

Do studia zaczęły napływać tysiące i setki tysięcy listów. Pracowałam bez chwili wytchnienia. Pracowałam w studio filmowym i poza nim. Wiedziałam, że w końcu dadzą mi wielką rolę. Reklama już, już miała się przerodzić w konkret.

...Unikałam wulgarności nie tylko w studio, lecz i poza nim. Pracowałam po dwanaście — czternaście godzin na dobę, starając się możliwie najlepiej poznać mój zawód. Byłam stale przemęczona, a nawet zniechęcona. Nie byłam jednak nieszczęśliwa i nie spędzałam nocy w rozpaczy i łzach. W rzeczywistości, oddając całą siebie ciężkiej pracy żeby robić postępy, zapominałam o życiu. Nie lubiłam już nikogo i niczego. Obchodziła mnie tylko moja rodząca się sława...

(S.)

• JACEK BROMSKI – STORY •

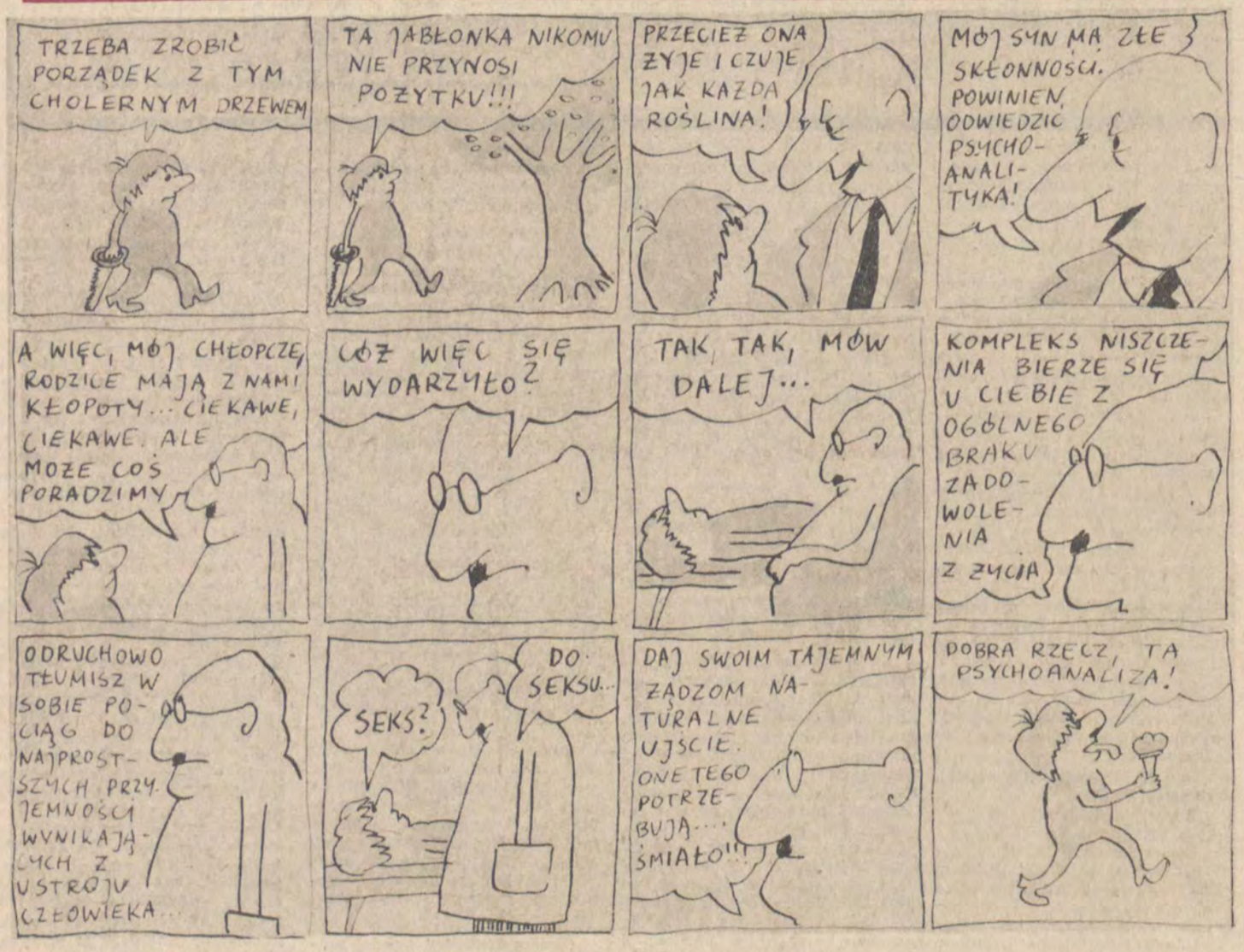

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217 98 oraz 293 00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 2738. C-4. Nr indeksu 37006.